JAK GRUPA BILDERBERG WYBIERA LIDERÓW ŚWIATA

WŁADZA SIĘ WYLECZY, CZYLI RÓWNI I RÓWNIEJSI W NFZ

OD MAŁEGO SZARPAŁO MNĄ ADHD – ZIEMKIEWICZ SPOWIADA SIĘ ŚWIETLIKOWI

SIECI

PÉTER MAGYAR: NOWY PUPIL EUROPY. CO TERAZ ZROBI TUSK?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
17 (699) 2026
20–26 kwietnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CZERWONA KASA MARSZAŁKA

WŁODZIMIERZ CZARZASTY WZBOGACIŁ SIĘ DZIĘKI FIRMIE, KTÓRA POWSTAŁA Z PIENIĘDZY WYPROWADZONYCH Z PZPR. NIEKTÓRZY NAZYWAJĄ TEN PROCES „UWŁASZCZENIEM", INNI – „KRADZIEŻĄ". UJAWNIAMY JEGO KULISY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 27 IV 2026 r.

epms.pl/gsdz/28467

polsat box

Ponad 130 kanałów
w tym cały sport z oferty

tylko za

70 zł/mies.

przez 2 lata po rabacie

Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe – bez rabatu 80 zł/mies. Umowa na min. 24 mies. Pakiet L od 25. mies. 75 zł/mies. z ww. rabatem lub 85 zł/mies. bez rabatu.

Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Pakiety: Polsat Sport Premium i Eleven Sports dostępne promocyjnie do 31.01.2028. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

eprasa.pl d6d2f28467

Może lepiej się rozejść?

Temperatura sporów wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości wyraźnie rośnie. Zapowiedź powołania nowego stowarzyszenia przez byłego premiera Mateusza Morawieckiego jeszcze bardziej zaogniła sytuację. I nie ma znaczenia, że „wewnątrz" PiS istnieją już dwa stowarzyszenia, ponieważ tym razem dynamika działań jest wyraźna. To budowa platformy, która łatwo może – co nie znaczy, że musi – stać się podstawą nowej partii. Zapewne jakiejś nowej „trzeciej drogi", która zawalczy o tzw. wyborców środka.

Jeszcze kilka tygodni temu, pisząc o tej sprawie, wzywałbym do jedności za wszelką cenę. Dziś zaczynam myśleć inaczej. Może to rozejście się jest konieczne i niezbędne, by cokolwiek ocalić? Trwanie w obecnym klinczu lada moment zepchnie PiS poniżej 20 proc. poparcia, a może jeszcze niżej. Trwanie w obecnym splocie uniemożliwia podjęcie jakichkolwiek działań ofensywnych. Widzimy to na przykładzie kandydatury prof. Przemysława Czarnka, która złapała całkiem sporo wiatru, tak bezcennego w czasach opozycji, tylko po to, by chwilę później roztrwonić dużą część urobku w wyniku jawnych i zakulisowych działań wewnątrzpartyjnej konkurencji. W taki sposób żadna konstrukcja polityczna nie wzleci, nie urwie się grawitacji. A przecież opozycji, zwłaszcza po długim sprawowaniu władzy, ogólnie trudno wzlecieć. Widać to choćby na przykładzie brytyjskich torysów, którzy po wyborczej klęsce desperacko próbują skonstruować jakąkolwiek atrakcyjną propozycję dla wyborców. Nie idzie im łatwo. I nie można się dziwić, że PiS również nie idzie łatwo. Tym bardziej trzeba cenić każdy okruch powodzenia.

Jedno trzeba wyjaśnić: te spory nie są na niby, nie są celową próbą zagospodarowania wyborców zarówno w centrum, jak i po prawej stronie, za pomocą pozorowanego rozejścia się. W ten scenariusz wierzy tymczasem zdumiewająco wielu wyborców PiS. Niestety jest to zderzenie realne, prawdziwe, namacalne, za którym kryją się różne interesy i rozbieżne diagnozy. Jedna głosi, że PiS nie ma szans na odzyskanie wyborców, którzy odeszli do obu Konfederacji i dlatego trzeba szukać szansy w centrum za pomocą propozycji rozwojowych, pragmatycznych. Druga podkreśla, że to po prawej stronie od PiS odpadają całe segmenty wyborców i dopóki partia nie znajdzie sposobu na zatrzymanie i odwrócenie tego procesu, nie może spać spokojnie. Przychylam się do tej drugiej optyki. Obie Konfederacje zbierają czasami nawet 20 proc. w badaniach sondażowych i to tam jest 90 proc. wyborców, których straciło PiS.

Czy możliwe jest uniknięcie scenariusza rozpadu? Tak, PiS było i powinno być w przyszłości politycznym namiotem, w którym mieszczą się różne wrażliwości. Ale jest jeden warunek: to nie może być tak otwarcie dysfunkcyjne. Decyzje przyjęte przez kierownicze gremia muszą być szanowane i wdrażane, a stopień autonomii poszczególnych środowisk nie może być poszerzany bez końca. Żadne przywództwo nie może sobie na to pozwolić, bo szybko doprowadzi to do erozji jego autorytetu. Jeśli tych celów minimum nie uda się osiągnąć, to ten taniec trzeba po prostu przerwać. Być może przyniesie to otrzeźwienie, być może droga do jedności wiedzie jednak przez podział. A jeśli ma to nastąpić, to powinno nastąpić jak najszybciej, by w roku kampanii wyborczej można się było skupić na pracy, na walce o wyborców.

Szkoda, że PiS wpadło w tak wielkie turbulencje. Perspektywa drugiej kadencji Donalda Tuska znów staje się prawdopodobna. A przecież to wyjątkowo słaby rząd, którego „osiągnięcia" są po prostu koszmarne, choćby w służbie zdrowia, która załamuje się na naszych oczach. Ale może jeszcze nie wszystko stracone, ludzie czasem zawracają znad przepaści. PiS to wciąż wielki sztandar. To obecnie najważniejsza struktura polskiego obozu niepodległościowego. Struktura, bez której nie można myśleć o odzyskaniu prawdziwie suwerennego państwa. Inne partie tego ciężaru po prostu nie uniosą.

I jeszcze jedno. PiS pilnie potrzebuje nowych propozycji programowych, a w istocie nowego pomysłu na Polskę. Oba skrzydła w istocie opowiadają przecież dawną historię, sprzedają dawne pomysły, proponują powrót do tego, co było. To za mało. Trzeba nowych koncepcji, ale takich, które uwzględnią, że Polska jest dziś inna niż w 2015 r. Inne są problemy, inne społeczeństwo. Trzeba myśleć śmiało. Może np. zaproponować duże wsparcie finansowe – 100 tys., 200 tys. zł – młodym małżeństwom, które zdecydują się zamieszkać w miejscowościach poniżej 50 tys. mieszkańców? Potrzeba śmiałości wizji, odwagi myślenia. Potrzeba powrotu do pisowskich źródeł.

Jacek Karnowski

Reklama | 20/0326/F

SIECI spis treści

Fot. Donald Tusk/x.com

25 Bojowa dziesiątka Tuska
Stanisław Janecki

34 Rozwalanie małżeństwa
Maciej Pawlicki

61 „Lalka”. Pierwsza prezentacja
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **TRUMP, CZYLI PROBLEM**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

9 **PUDROWANIE TRUPA**
Dorota Łosiewicz

9 **IDEOLOGICZNY DEMONTAŻ RAFINERII**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **89 LAT NA WIDECIE**
Jan Pietrzak

12 **LEWE UKŁADY**
Samuel Pereira

13 **SOCZEWKA SPRZECZNYCH INTERESÓW?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA BOŻENY KOCIOŁKOWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **NIEWYGODNY GŁOS**
Arkadiusz Mularczyk

17 **POLAK, WĘGIER, DWA BRATANKI**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **TRANSAKCJA CZARZASTEGO**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

22 **PRAWICOWA WOLTA LIDERA KO?**
Piotr Gursztyn

25 **BOJOWA DZIESIĄTKA TUSKA**
Stanisław Janecki

28 **ZDROWIE DLA WYBRANYCH**
Konrad Kołodziejski

31 **NIE CHCEMY POLITYKÓW W TOGACH**
Z Andrzejem Śliwką rozmawia Jerzy Szmit

34 **ROZWALANIE MAŁŻEŃSTWA**
Maciej Pawlicki

OPINIE

38 **EUROATLANTYCKA OLIGARCHIA**
Maciej Walaszczyk

41 **OD MAŁEGO SZARPAŁO MNĄ ADHD**
Fragment wywiadu rzeki Wiktora Świetlika z Rafałem Ziemkiewiczem

ŚWIAT

44 **JAK MAGYAR POKONAŁ ORBÁNA**
Grzegorz Górny

47 **NOWY HEROS EUROPY**
Jan Rokita

50 **WOJNA, KTÓREJ TRUMP NIE WYGRA**
Goran Andrijanić

52 **UKRAINA GWARANTEM BEZPIECZEŃSTWA EUROPY?**
Marek Budzisz

55 **RÓWNOLEGŁE ŻYCIA**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

58 **JAK ROSYJSKIE WOJSKA OPUŚCIŁY POLSKĘ**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **„LALKA”. PIERWSZA PREZENTACJA**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

SPORT

66 **POŻEGNANIE JACKA MAGIERY**
Michał Muzyczuk

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: GILLIAN ANDERSON I JASON ISAACS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **TURTLEGENDER**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **SIATKARSKIE URODZINY**
Ryszard Czarnecki

74 **CZY NADAL „CO POZOSTAJE, USTANAWIAJĄ POECI”?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl d6d2f28467

BRONISŁAW WILDSTEIN

Trump, czyli problem

„Cała cywilizacja zginie dziś w nocy i nigdy się nie odrodzi. [...] Jeśli Iran nie zawrze porozumienia, nie będzie miał elektrowni, mostów i powróci do epoki kamienia" – to tekst szaleńca. Fakt, że jest nim prezydent najpotężniejszego państwa świata, może budzić grozę.

Uwagi, którymi ów szaleniec, czyli Trump, opatruje swoje deklaracje, zwiększają tylko konfuzję. „Nie chcę, aby tak się stało, ale prawdopodobnie tak się stanie". „Jednak teraz, gdy mamy totalną i całkowitą zmianę reżimu, gdzie górują inne, mądrzejsze i mniej radykalne umysły, może wydarzy się coś rewolucyjnie wspaniałego". Straszenie Iranu prezydent zamyka ogłoszeniem końca: „47 lat wymuszeń, korupcji i śmierci" i wezwaniem: „Niech Bóg błogosławi Wielki Naród Iranu!".

Wynika z tego, że wprawdzie zbrodniarze zostali wyeliminowani, ale jeśli do władzy nie dojdą „mądrzejsze umysły", Trump będzie zmuszony (choć z żalem) zniszczyć wielki Naród Iranu.

Mamy się bać. Na tym polega negocjacyjna strategia biznesmena Donalda Trumpa przedstawiona już w jego debiucie książkowym „The Art of the Deal" („Sztuka układów") prawie 40 lat temu. Licytację zaczynać trzeba jak najwyżej. W przypadku polityki podejście takie jest nie do obrony i prowadzi do niszczenia kultury relacji międzyludzkich.

Podważyło ją już stężenie hipokryzji przywódców zachodniego establishmentu. Jeśli jako walka z mową nienawiści penalizowany jest sprzeciw wobec dominującej ideologii, jeśli nikogo nie dziwi, że rząd cywilizowanego państwa kieruje apel do ONZ, aby nie eksponował prawa do życia, bo wchodzi ono w konflikt z prawami człowieka, jeśli za niedemokratyczny uznawany jest wybór przedstawicieli przez obywateli dlatego, że nie jest on akceptowany przez elity... to odnajdujemy się w świecie, w którym znaczenie pojęć, a zatem i porządek sensów przestaje obowiązywać, a przywoływane wartości są tylko parawanem, który ukrywa brutalną przemoc. Odpowiedzią nie jest wszakże odrzucenie pozorów na rzecz nagiej siły, ale przywrócenie cywilizacyjnym normom ich właściwego sensu.

Wprawdzie Trump odwołuje się do zasad kultury zachodniej, ale jego polityczna retoryka stanowi tego zaprzeczenie. Słowa to nie są nigdy tylko słowa, zwłaszcza w polityce. Szczególnie widać to w przypadku wojny w Iranie, która jak dotąd nie przebiega po myśli amerykańskiego prezydenta.

Można domniemywać, że zdecydował się on na atak, przyjmując, że w autokratycznej dyktaturze eliminacja grupy przywódczej oznacza załamanie się reżimu. Nie wziął pod uwagę jego religijnego charakteru. Opiera się on na zorganizowanej, fanatycznej grupie, która gotowa jest walczyć do końca. Zabici przywódcy zastępowani są przez kolejnych. Społeczeństwo jest sterroryzowane i zdezorganizowane. Masowe protesty, które wybuchły w Iranie pod koniec grudnia minionego roku, zostały krwawo spacyfikowane. Trump występował jako obrońca ich uczestników. Jak może pogodzić to z deklaracjami zniszczenia ich i ich kultury? Jak może liczyć na wsparcie ludności Iranu, opowiadając takie rzeczy?

Czy postawa członków NATO wobec wojny z Iranem wystarczy, aby publicznie kwestionować sens sojuszu?

Od początku główną siłą tego paktu był potencjał Ameryki. Jej sojusznicy im bardziej zależni byli od Waszyngtonu, tym mocniej kontestowali jego pozycję. Wydawało się, że Trump znalazł na to lekarstwo, a jego sukcesem było wymuszenie na aliantach większego zaangażowania w swoją obronność. Jego ostatnie wystąpienia doprowadzić mogą jednak do realnej śmierci NATO i strategicznego osamotnienia USA.

Międzynarodowe osiągnięcia Trumpa były efektem odrzucenia tyranii *status quo*, którego trzymali się waszyngtońscy urzędnicy. Ale zakwestionowanie go nie powinno oznaczać wiary we własne nieskończone możliwości. Odejście od dyktatu ekspertów nie powinno prowadzić do rezygnacji z ich usług.

Krytyka Trumpa jest łatwa, zwłaszcza że słyszymy dookoła jej zgodny chór. Nie zmienia sprawy elementarnej. To Ameryka jest naszym realnym sojusznikiem. Liderzy UE usiłują odebrać Polsce podmiotowość, niczego w zamian nie oferując. Trump grzeszy arogancją i megalomanią, ale odwołuje się do amerykańskiej racji stanu, która w podstawowych wymiarach jest zbieżna z polską. Jego retoryka nie pociąga za sobą praktycznych konsekwencji, co szczególnie wyraziście obserwujemy w odniesieniu do Iranu. Trzeba rozdzielać to, co prezydent USA mówi, od tego, co robi. W tym akurat niewiele się różni od liderów UE, z tym że ci ostatni działają odwrotnie: pod pięknymi słowami ukrywają niepiękne poczynania.

Nie musimy sygnować wszystkich przedsięwzięć Waszyngtonu, ale musimy odwoływać się do strategiczno-kulturowej wspólnoty, która łączy nas ze Stanami. Niezależnie od Brukseli i Berlina, które mają na względzie swój, odmienny od naszego, interes, musimy budować regionalny układ obronny wespół z krajami nordyckimi. Nadanie mu znaczenia wzmacnia naszą pozycję wobec USA. Alternatywy nie widać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d6d2f28467

Sygnalista nadaje

Może i ten Nawrocki wyciska z Pudzianem, ale za to nasz premier Tusk biega ze Szłapką Adamem. I nie pod jakimś zakichanym żyrandolem w pałacu prezydenckim, ale w Tokio. Czyli za granicą. W pierwszej Japonii, bo my jesteśmy drugą. Wszystko, co robi premier, jest bardzo fajne, ale to było jeszcze fajniejsze. Bo podczas joggingu obok premiera przechodziła z tragarzami grupa najprawdziwszych fajnopolaków. Wszyscy oni zachwycali się premierem. Życzliwym uśmiechom nie było końca. A także gratulacjom, bo japońscy fajnopolacy nie zapomnieli powinszować premierowi zwycięstwa, które osiągnął podczas wyborów na Węgrzech. Pardon: w Węgrzech.

From Moscow with love! Tak was dzisiaj pozdrawiamy, choć to pozdrowienia nie dla wszystkich. Prawacki plebs jeszcze tego nie rozumie, bo wobec niego nadal obowiązuje narracja o ruskich onucach i agentach Putina. A ludzie o poglądach demokratycznych wiedzą, że wieje wiatr zmian. Ten cudowny chłopak z Budapesztu, Pietia Magyar, powiedział głośno to, co prawdziwi Europejczycy mówią od dawna: gdy tylko zakończy się ta niepotrzebna wojna na wschodzie, trzeba znieść sankcje na Rosję! Jak mus, to mus! Dzięki temu nie trzeba będzie się wstydzić znajomości z tymi wspaniałym dziewczynami. Kristina – asystentka bardzo społeczna premiera. Swieta z Petersburga, koleżanka Włodka Czarzastego. I najnowsze odkrycie, czyli psiapsióła Basi Giertychowej, Sebastiana Foki i Konia Romana – Wiktoria Olegowna Kriażewa. Francja-elegancja z Pietrozawodska. Bardzo zdolna dziewczyna. To o takich jak ona śpiewał poeta: „Dziewczyna pięknie się stara, kosi pieniądz, ma jaguara".

A jak Wika wykosi trochę tego pieniądza, to się dzieli. Nie jest chytra. Np. przelała Romanowi (albo Basi) ok. 1 mln zł. Tak, dużą bańkę! A ludzie, te brudne świnie, zazdroszczą. Paranoicy, brudni sadyści, chcą ją utopić w morzu zawiści! Chcą też utopić Romana, ale wiadomo – jemu nie zaszkodzi żadne obce zło. Ma rację Kaśka Pełczyńska-Nałęcz, która potwierdziła pytanie, czy Romek jest politykiem nietykalnym: „Trochę zaczyna na to wyglądać, a to bardzo niebezpieczne, jak wśród polityków są święte krowy" – powiedziała i kręciła nosem, że to niedobrze. Ale dlaczego niedobrze? Gdzie tu wady?

Aby to wytłumaczyć jeszcze jaśniej, damy tu cały cytat z naszego ukochanego biuletynu z ul. Czerskiej. Oto, co o ***Romanie*** mówią posłowie KO: „My się go boimy, choć popieramy jego styl pracy i kontakt z wyborcami. Jest nam potrzebny, ponieważ jest wiarygodny dla naszego najwierniejszego elektoratu, Silni Razem go uwielbiają". Nie tylko oni uwielbiają. Wika z Pietrozawodska też go uwielbia.

I ty możesz być jak ***Rafał Trzaskowski***! Każdy może zostać wiceprzewodniczącym Koalicji Obywatelskiej. Udało się to już Rafałowi i 14 innym osobom. Sky is the limit! Niedługo może być przecież nie 15 wicków KO, a 150. Albo 1500 wicków. Niech sobie teraz pisowcy mówią, że to „parszywa 15", ale dla nas – demokratów

eprasa.pl d6d2f28467

walczących – to „15 wspaniałych". A Rafałowi – prezydentowi naszych serc – gratulujemy ogromnego sukcesu politycznego, zawodowego i osobistego! Należało mu się po ukradzionych wyborach. PS Dr Kontek nadal przelicza głosy. Pałac czeka na Rafała.

Okropne jest to PiS! To wszyscy wiemy, ale najgorsze jest to, że Prawo i Sprawiedliwość ciągle szczuje na Unię Europejską. I aby to powstrzymać, premier wpadł na genialny pomysł. Na ostatniej Radzie Krajowej Koalicji Obywatelskiej nie było ani jednej flagi unijnej. Tylko biało-czerwone. Szach-mat, prawaczki! Idą wybory, więc tym sprytnym ruchem premier znowu zmyli tych wszystkich, którzy nie lubią Brukseli i Berlina. Wtedy oni pomyślą, że Donald Tusk też nie lubi tych miast i znów na niego zagłosują. Udało się na marszu miliona serc w 2023 r., uda się i teraz! Robimy, nie gadamy.

Teraz o aferze paznokciowej w Aleksandrowie Kujawskim. Nadal trwa kampania nienawiści i brudnych pomówień wobec osoby kryształowo czystej, jaką jest senator Tomek Lenz z Torunia (to obok Aleksandrowa Kujawskiego). Ma też miejsce atak na jego rodzinę. Senator wraz z żoną Anną z godnością odpowiedział nienawistnikom: „W ostatnich dniach padliśmy ofiarą manipulacji, fali hejtu, a co najgorsze, agresji". Straszne! Czyli ta sama fala nienawiści, która niszczy wicemarszałek Monikę Wielichowską i panią Kamilę z Kłodzka, bo one też skarżyły się, że są ofiarami pisowskiego hejtu.

Sprawa jest bulwersująca, bo dotyczy maleńkiego, 13-letniego dziecka państwa Lenzów. Przecież była to pilna, niezbędna operacja ratująca życie. „Ropiejący wrastający paznokieć paliczka lewego" – czytamy w dokumentacji udostępnionej przez szalejących z niepokoju i rozpaczy rodziców. Całe szczęście, że tak trudna operacja odbyła się w najlepszym szpitalu w Aleksandrowie Kujawskim, bo jak wiadomo, w Toruniu są tylko rzeźnie przypominające lazarety z czasów wojny rosyjsko-japońskiej. Jeśli chodzi o wrastające paznokcie, to Ministerstwo Zdrowia zaplanowało badania profilaktyczne dla całej populacji 13-latków. Syn senatora uczestniczył w zabiegach pilotażowych. Bardzo dzielnie je zniósł. Pani Ania Lenzowa może to potwierdzić.

Jeśli zaś chodzi o papę Lenza, jest to postać o nietuzinkowym życiorysie. Z zawodu poseł, a teraz senator. Kilka lat temu miał ogromne zasługi, bo jako członek tzw. spółdzielni, kierowanej przez niezapomnianego Czarka Grabarczyka, skrupulatnie przycinał Grześka Schetynę. Premier mu to zapamiętał i nawet troszkę wynagrodził. Potem bowiem na toruńskim podwórku, gdzie Tomek Lenz był miejscowym baronem, wyrósł młodziutki, ale obiecujący Aruś Myrcha. I on to zaczął przycinać Tomka, tak jak ten kiedyś przycinał Scheta. Pan Premier pochwalił Arusia za zminiaturyzowanie Tomka, ale nie pozwolił pomniejszyć go całkowicie. A nawet kilka lat temu, gdy Tomkowi się chlapnęło, że trzeba zlikwidować 13. i 14. emerytury, premier najpierw zapłonął wielkim gniewem. Tak wielkim, że zapowiedział, iż Tomek nie dostanie miejsca na listach wyborczych PO. No i nie dostał. Na liście do Sejmu. Na szczęście mamy jeszcze Senat. Dlatego ciągle mamy Tomka w polityce.

No to teraz Pablo González vel Pablo Rubcow się nie pozbiera. Nie ucieknie przed karzącą ręką ministra ***Żurka***. Sąd pozwolił go aresztować. A co to znaczy? Odpowiedzmy słowami Drwala Praworządności: „Nikt nie ucieknie przed polskim wymiarem sprawiedliwości!". Rosja, gdzie Pablo się schronił, cała w dygocie. Ze strachu przed tym, że Waldek tam przyjedzie i wywiezie Pablo w bagażniku do Polski. Bo jak on coś zapowiada, to wiadomo, że tak będzie.

Wspaniały sukces Piotra Nowickiego. Zapewne nie znacie tej wybitnej postaci, a powinniście. Bo on teraz będzie wiceministrem zdrowia do spraw konsolidacji szpitali. Będzie tak konsolidował, że nie zostanie szpital na szpitalu. Ma w tym duże doświadczenie, które doceniła pani minister Grenda-Jakaśtamska (ta funfela Donalda, która zastąpiła Izę Leszczynę w MinZdrowiu). Piotr Nowicki ma już osiągnięcia w konsolidacji. Najbardziej w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, gdzie był dyrektorem. „Na zamkniętych oddziałach psychiatrycznych od stycznia nie ma papieru toaletowego. Niektórych pacjentów stamtąd nikt nie odwiedza, więc nie mają się czym podetrzeć" – informują demokratyczne media. A wiadomo, dlaczego nie ma papieru! Bo PiS, bo weto Nawrockiego, bo SAFE. Albo jakoś podobnie. Jeszcze jedno. Dyrektor Nowicki jest wszechstronnie utalentowany – napisał hymn dla Instytutu. I nawet zrzekł się praw autorskich. Hymn dyrektora Nowickiego „O Zdrowiu Psychicznym" byśmy chcieli najbardziej usłyszeć.

A jeśli chodzi o papier toaletowy dla pacjentów (skoro się upierają), to sprawę załatwi zbiórka u św. Jurasa. Tym razem nie światełko, ale rolka do nieba.

Fot. Andrzej Wiktor 2x; M. Czutko

eprasa.pl d6d2f28467

WIEŻA BAB

Pudrowanie trupa

W tej opowieści pacjent przestaje być osobą potrzebującą pomocy, a zaczyna być podejrzanym

Naprawdę trzeba mieć talent – nie byle jaki, lecz wręcz kabaretowo-polityczny – żeby dramat w ochronie zdrowia opisać językiem folderu reklamowego banku oferującego „lepszą przyszłość już dziś". Bo właśnie z czymś takim mamy do czynienia: z pudrowaniem rzeczywistości, która skrzeczy tak głośno, że nawet najbardziej wytrwały spin doktor musi podkręcić mikrofon absurdu na maksimum.

A najlepsze? Ten język nie wyciekł z żadnego tajemniczego e-maila ani podsłuchanej narady w zaciszu gabinetów. Nie. Trafił w ręce posła zupełnie... przypadkiem, w świetle kamer, podczas programu „Kontrapunkt" na antenie TVP Info. W trakcie ostrej wymiany zdań między Łukaszem Kmitą a Karoliną Pawliczak kartki krążyły jak w szkolnej ławce, tyle że zamiast ściąg były dane, tabelki i – jak się okazało – coś znacznie ciekawszego. Poseł PiS dostał od swojej adwersarki z KO dokument, który wyglądał jak żywcem wyjęty z partyjnego „przekazu dnia". Ona twierdziła, że to tylko notatki. On – że „tajna instrukcja". Problem w tym, że całkiem niedawno w Onet Rano wystąpiła wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer, która w temacie ochrony zdrowia mówiła zgodnie z przekazem, który posłowi Kmicie przekazała posłanka Pawliczak.

I tak zupełnie mimochodem kulisy narracyjnej kuchni wylądowały na stole, przy akompaniamencie kamer i rosnącego zdziwienia.

Oto bowiem pacjent, który od miesięcy odbija się od drzwi gabinetów, dowiaduje się z przekazu dnia, że... właściwie powinien być wdzięczny. Kolejka? Dłuższa? Dostęp trudniejszy? Ależ skąd. To tylko „porządkowanie systemu", żeby „ci, którzy naprawdę potrzebują", mieli szybciej. Czyli, jak należy rozumieć, problemem nie jest brak pieniędzy, lekarzy czy miejsc, lecz nadmiar pacjentów z czelnością posiadania objawów.

Nowa filozofia ochrony zdrowia brzmi więc tak: jeśli boli, to pewnie nie aż tak bardzo, skoro system uznał, że można poczekać.

Jeszcze ciekawiej robi się przy diagnostyce. Ograniczenia rezonansu czy tomografii? Nie, to tylko walka z patologią, w której pacjenci najwyraźniej z nudów zapisują się na badania w kilku miejscach. Bo przecież każdy marzy o spędzaniu wolnego czasu na wizytach w szpitalach. Netflix? Siłownia? Spotkania ze znajomymi? Nie – rezonans kręgosłupa w trzech placówkach, bo życie trzeba sobie jakoś urozmaicić.

W tej opowieści pacjent przestaje być osobą potrzebującą pomocy, a zaczyna być podejrzanym. Może nadużywa. Może przesadza. Może w ogóle symuluje. A system – niczym surowy, lecz sprawiedliwy nauczyciel – musi go w końcu zdyscyplinować.

Perłą w koronie tej narracji jest jednak kwestia zamykanych porodówek. Bo tu dopiero objawia się majstersztyk odpowiedzialności rozproszonej. To nie rząd, nie decyzje finansowe, nie polityka – to dyrektorzy szpitali. Oni – najwyraźniej w przypływie niekontrolowanej fantazji – postanowili zamykać oddziały. Zapewne dla sportu. Albo z nudów. A może z czystej złośliwości wobec przyszłych matek.

Logika jest prosta: my tylko tworzymy warunki, w których coś przestaje się opłacać. Ale decyzja o zamknięciu? To już nie nasza sprawa. To trochę tak, jakby odciąć komuś prąd, a potem ze zdziwieniem zauważyć, że siedzi po ciemku. I jeszcze dodać: „To była jego decyzja, mógł zapalić światło".

Całość spina piękna klamra językowa: „Przywracanie porządku i bezpieczeństwa". Bo nic tak nie koi nerwów jak świadomość, że chaos jest tylko źle nazwanym porządkiem, a problemy – elementem większego planu. Plan może i niewidoczny, ale za to brzmi bardzo profesjonalnie.

I tu dochodzimy do sedna: nie chodzi o to, co się dzieje, tylko jak się o tym mówi. Jeśli odpowiednio długo powtarzać, że ograniczenia to nie ograniczenia, a cięcia to nie cięcia, to może rzeczywistość w końcu się zawstydzi i dostosuje do narracji. Albo przynajmniej przestanie przeszkadzać.

Bo przecież najważniejsze, żeby przekaz się zgadzał. Pacjenci? Oni jakoś sobie poradzą. W końcu system właśnie się „porządkuje".

Dorota Łosiewicz

Ideologiczny demontaż rafinerii. Jak Bruksela i Pekin pogłębiły wiosenny kryzys paliwowy

Wiosna rozkwita w Polsce jabłoniowymi sadami i świeżą zielenią pól. Kierowcy napełniają baki przed majówkowymi podróżami, lecz na stacjach ceny przypominają, że spokój jest kruchy. Tymczasem w Brukseli trwa nerwowa narada. 13 kwietnia Ursula von der Leyen zwołała ministrów energii, by ratować sytuację po miesiącu napięć na Bliskim Wschodzie. Dodatkowe 22 mld euro wydane na ropę i gaz w ciągu 44 dni konfliktu to tylko widoczna część problemu.

Głębsze przyczyny sięgają wcześniejszych lat. Unia Europejska pod hasłami Zielonego Ładu świadomie osłabiała własne moce przerobowe ropy. Od początku 2024 r. straciła ok. 400 tys. baryłek dziennie zdolności rafineryjnej. W ciągu dwóch lat zamknięto pięć rafinerii, w tym trzy już w marcu 2025 r. Niektóre zakłady, jak we włoskim Livorno, przekształcono w instalacje do produkcji biokomponentów. Zamiast modernizować istniejące obiekty, eurokraci woleli je wygaszać lub zmieniać profil, bo tradycyjne przetwórstwo nie mieściło się w klimatycznej wizji. Efekt jest dziś dramatyczny. Gdy nadeszło realne zagrożenie geopolityczne, europejskie rafinerie nie są w stanie w pełni wykorzystać nawet dostępnego surowca. Awaryjne przestoje, odkładana konserwacja i obniżona przepustowość – oto skutki wieloletniego priorytetu ideologii nad bezpieczeństwem dostaw.

Sytuację pogarsza kolejny gracz, który działa bez sentymentów. Chiny, największy światowy importer ropy naftowej, od początku roku agresywnie zwiększały zakupy morskie. W pierwszych dwóch miesiącach 2026 r. import surowca wzrósł o prawie 16 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Nawet po wybuchu konfliktu Pekin nie zwalnia tempa – chińskie rafinerie, w tym liczne mniejsze instalacje, kupują wszystko, co pojawia się na rynku spot. To dodatkowo podbija ceny i zmniejsza pulę ropy dostępnej dla Europy. Bruksela, tak chętnie nauczająca innych solidarności klimatycznej, nagle się przekonuje, że w prawdziwej walce o surowce liczy się siła gospodarcza, a nie piękne deklaracje.

Rząd Donalda Tuska próbuje gasić pożar doraźnymi rozwiązaniami. Obniżki podatku od towarów i usług, redukcja akcyzy oraz codzienne ustalanie maksymalnych cen detalicznych na stacjach. Mechanizm ten, wprowadzony w ramach pakietu „Ceny Paliw Niżej", ma chronić kierowców przed gwałtownymi skokami. W praktyce jednak daje jedynie pozorne ukojenie. Ceny na poziomie ok. 6,16 zł za litr benzyny 95 czy 7,41 zł za olej napędowy wyglądają na kontrolowane, lecz nie rozwiązują strukturalnych problemów. Ograniczają jedynie marże detaliczne i przenoszą ciężar kosztów na budżet państwa lub rafinerie, nie zwiększając ani dostępności surowca, ani zdolności przerobowych. To klasyczna polityka krótkoterminowych plasterków, która maskuje głębsze uzależnienie od importu i słabość przetwórstwa.

Na tym tle szczególnie wyraźnie rysuje się odmienność podejścia Prawa i Sprawiedliwości. W poprzednich latach partia konsekwentnie inwestowała w polski sektor rafineryjny. Modernizowano zakłady w Płocku i Gdańsku, dbano o utrzymanie wysokich zdolności przerobowych i budowano odporność na zewnętrzne wstrząsy. Dzięki temu ORLEN mógł odgrywać rolę rzeczywistej tarczy energetycznej państwa. Nie zamykano rafinerii dla idei, lecz wzmacniano je w interesie bezpieczeństwa obywateli. PiS traktowało przetwórstwo ropy jako strategiczny element suwerenności, a nie jako przeżytek minionej epoki.

Wiosna 2026 r. obnaża całą słabość unijnego modelu. Ideologiczne wygaszanie rafinerii w połączeniu z chińskim apetytem na surowiec dało wynik, którego nikt w Brukseli nie chce nazwać wprost. Europa jest dziś słabsza, bardziej zależna i droższa w utrzymaniu, niż mogłaby być przy prowadzeniu racjonalnej polityki.

W polityce energetycznej podobnie jak w przyrodzie fizyka i geopolityka nie ulegają życzeniom ideologicznym. Lepiej mieć sprawne rafinerie i zdywersyfikowane dostawy niż eleganckie wykresy redukcji emisji przy pustych zbiornikach.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl d6d2f28467

Opozycja obawia się wojny

Tajwan

W Pekinie przebywała Cheng Li-wun, liderka Kuomintangu, partii nacjonalistycznej założonej przez Czang Kaj-szeka, który po przegranej wojnie domowej z komunistami w 1949 r. schronił się wraz z wiernymi mu siłami na Tajwanie. Przez wiele lat Kuomintang rządził na wyspie, ale od niemal 10 lat znajduje się w opozycji. Cheng Li-wun spotkała się w Pekinie z Xi Jinpingiem zarówno podczas dwustronnych rozmów, jak i na wiecu zorganizowanym na jednym ze stołecznych stadionów.

Zdaniem ekspertów wizyta 56-letniej liderki tajwańskiej opozycji daje Xi Jinpingowi możliwość zaprezentowania kompromisowego stanowiska w kwestii zjednoczenia z Tajwanem, co może być elementem przygotowań do spotkania, które w połowie maja chiński przywódca ma odbyć z Donaldem Trumpem. Pekinowi może chodzić o pokazanie, że nie optuje za siłowym zjednoczeniem, lecz jest zwolennikiem rozmów politycznych z partnerem w rodzaju Kuomintangu. Po zeszłorocznych wyborach parlamentarnych, które zakończyły się niekorzystnym wynikiem dla rządzącej na wyspie proniepodległościowej Demokratycznej Partii Postępowej (DPP), formacja ta zablokowała przyjęcie ambitnego budżetu wojskowego Tajwanu, czego chciał wywodzący się z DPP prezydent Lai Ching-te. Projekt przewidywał przeznaczenie przez Tajwan 40 mld dol. na zbrojenia, z czego zamówienia, które planowano złożyć w Stanach Zjednoczonych, miały opiewać na sumę 30 mld dol. Paradoksem sytuacji, w której znalazł się Tajwan, jest to, że po wybuchu wojny z Iranem administracja Trumpa wstrzymała realizację kontraktów zbrojeniowych.

Na konferencji, do której doszło po zamkniętym spotkaniu z Xi Jinpingiem, Cheng Li-wun opowiedziała się za utrzymaniem kompromisu z 1992 r. Było to porozumienie, które rządzący wówczas Tajwanem Kuomintang zawarł z chińskimi komunistami. Na jego mocy Tajpej potwierdzał zasadę „jednych Chin", choć jednocześnie pozostawiono szerokie pole interpretacji, co tego rodzaju sformułowanie oznacza w praktyce.

Cheng Li-wun uważa, że podtrzymanie tego kompromisu jest sposobem na „uniknięcie wojny, zapobieżenie tragedii, współpracę i zaprowadzenie pokoju". Rozładowanie napięcia wokół Tajwanu może też być na rękę władzom w Pekinie, które chcą, aby Chiny prezentowały się – zwłaszcza na tle polityki Waszyngtonu – jako gwarant stabilności, pokoju i współpracy gospodarczej.

Marek Budzisz

Pies zamiast dziecka

Parlament Brazylii przyjął ustawę pozwalającą rozwodzącym się małżeństwom dzielić opiekę nad zwierzętami. Przepis zmienia prawo rodzinne, traktując psy i koty jak część gospodarstwa domowego. A to wpłynie na orzeczenia sądów podczas rozwodów.

Zgodnie z nowymi przepisami wspólna opieka nad zwierzakiem będzie mogła zostać zasądzona, gdy rozwodzący się nie będą mogli dojść do porozumienia co do tego, kto powinien zatrzymać zwierzę przy sobie. Według oficjalnych danych 213 mln Brazylijczyków posiada ok. 160 mln zwierząt domowych. Ustawodawcy powoływali się więc na rosnącą więź emocjonalną między ludźmi a zwierzętami. Zauważyli, że wiele par ma bliskie relacje ze zwierzętami, które są uważane za członków rodziny. Do tego wzrosła liczba sporów sądowych dotyczących opieki nad zwierzętami.

Rezultatem pogłębiającej się dekadencji są więc nie tylko rozwody i brak dzieci. Niechęć do rodzicielstwa ma bowiem dalsze konsekwencje. Dziś to dobro zwierząt – ustawowo i odgórnie – jest stawiane w centrum sporów sądowych. Teraz sędziowie będą musieli badać warunki, w jakich zwierzęta żyją w domach rozchodzących się par, jakość sprawowanej nad nimi opieki oraz ocenić poświęcany im czas i uwagę. Sąd zdecyduje również o tym, jak sprawiedliwie podzielić koszty utrzymania zwierzęcia. Wspólna opieka nie zostanie zaś przyznana, jeśli pojawią się dowody na stosowanie wobec zwierzaka przemocy, złego traktowania, przestępstwa lub wyjdą na jaw okoliczności dowodzące pojawienia się ryzyka przemocy domowej.

Brak dzieci powoduje więc ich zastępowanie przez psy, czego skutki są dalekosiężne. Ich dobrostan i interesy są coraz częściej uwzględniane przez prawo rodzinne w innych krajach. Już wiele lat temu podobne regulacje pojawiły się w Portugalii, Francji i Hiszpanii. W 2014 r. Francja, rewidując swój kodeks cywilny, sklasyfikowała zwierzęta nie jako „dobra ruchome", ale istoty żywe i czujące, umożliwiając tym samym zasądzanie wspólnej opieki w sprawach rozwodowych. Pięć lat temu sąd w Hiszpanii przyznał jednej z par wspólną opiekę nad psem, uznając obie strony za współodpowiedzialne za jego psi los.

Choć zmarły rok temu papież Franciszek z sympatią odnosił się do czworonogów, sugerując nawet, że i dla nich znajdzie się miejsce w raju, ostro ganił europejskie narody za schlebianie kulturze, w której uprzywilejowane jest posiadanie psów lub kotów, a nie dzieci.

Maciej Walaszczyk

Brazylia

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl d6d2f28467

Hiszpania

Współczesny Herod?

Zacieśnia się pętla wokół lewicowego premiera Hiszpanii Pedra Sáncheza. Przed Sądem Najwyższym w Madrycie stanął najbliższy współpracownik szefa rządu, minister transportu José Luis Ábalos, oskarżony o korupcję, płatną protekcję, defraudację, nadużycie poufnych informacji i przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej. Prokuratura domaga się dla niego 24 lat więzienia. Razem z nim na ławie oskarżonych zasiadł jego doradca Koldo García, któremu grozi 19 lat pozbawienia wolności.

Poza tym hiszpańska policja dokonała nalotu na siedzibę rządzącej partii socjalistycznej PSOE w Madrycie, a sędziowie wszczęli śledztwo w sprawie nielegalnych płatności gotówkowych w tym ugrupowaniu. Podejrzany o łapówkarstwo jest też sekretarz partii Santos Cerdán, w sprawie którego toczy się odrębne dochodzenie. Objęta jeszcze jednym śledztwem w sprawie korupcji i handlu wpływami pozostaje także żona premiera – Begoña Gómez, a jego brat David Sánchez jest oskarżony o nadużywanie stanowiska i przestępstwa finansowe.

Co w tej sytuacji robi szef rządu, którego najbliższe otoczenie okazuje się uwikłane w gigantyczne afery korupcyjne? Otóż tego samego dnia, którego rozpoczął się proces Ábalosa, Sánchez odwrócił uwagę publiczną od wspomnianych skandali, ogłaszając budzącą wiele emocji w społeczeństwie decyzję. Otóż zaproponował przeprowadzenie reformy konstytucyjnej, polegającej na włączeniu prawa do aborcji do art. 43 ustawy zasadniczej, który dotyczy opieki zdrowotnej. Chce w ten sposób spolaryzować debatę publiczną i zmobilizować wokół siebie lewicowy elektorat. Wsparła go już część ministrów, np. szefowa resortu ds. równości Ana Redondo oświadczyła, że dzień, w którym aborcja stanie się prawem konstytucyjnym, będzie „ważnym dniem dla hiszpańskiej demokracji".

Niektórzy komentatorzy w związku z tym porównują jednak Sáncheza do króla Heroda, który ze strachu przed utratą władzy postanowił przelać niewinną krew najbardziej bezbronnych dzieci.

Grzegorz Górny

Panu

Jackowi Sasinowi

Posłowi na Sejm RP

wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci

MAMY

składa

Przemysław Czarnek
Wiceprezes PiS

Panu

Jackowi Sasinowi

Posłowi na Sejm RP

wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci

MAMY

składa

Grzegorz Bierecki
Senator RP

eprasa.pl d6d2f28467

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

89 lat na widecie

Jan Pietrzak

Właśnie rozglądam się, co dalej robić z tak pięknie w II RP rozpoczętym życiem. W przypływie desperacji postanowiłem przyjąć propozycję ujawnienia wieku: kończę 89 lat. Osobiście uważałem, że nie ma się czym afiszować, ale żona mnie wystraszyła, że kolejny rok do „okrągłego" jubileuszu może być trudny pod obecną administracją. Trzeba się spieszyć z jubileuszem. A ja się żony słucham. Dzieci potwierdzą i pies z kotem również. Za rok może tu być taki sejf, czyli syf, że zabraknie nam gości na imprezie. Żony słucham, bo mamy ślub sakramentalny, a to święta umowa. W młodości praktykowałem mniej wymagające relacje. Nie ma się czym chwalić, ale zgodnie z obyczajami tamtych lat żyliśmy sobie parami na bazie sojuszu damsko-męskiego ze związkiem małżeńskim na ciele.

W kontekście moich doświadczeń nie rozumiem obecnych histerycznych wrzasków na temat związków partnerskich. Kto tu komu zabrania być czyimś partnerem? Partia rządząca posiada w Kotlinie Kłodzkiej modny ośrodek przyuczający dzieci do partnerstwa w tej materii. W ogóle, patrząc szerzej – staliśmy się krajem niebywałej tolerancji i zdumiewającej swawolności. Numery, jakie wyczyniają tusko-czarzaste kadry, wejdą do annałów publicznych wygłupów i grepsów.

Parodia zaprzysiężenia sędziów Trybunału mogła do rozpuku rozbawić zwolenników konstytucji i praworządności „takiej jak my ją rozumiemy". Ten rozpuk będzie się potęgował i narastał do kolejnych wyborów. Jeżeli proces ogłupiania narodu będzie się toczył w takim tempie, Polska po raz kolejny zniknie z mapy Europy. Niemcy tak nas finansowo wycisną i przekręcą, że będziemy się nadawali jedynie do zbierania szparagów. Może nieco przesadzam, bo szparagi będą już zajęte przez Węgrów, którzy po odstawieniu Orbána otrzymają w nagrodę liczne przywileje: złodziejski kredyt SAFE, imigrantów z wykształceniem wyższym, dostawy gazu z moskiewskich rezerw... Eurokomitet Centralny dysponuje potężną paletą kar i nagród dla podległych nacji.

Ja już to wszystko widziałem, czuwając na mojej widecie. Dziadek podśpiewywał: „Siedzi ułan na widecie, a siodło go w dupę gniecie", kiedy przyuczał mnie do nocnika. Dziwne historie przywołuje pamięć po osiemdziesiątce. Napisałem taki rapowy numer: „Marna pamięć męczy mnie ogromnie, nie pamiętam, co zapomnieć!". Jestem już za stary na rapera, ale lubię ten styl. W latach 60. miałem kawałek bardziej gadany niż śpiewany: „Niestraszne wichry, niestraszne zimy złe, świeci nam słońce RWPG! Przywraca humor, uśmiech ci śle cztery litery: RWPG". To jest niedościgły wzór Unii Europejskiej! Nigdy nie dostałem zgody cenzury na wykon. Nawet pod rządem Mazowieckiego!

Teraz w „wolnej" Polsce zakazana jest cała moja twórczość. Po 66 latach w branży istnieję wyłącznie w kilku niepodległych enklawach, m.in. w tygodniku „Sieci"! Dziękuję Wam, Redaktorzy i Czytelnicy, z całego serca!

Lewe układy

Samuel Pereira

Kiedy premier Donald Tusk, zabiegając o poparcie w kampanii wyborczej, obiecywał „walczyć z układami", mało kto z jego wyborców mógł przypuszczać, że układy właśnie przybiorą nową, elegancką formę – z kancelarią adwokacką w roli pralni i byłą rzecznik Państwowego Zakładu Higieny jako twarzą „niezależnej" ekspertyzy. A jednak.

Historia Anny Deli, którą już interesują się politycy opozycji, nie są tylko klasycznymi „drzwiami obrotowymi". To coś gorszego. To drzwi, które nigdy się nie zamknęły. Dela, będąc zatrudniona w PZH, zaczęła pisać „odpowiednie" raporty i opinie dla Sejmu. Robiła to w trakcie pełnego etatu jako rzeczniczka Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego. Instytucji, której zadaniem jest chronić Polaków przed zagrożeniami zdrowotnymi, w tym przed nadmiernym spożyciem tytoniu i alkoholu. W tym samym czasie, gdy brała państwową pensję i miała dostęp do danych oraz wpływ na kształt polityki zdrowotnej, jej „niezależny" Instytut Człowieka Świadomego produkował ekspertyzy, idealnie pasujące do interesów koncernów tytoniowych i browarów.

Pieniądze przelewały się dyskretnie przez kancelarię adwokacką – idealna osłona tajemnicy adwokackiej. Nikt nie miał wiedzieć, kto naprawdę zamawia i płaci, a później pojawiały się „obiektywne" opinie. Czy to jeszcze szara strefa, czy już korupcja w białych rękawiczkach, w samym sercu instytucji państwa? Na to pytanie powinno odpowiedzieć Centralne Biuro Antykorupcyjne. Czy stanie się to za tej władzy? Obawiam się, że nie.

Najbardziej oburzające jest to, że Dela nie czekała nawet na koniec stosunku pracy. Pisała te raporty, mając pełny dostęp do państwowych danych i wiedzy, jednocześnie świadcząc płatne usługi na rzecz branż, które NIZP powinien twardo kontrolować i ograniczać. Tytoń i alkohol – dwie gałęzie przemysłu, które generują gigantyczne zyski, a jednocześnie ogromne koszty dla systemu ochrony zdrowia.

Sytuacja jest wyjątkowo niepokojąca, bo jeśli nawet instytucje zdrowia publicznego są na usługach wielkiego biznesu – to gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla zwykłego Polaka?

eprasa.pl d6d2f28467

Soczewka sprzecznych interesów?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Położone w północno-zachodnim rogu Afryki pięciomilionowe terytorium przez ponad trzy dekady budowało funkcjonujące państwo, które do niedawna pozostawało niezauważalne dla międzynarodowej społeczności. Somaliland to region, który ogłosił secesję od Somalii w 1991 r. i przyjął nazwę Republika Somalilandu.

Od 1991 r. Somaliland skutecznie utrzymuje niezależną strukturę wewnętrzną, organizując wybory zbliżone do demokracji i ustanawiając instytucje zapewniające porządek publiczny. Jego niepodległość nie została powszechnie uznana przez społeczność międzynarodową. Somaliland jest strategicznie położony wzdłuż południowego wybrzeża Zatoki Adeńskiej i w pobliżu cieśniny Bab al-Mandab – jednego z najważniejszych morskich punktów newralgicznych na świecie. Ten wąski przesmyk łączy Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim i służy jako brama do Kanału Sueskiego, co czyni go kluczowym punktem dla handlu między Europą, Azją i Bliskim Wschodem. Znaczna część globalnego transportu morskiego, w tym ropy naftowej i kontenerów, przechodzi właśnie przez ten korytarz. Najistotniejszym punktem jest port Berbera, którego rozwój pozycjonuje go jako rosnącą alternatywę dla portów w Dżibuti, obecnie dominującego centrum logistycznego w regionie.

W ostatnich miesiącach międzynarodowa pozycja Somalilandu zyskuje na znaczeniu. Pod koniec ubiegłego roku Izrael ogłosił, że jest pierwszym państwem, które oficjalnie uznało jego niepodległość. Decyzja ta została potępiona jako „nielegalna" przez rząd Somalii i wiele innych krajów. Oficjalne uznanie Somalilandu przez Izrael zapewnia temu drugiemu państwu dostęp do strategicznego korytarza *via* port Berbera na północy. Wspólne oświadczenie Izraela i Somalilandu wskazywało, że republika ma przystąpić do porozumień Abrahama (proces normalizacji stosunków Izraela ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem, Sudanem i Marokiem).

Uznanie Somalilandu zostało negatywnie przyjęte przez głównych sojuszników Somalii: Katar, Arabię Saudyjską, Turcję i Egipt. Zaangażowanie Turcji w Somalii trwa od ponad dekady. W 2011 r., gdy Somalia przeżywała szczyt głodu, Ankara zaangażowała się w pomoc humanitarną i rozwojową, która położyła podwaliny pod głębsze stosunki dwustronne. W 2017 r. Turcja otworzyła swoją największą zagraniczną bazę wojskową w Mogadiszu, znaną jako Camp TURKSOM, pełniącą funkcję głównego ośrodka szkolenia oficerów i komandosów somalijskiej armii. Relacje te pogłębiły się jeszcze bardziej w 2024 r., kiedy somalijski parlament zatwierdził 10-letnią umowę o współpracy obronnej i gospodarczej z Turcją. Prezydent Recep Erdoğan potępił uznanie Somalilandu przez Izrael jako działanie czysto destabilizujące i niesłużące żadnemu konstruktywnemu celowi.

Z kolei Pekin współpracuje z Somalią w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku i ma silne, strukturalne powody, by sprzeciwiać się jakimkolwiek zmianom *status quo*. Zainwestował znaczne środki w Dżibuti, gdzie prowadzi swoją jedyną zagraniczną bazę wojskową i straciłby, gdyby etiopski eksport przestał tamtędy przechodzić. Co ważniejsze, biorąc pod uwagę skojarzenia z Tajwanem, wspieranie starań o uznanie Somalilandu niesie ze sobą konsekwencje, na które Pekin nie może sobie pozwolić.

Już w 2024 r. ustawę o uznaniu Somalilandu przez USA przedstawił kongresmen Scott Perry. Jednak w ubiegłym tygodniu rzecznik Departamentu Stanu powiedział, że „USA nadal uznają suwerenność i integralność terytorialną Federalnej Republiki Somalii, która obejmuje terytorium Somalilandu". W ostatnim czasie władze Somalilandu zaoferowały Ameryce dostęp do bazy wojskowej i zasobów mineralnych. W zeszłym miesiącu oficjalna strona Republiki Somalilandu na portalu X wychwalała zalety Berbery, chwaląc się, że posiada ona „głębokowodny port wzdłuż arterii łączącej Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim" oraz „jeden z najdłuższych pasów startowych w Afryce, pierwotnie zaprojektowany jako awaryjne miejsce lądowania NASA". Czy USA stworzą nową bazę i uznają Somaliland?

REKLAMA

33/0326/F

eprasa.pl d6d2f28467

Walizka Bożeny Kociołkowskiej

primabaleriny Teatru Wielkiego w Warszawie (1960–1986), pedagog, choreografki, reżyserki, niestrudzonej propagatorki sztuki tańca w Polsce i za granicą

Moja podróż przez życie jest ściśle związana z baletem i kulturą. Do warszawskiej Szkoły Baletowej chodziłam wśród gruzów stolicy. Ukończyłam ją w 1960 r., by w wieku 19 lat zadebiutować na scenie Teatru Wielkiego w największej roli baletu klasycznego Odetty-Odylii w „Jeziorze łabędzim". Występ, który zebrał dużo pozytywnych recenzji, otworzył mi drogę do kariery scenicznej. Finalnie przez 26 lat zatańczyłam 45 ról w baletach klasycznych i współczesnych w Polsce i za granicą. W 1979 r. ukończyłam studia z zakresu pedagogiki tańca w Akademii Muzycznej w Warszawie, a w 1992 r. Podyplomowe Studium Obrotu Dziełami Sztuki Profesjonalnej na wydziale Handlu Zagranicznego SGH w Warszawie. Byłam stypendystką m.in. w Centre International d'Art Choréographique w Paryżu, Palucca Schulz w Dreźnie, School of Dance Ruth Page w Chicago i Centro di Danza w Rzymie. Pracowałam na stanowisku dyrektorki baletu w Teatrze Wielkim w Łodzi i Operze Bałtyckiej w Gdańsku oraz dyrektorki artystycznej szkół baletowych w Warszawie i Bytomiu. W 2005 r. zorganizowałam I Międzynarodowy Konkurs Choreograficzny Uczniów Szkół Baletowych, który w 2018 r. został nazwany moim imieniem. Z kolei w 2019 r. miała miejsce I edycja Ogólnopolskiego Konkursu „Perły Tańca" w sześciu kategoriach. Z mojej inicjatywy została wzniesiona symboliczna rzeźba tancerki autorstwa Zbigniewa Stanucha przy Teatrze Wielkim-Opery Narodowej w Warszawie. Na jej cokole wykuty jest napis: „W hołdzie polskim artystom baletu". Statuetka Perła Tańca jest miniaturą tej rzeźby i wręczana jest przez moją Fundację FST.

Fot. Michał Korsun, Zygmunt Sidło, Edward Hartwig, prywatne archiwum Bożeny Kociołkowskiej, Shutterstock

BIOGRAFIA

W „Pierwszej damie warszawskiego baletu" opowiadam o scenie baletowej na tle barwnych czasów powojennej Polski. A to wszystko wzbogacone jest o anegdoty i ciekawostki świata teatru raz baletu... pełnego bezwzględnej rywalizacji.

eprasa.pl d6d2f28467

„SPOTKANIA ZE SZTUKĄ TAŃCA”

Publikacja ma charakter rocznika i skupia się na popularyzacji wiedzy o tańcu, wybitnych postaciach polskiej sceny oraz wydarzeniach artystycznych.

WYCINKI MAMY

Moja mama długo nie mogła się przekonać do mojej pracy na scenie, ale skwapliwie zbierała wszystkie wycinki prasowe na mój temat, m.in. z recenzjami Jerzego Waldorffa. Dopiero gdy skończyłam SGH, poczuła ulgę.

PUBLIKACJE

Moje pisanie rozwinęło się mocno i szeroko podczas pandemii, gdy jak wszyscy zostałam „zamknięta” w domu. Publikuję artykuły o sztuce tańca w „Bez Wierszówki”, „Twojej Muzie”, „Ostoi”, „Biuletynie ZASP” oraz „Kulturze i Biznesie”.

BIAŁA FIGURKA

Prezent od rosyjskiego pedagoga Aleksandra Sobola, który przygotowywał mnie do największej roli w balecie klasycznym Odetty-Odylii w „Jeziorze Łabędzim” w choreografii Natalii Konius.

ODZNACZENIA

Moja działalność artystyczna, społeczna i promotorska została doceniona. Otrzymałam wiele nagród i odznaczeń m.in. Złoty Krzyż Zasługi, Złoty Medal „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”, Nagrodę Prezydenta Bytomia za szczególne zasługi dla bytomskiej oświaty oraz Nagrodę Ministra Kultury za całokształt pracy artystycznej.

FUNDACJA NA RZECZ SZTUKI TAŃCA

Od 2008 r. jestem założycielką i prezesem fundacji, której celem jest propagowanie sztuki tańca. Priorytetowym zadaniem FST było wzniesienie przy gmachu TW-ON w Warszawie rzeźby w hołdzie polskim artystom baletu. Fundacja organizuje także konkursy i wydaje książki: „Taniec w oczach dzieci”, „Pierwszy krok w tańcu – pierwszy krok w kulturę”, „Spotkania ze sztuką tańca”.

OJCIEC PIO

Jest moim drogowskazem. Rozmawiałam z ludźmi, którzy znali go osobiście. Gdy moja przyjaciółka ciężko zachorowała i zapadła w śpiączkę, w szpitalu pod jej poduszkę włożyłam obrazek z o. Pio. Następnego dnia odzyskała przytomność...

„PERŁY TAŃCA”

Jestem pomysłodawczynią nazwy i realizatorką Ogólnopolskiego Konkursu „Perły Tańca”, którego laureatami są najwybitniejsi artyści sztuki tańca w Polsce i za granicą. W tym roku statuetka jest wręczana po raz 18. Ta edycja będzie miała miejsce w Barcelonie.

EMERYTURA TANCERZY

W 2010 r. polskim artystom sztuki tańca zostały odebrane emerytury. Konsekwencją jest to, że w Polsce rodzice nie chcą oddawać dzieci do szkół baletowych. Obecnie w 11 teatrach operowo-baletowych 60 proc. tancerzy to obcokrajowcy.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Niewygodny głos

W Parlamencie Europejskim pamięć ma być wygodna. Starannie wyreżyserowana, pozbawiona ostrych krawędzi, bez pytań, które mogłyby zakłócić komfort uczestników, że co do nich należy, właśnie zostało zrobione. Tak było również tym razem.

Podczas wydarzenia zorganizowanego przez niemieckiego europosła Olivera Schenka (tak, tego samego, który złożył na mnie skargę do przewodniczącej europarlamentu za to, że wręczyłem mu raport o stratach wojennych Polski) odbył się „wirtualny spacer" po obozie Auschwitz-Birkenau. To dobra inicjatywa, bo każde przypomnienie o największej zbrodni w historii Europy jest potrzebne. Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy pamięć staje się jedynie formą, a nie treścią. Tak było i tym razem.

Po zakończeniu prezentacji chciałem zabrać głos. Nie po to, by podważać sens wydarzenia, lecz by zadać pytania, których zabrakło. O odpowiedzialność. O uczciwość. O to, kto naprawdę ponosi ciężar utrzymania miejsc pamięci. Wtedy wydarzyło się coś znamiennego – niemiecki europoseł próbował odebrać mi głos, kończąc konferencję tuż przed moim wystąpieniem.

Zabrałem go mimo to. I mam przekonanie, że właśnie dlatego wybrzmiał jeszcze mocniej. Próba jego stłumienia sprawiła, że słuchacze wsłuchali się w niego uważniej. Bo przecież trudno nie wysłuchać, gdy próbuje się uniemożliwić przemówienie: „Co takiego miał do powiedzenia polski eurodeputowany, że próbowano pozbawić go możliwości wystąpienia?".

Powiedziałem jasno: pamięć o ofiarach nie może być wygodnym rytuałem. W okupowanej Polsce istniały tysiące niemieckich obozów i miejsc represji. Miliony ludzi zostały zamordowane. Dziś Polska ponosi ogromne koszty utrzymania tych miejsc, w ciągu zaledwie jednej dekady – od 2014 r. do 2023 r. – przeznaczyła ponad 270 mln euro na ich utrzymanie. Roczny budżet samego Auschwitz wynosi 35–45 mln euro. Tymczasem wsparcie międzynarodowe pozostaje symboliczne. To nie jest wyłącznie polska historia. To przecież niemiecka odpowiedzialność.

A jednak gdy przychodzi do konkretów, do rozwiązań systemowych – zapada cisza. Ta sama, która chwilę wcześniej próbowała zagłuszyć mój głos.

W PE Niemcy organizują wydarzenia o pamięci, ale trudniej im się zmierzyć z jej konsekwencjami. Łatwo mówić o historii, trudniej przyjąć odpowiedzialność, która z tej historii wynika.

Jeśli pamięć ma być czymś więcej niż dekoracją, musi być pełna. A pełna pamięć oznacza również odwagę zadawania niewygodnych pytań – nawet wtedy, gdy ktoś próbuje wyłączyć mikrofon.

Arkadiusz Mularczyk

A tu Ronaldo wszedł na plan

Z Maciejem Kawalskim, reżyserem najnowszej, kinowej wersji „Lalki", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Cztery lata temu zadebiutował pan jako reżyser brawurowych, pełnometrażowych „Niebezpiecznych dżentelmenów". Jakim wyzwaniem okazała się „Lalka"?

Maciej Kawalski: „Dżentelmeni" byli zabawą, pewną konstrukcją farsy, bajką na temat Zakopanego, które nigdy nie istniało. „Lalka" jest czymś zupełnie innym – poważniejszym, prawdziwszym, szlachetniejszym. Opowiada o dużo głębszych emocjach. Od początku realizacji czuliśmy wielką odpowiedzialność. Mieliśmy świadomość, że dotykamy artystycznej świętości i nie możemy tego zepsuć.

W „Dżentelmenach" Marcin Dorociński zagrał Witkacego. Kiedy zobaczył pan w nim Wokulskiego?

Od początku. Marcin ma w sobie niesamowity magnetyzm, charyzmę, złożoną wrażliwość i dokładnie tak wyobrażałem sobie Wokulskiego. Jako człowieka odważnego, heroicznego, który – gdy trzeba – potrafi zakasać rękawy. Nie ma w sobie cienia pretensji, snobizmu, poczucia wyższości. Jednocześnie jest wrażliwy i romantyczny, czyli zbudowany z przeciwieństw, które tworzą niesamowitych bohaterów.

A jak było z Izabelą Łęcką?

Kamila [Urzędowska – przyp. red.] też była pierwszym wyborem. Jest w jakiś sposób nieodgadniona, tajemnicza, magnetyczna. Lubię, gdy energia aktora rezonuje z bohaterem. Czasami w sposób komplementarny, innym razem jako przeciwieństwo, ale w znaczący sposób dopełniając postać.

Tak było również w przypadku Rzeckiego?

Nadal nie mogę uwierzyć, że Marek Kondrat zagrał w naszym filmie. Obserwowanie go na planie było czymś absolutnie spektakularnym. Zastanawialiśmy się, jak to będzie, kiedy pojawi się po blisko 20 latach przerwy od grania, a tu po prostu Ronaldo wszedł na boisko, dotknął piłki i wszyscy zastygliśmy z podziwu.

Czytaj też str. 61

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d6d2f28467

Polak, Węgier, dwa bratanki

Pół wieku komunistycznej okupacji wyeliminowało (fizycznie) patriotyczną elitę naszego kraju i zastraszyło pozostałą część narodu. Po II wojnie światowej UB, KBW i NKWD wymordowały więcej żołnierzy polskiego podziemia niż Wehrmacht, gestapo i SS razem wzięte! Mimo terroru i indoktrynacji przetrwaliśmy (jako wspólnota) w całkiem niezłej kondycji. Świadczą o tym bunty w latach 1956, 1970 i 1976 oraz powstanie Solidarności. A także miliony ludzi manifestujących swą polskość i wiarę na spotkaniach z papieżem Janem Pawłem II.

W tzw. wolnej Polsce ofensywa sponsorowanej z Zachodu lewackiej demoralizacji zawłaszczyła edukację i popkulturę. Dewiza „róbta, co chceta" okazała się skuteczniejsza niż nazistowsko-komunistyczny terror. Konsekwencjami tej ofensywy jest dziś zapaść demograficzna, zanik więzów rodzinnych i jedności narodowej. Zmienił się też świat wartości młodych ludzi: patriotyzm, rodzicielstwo i wiara, porządkujące dotąd życie Polaków, stały się passé. Egoizm tak wyhodowanego elektoratu dewastuje dziś wszystkie przykazania Dekalogu. Ten zanik instynktu samozachowawczego wyborców (mimo zagrożeń wojennych, niekontrolowanej migracji, genderowych absurdów, duszenia gospodarki Zielonym Ładem i zwijania się państwa) prowadzi do samozagłady. Depopulacja Polski i zniewalanie Polaków nasila się. Wymiera właśnie pokolenie, któremu zawdzięczamy największy powojenny wyż demograficzny oraz dzisiejszy dobrobyt. Dla nieznających swej historii młodych Węgrów i Polaków wolność oraz suwerenność nie są już priorytetami. Wchodząc w wiek dojrzały, głosują zatem według własnych przekonań. Cóż, mają do tego prawo! Wkrótce poniosą bolesne konsekwencje swych wyborów...

PS Apeluję do młodzieży: zapamiętajcie swe dzisiejsze, w miarę bezpieczne i dostatnie sielsko-anielskie dzieciństwo! Byście mogli kiedyś opowiedzieć o tym swym następcom. O ile wasze „psiecko" zrozumie cokolwiek ze wspomnień „ostatniego pokolenia" cudownej Polski początku XXI w.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Dar Młodzieży wypłynął w rejs do Nowego Jorku na 250-lecie USA

Fot. Kamil Gozdan/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: FILIP NAUMIENKO/REPORTER, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, DONALD TUSK/X.COM, MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK/ LUMENA

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl d6d2f28467

Włodzimierz Czarzasty wzbogacił się dzięki firmie, która powstała z pieniędzy wyprowadzonych z PZPR. Niektórzy nazywają ten proces „uwłaszczeniem", inni – „kradzieżą"

Fot. Andrzej Wiktor

Transakcja Czarzastego

eprasa.pl d6d2f28467

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Wydawało się, że kariera Włodzimierza Czarzastego legła w gruzach 28 maja 2004 r. Sejm niespodziewanie przegłosował wówczas raport końcowy z prac komisji badającej aferę Rywina w wersji przygotowanej przez Zbigniewa Ziobrę. Czarzasty został w nim uznany za członka „grupy trzymającej władzę", która wspólnie i w porozumieniu, za pośrednictwem Lwa Rywina, złożyła korupcyjną propozycję przedstawicielom wydawnictwa Agora. Miało to być tzw. łapownictwo czynne. Sprawą miesiącami żyła cała Polska. Mówiono o wielkim przełomie, końcu postkomunistycznych oligarchów, zdarciu zasłony skrywającej prawdziwe mechanizmy biznesu i polityki. Po skandalu i zakończeniu swojej kadencji w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji Czarzasty znalazł się na marginesie.

KASA I ZNAJOMOŚCI

Był na nim dość długo, ale wrócił z hukiem. Najpierw przejął SLD, potem wchłonął partię Wiosna, a w 2019 r. po raz pierwszy w życiu został posłem. Dziś jest drugą osobą w państwie, facetem kreującym się na sumienie narodu i głównego obrońcę demokracji. Jak to możliwe? Bezwzględność, cynizm, umiejętność prowadzenia dość prymitywnych, ale działających rozgrywek personalnych – tak odpowiadają zazwyczaj wrogowie Czarzastego. Inteligencja, lojalność, sympatyczny sposób bycia – to z kolei odpowiedź jego przyjaciół.

Prawdziwym kluczem w tym wielkim powrocie były jednak dwie rzeczy: kasa i znajomości. Czarzasty przetrwał w obiegu politycznym dzięki stowarzyszeniu Ordynacka, skupiającemu dawnych działaczy Zrzeszenia Studentów Polskich, w którym za komuny karierę robił dzisiejszy marszałek Sejmu. Swego czasu było to jedno z najpotężniejszych lobby polityczno-biznesowych w kraju. Czarzasty został szefem Ordynackiej w 2006 r. i piastował tę funkcję przez 11 lat.

Włodzimierz Czarzasty mógł błyszczeć, działać i budować zaplecze polityczne dzięki kasie. Wielkiej kasie, którą zdobył, prowadząc wydawnictwo Muza.

ŻYWICIEL PZPR

Aby zrozumieć, czym jest i skąd się wzięła Muza, najpierw trzeba się przyjrzeć Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch", ważnego żywiciela Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, z której podczas transformacji ustrojowej wyprowadzano majątek, żeby mogli uwłaszczyć się na nim partyjni towarzysze.

Fundamentem RSW był rabunek dokonywany przez zwycięskich, wspomaganych karabinami i nahajkami NKWD komunistów, którzy od 1944 r. instalowali swoje rządy nad Wisłą. Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa" została założona na mocy uchwały Sekretariatu KC PPR 10 maja 1947 r. Postawiony przed nią cel był prosty: „Skupienie w jedną organizacyjną całość wydawnictw prasowych, drukarń i pokrewnych przedsiębiorstw prowadzonych przez Komitety Wojewódzkie PPR i zapewnienie prasie partyjnej wszechstronnych możliwości rozwoju".

„Wszechstronny rozwój" polegał na tym, że RSW „Prasa" wchłaniała przedsiębiorstwa, spółdzielnie i organizacje, stając się „centralną instytucją wydawniczą PZPR". W 1972 r., po przyłączeniu kolejnych podmiotów, powstał koncern wydawniczy RSW „Prasa-Książka-Ruch". W 1987 r. zarządzał on m.in. 20 wydawnictwami i 5 agencjami prasowymi, 18 zakładami poligraficznymi, 17 przedsiębiorstwami koloportażowo-sprzedażowymi, 93 klubami Międzynarodowej Prasy i Książki, Centralą Handlu Zagranicznego „Ars Polona", Przedsiębiorstwem Filatelistycznym, Zakładem Transportu i Zakładem Usług Remontowo-Budowlanych, Zakładem Produkcji Mebli, a także 4 ośrodkami wypoczynkowymi.

RSW była faktycznym monopolistą na rynku prasy, której sprzedaż przynosiła koncernowi największe pieniądze. Płynęły one do kasy PZPR, stanowiąc – obok dotacji państwowych – jedno z najpoważniejszych źródeł dochodu „właścicieli Polski Ludowej".

KRADZIEŻ? TAK TO MOŻNA NAZWAĆ

U szczytu potęgi RSW w Związku Sowieckim rozpoczęła się pierestrojka. Wiadomo było, że realny socjalizm zaraz się skończy.

– Towarzysze z PZPR wiedzieli, że gdy Polska wejdzie do systemu rynkowego, kapitalistycznego, to należy mieć organizacje działające jak w gospodarce kapitalistycznej. Stworzono więc m.in. spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością pod nazwą Transakcja – mówi reporterom „Sieci" i telewizji wPolsce24 Arnoś Bećka, który w latach 2000–2001 pełnił funkcję likwidatora majątku byłej PZPR.

Zarejestrowana w 1988 r. Transakcja była jedną z wielu stworzonych przez komunistów spółek, do której transferowano pieniądze partii i zależnej od niej podmiotów. Potocznie nazywa się to „uwłaszczeniem nomenklatury", ale np. Arnoś Bećka nie waha się tu użyć słowa „kradzież".

– Wszystko, co nie należało do osób prywatnych, do osób fizycznych, należało do państwa. A PZPR to było państwo, albo odwrotnie – państwo to była PZPR. Na stan na 1988 r. można powiedzieć, że było to albo przekazywanie pieniędzy, albo kradzież. Pieniądze PZRP to były pieniądze wypracowane przez państwo polskie, tak naprawdę te środki były wtedy państwowe. Określenie, że była to kradzież, nie jest daleko odbiegające od prawdy. Tak to można nazwać – powiedział nam adwokat, który próbował odzyskać dla państwa pieniądze zachachmęcone przez komunistów. Bezskutecznie.

– Kogo okradziono? – pytamy.

– Państwo polskie – odpowiada.

Mimo wyroków sądów partia SdRP, następca PZPR, a także wyrodzony potem z niej Sojusz Lewicy Demokratycznej nie poczuwały się, by cokolwiek płacić. Oficjalnie – oni po prostu nic nie mieli, nie mieli z czego oddać. Faktycznie – pieniądze dawno pracowały już w firmach, o prawdziwych korzeniach których mało kto już pamiętał.

eprasa.pl d6d2f28467

INTERESY SOCJALDEMOKRACJI

Transakcja została założona 26 lipca 1988 r. Udziałowcami byli RSW „Prasa-Książka-Ruch" i Akademia Nauk Społecznych przy KC PZPR. Kapitał zakładowy wynosił 150 mln ówczesnych złotych. Formalnie zrzuciły się RSW i ANS, ale w rzeczywistości wszystkie pieniądze pochodziły z tego, co zarobił koncern wydawniczy. Sekretarze partii po prostu wydali polecenie, żeby RSW „przekazało do dyspozycji" ANS odpowiednie kwoty, które następnie trafiły do Transakcji.

Radę Nadzorczą tworzyli m.in. Wiesław Huszcza – skarbnik PZPR, potem SdRP, Jerzy Szmajdziński oraz Marek Siwiec – późniejszy członek Rady Nadzorczej RSW, szef BBN, a dzisiaj przyboczny Włodzimierza Czarzastego w Sejmie. Prezesem został Wiktor Pitus, postać pojawiająca się w wielu nomenklaturowych spółkach. Transakcję kontrolowali towarzysze z KC, a po wyprowadzeniu sztandaru PZRP czołowi politycy SdRP. Zgodnie z pismem z 1990 r. „interesy Socjaldemokracji" reprezentował w spółce sam Leszek Miller.

„Spółka zajmowała się m.in. handlem zagranicznym i wewnętrznym, obrotem papierami wartościowymi, doradztwem, usługami poligraficznymi, importem alkoholu, sprzętu komputerowego, wyrobów bawełnianych z Indii, czyli wszystkim, co w tamtym czasie zapewniało największe zyski. Szybko stała się potentatem w handlu meblami" – czytamy w poświęconej historii RSW „Prasa-Książka-Ruch" monografii Katarzyny Pokornej-Ignatowicz.

Transakcja zarabiała dzięki koneksjom towarzyszy z dyrektorami państwowych firm. Towary sprowadzane przez spółkę trafiały m.in. do Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego, Spółdzielni Spożywców „Społem" oraz do GS Samopomocy Chłopskiej.

„Ze sprawozdań z działalności za rok 1989 oraz 1990 wynika, że spółka zajmowała się w zakresie handlu zagranicznego sprowadzaniem do Polski alkoholu na podstawie kontraktów z radziecką (gruzińską) firmą Sameba oraz sprowadzała z Dalekiego Wschodu sprzęt komputerowy, który następnie był eksportowany do Związku Radzieckiego. Zawyżając na politykę kursową walut w tamtym czasie, handel taki był wielce zyskowny i zapewniał hurtownikom kilkakrotne przebicie na sprzedawanych towarach. Sprowadzano też znaczne ilości wyrobów bawełnianych z Indii" – czytamy w „Sprawozdaniu z likwidacji majątku byłej PZPR" Arnośta Bećki i Jacka Molendy.

Skarbiec Transakcji był jednak tylko przystankiem. To, co wzięto z kasy RSW „Prasa-Książka-Ruch" i zarobiono dzięki partyjnym układom m.in. na interesach z Sowietami, płynęło dalej, do portów docelowych. Spółka towarzyszy inwestowała bowiem w tworzenie kolejnych spółek – też kontrolowanych przez ludzi partii komunistycznej. Najbardziej znaną z nich jest z pewnością BIG Bank, bezpieczna przystań dla pieniędzy wyprowadzanych przez komunistów. Oprócz Transakcji założycielami i udziałowcami BIG były m.in. FOZZ, Universal, PZU, Warta, Poczta Polska czy słynna Fundacja Rozwoju Żeglarstwa Mieczysława Rakowskiego i Aleksandra Kwaśniewskiego.

Były też mniejsze inwestycje. Jedną z nich stanowiło wpakowanie przez Transakcję wyprowadzonych z majątku PZPR pieniędzy w Agencję Muza.

> Towarzysze z PZPR wiedzieli, że gdy Polska wejdzie do systemu rynkowego, to należy mieć organizacje działające jak w gospodarce kapitalistycznej. Stworzono więc m.in. spółkę pod nazwą Transakcja – opowiada Arnośt Bećka, który w latach 2000–2001 pełnił funkcję likwidatora majątku byłej PZPR

DOPROSZONY I DOPRASZAJĄCY

Jak w stworzonej za czerwoną kasę firmie znalazł się Włodzimierz Czarzasty? To ciekawa i niemal nieznana historia.

Wróćmy na chwilę do afery Rywina. W nagranej przez Adama Michnika rozmowie z 22 lipca 2002 r. producent filmowy Lew Rywin wskazywał na ówczesnego członka KRRiT Włodzimierza Czarzastego jako (obok Roberta Kwiatkowskiego) inicjatora prac nad ustawą o radiofonii i telewizji. Według Rywina Czarzastemu i Kwiatkowskiemu przyświecał cel stworzenia „anty-Agory", koncernu mogącego rywalizować z imperium Michnika.

Rola Muzy była tutaj kluczowa. Wydawnictwo, którego udziałowcami byli wówczas m.in. Czarzasty i jego żona, miało być finansowo-biznesowym wehikułem przedsięwzięcia. Plan zakładał, że Muza (wyceniana wówczas na 17–20 mln zł) przejmie 51 proc. akcji Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych za 175 mln zł, kolejne udziały finansując z pieniędzy samego WSiP. Do tego miały dojść prywatyzowane media elektroniczne, m.in. regionalne ośrodki TVP, rozgłośnie radia publicznego, może nawet telewizyjna „Dwójka" (według Rywina i innych Czarzasty był orędownikiem takiej prywatyzacji). W łańcuszku powiązań i planów była też firma Euromedia TV, w której Muza Czarzastych miała ok. 30 proc. udziałów. Zarabiała ona na produkowaniu programów dla TVP. Tej samej, której prezesem był kumpel Czarzastego – Kwiatkowski.

Członkom „grupy trzymającej władzę" udało się doprowadzić transakcję z WSiP niemal do końca. 23 grudnia 2002 r. minister skarbu Wiesław Kaczmarek przyznał Muzie wyłączność na negocjacje, a w styczniu 2003 r. podpisano umowę wstępną. Wrzawa wokół afery Rywina okazała się jednak za głośna. Następca Kaczmarka Sławomir Cytrycki unieważnił sprzedaż w lutym 2003 r.

Czarzasty w wyjątkowo bezczelny – nawet jak na niego – sposób odrzucał

eprasa.pl d6d2f28467

podczas przesłuchań wszystkie zarzuty. W kolejnych kwiecistych opowieściach kreował wizerunek wesołego, trochę nieporadnego faceta, który dziwnym trafem wszystkich znał i znał się na wszystkim. W ten sposób wyjaśniał także swoje początki w Muzie.

„Po pierwsze, jestem absolwentem Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, a więc jestem politologiem z dużą wiedzą nabytą na studiach. Po drugie, pracowałem w sferze kultury, byłem animatorem kultury studenckiej, z czego jestem dumny, organizowałem festiwale, pracowałem z klubami kulturalnymi, pracowałem ze sferą kultury. Po trzecie, mój przyjaciel Adam Kaczmarek, nieżyjący, świętej pamięci, oraz pan Stanisław Stępień, mój wspólnik w firmie Muza, doprosili mnie do firmy Muza, w której to firmie Muza [...] wprowadziłem ją na giełdę i zajmowałem się wydawaniem książek, świetnych książek, w związku z tym miałem również do czynienia z mediami" – mówił Czarzasty podczas przesłuchania 9 marca 2003 r.

ZAKURZONE AKTA

Przyjrzyjmy się temu „doproszeniu", przeglądając akta Muzy spoczywające w pożółkłych, wyblakłych teczkach składowanych w gmachu KRS przy ul. Czerniakowskiej w Warszawie. Wniosek o zarejestrowanie Agencji Muza nosi datę 12 czerwca 1989 r., umowę spółki zawarto 18 maja tego samego roku. W imieniu spółki Transakcja przed notariuszem stawił się prezes tej spółki Wiktor Pitus. Wśród wspólników znaleźli się wspominani przez Czarzastego „dopraszający", czyli Adam Kaczmarek i Stanisław Stępień.

Kaczmarek był członkiem partii i aparatczykiem Zrzeszenia Studentów Polskich. W studenckiej przybudówce PZPR doszedł do najwyższych zaszczytów, kierował m.in. Wydziałem Propagandy i Szkoleń Zarządu Głównego. W ZSP działał też Stępień – z Muzą związany do dzisiaj jako jej udziałowiec i członek Rady Nadzorczej. Listę udziałowców uzupełniają m.in. Polskie Nagrania, Hanna Barbera Poland i Zakłady Graficzne „Dom Słowa" we Wrocławiu. Firma zaczyna działalność, pojawiają się pierwsze kontrakty i zyski.

Na tak przygotowany grunt wchodzi „doproszony" przez towarzyszy Kaczmarka i Stępnia Włodzimierz Czarzasty. Pierwszy ważny ślad w papierach zostawił w 1991 r., gdy do sądu trafił wniosek o odnotowanie w rejestrze przekształcenia dotychczasowej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością w spółkę akcyjną. Czarzasty jest już wówczas dyrektorem generalnym firmy i sprawuje w niej jednoosobowo zarząd.

> W planach stworzenia „anty-Agory", koncernu mogącego rywalizować z imperium Michnika, wydawnictwo Muza, którego udziałowcami byli wówczas m.in. Czarzasty i jego żona, miało być finansowo--biznesowym wehikułem przedsięwzięcia

Muza szybko się rozwijała. Zdaniem Czarzastego dzięki jego geniuszowi i świetnym książkom, które wydawała. Według mniej przychylnym nomenklaturowemu biznesowi obserwatorom raczej dzięki przejęciu majątku, np. Wydawnictwa Sport i Turystyka, czerwonym koneksjom i uprzywilejowanej pozycji na starcie. W 1998 r. spółka wchodzi na giełdę.

WSZYSTKO W RODZINIE

Jednocześnie biznes stawał się coraz bardziej rodzinny. Do firmy weszła żona Włodzimierza Małgorzata Czarzasty, która dzisiaj jest wiceprezesem Muzy i znaczącym akcjonariuszem firmy. Przez pewien czas w jej radzie nadzorczej zasiadał brat Czarzastego Janusz. Za wolnej Polski, jak i za komuny – bankowiec. W czasach PRL także kontakt operacyjny komunistycznego wywiadu o pseudonimie Fik. W jednym z imprintów Muzy pracuje córka Czarzastego Iga. Jest z tego niezła kasa. Dla przykładu: w latach 2020–2024 Małgorzata Czarzasty zarobiła prawie 3,5 mln zł brutto. Solidny dodatek do skromnej pensji parlamentarzysty Włodzimierza.

Od listopada 2001 r. firmą zarządza kuzyn Włodzimierza Marcin Garliński. Poza pracą w wydawnictwie zasiada on także w radach nadzorczych wielu firm związanych i niezwiązanych z Muzą. Do tych ostatnich należą biznesy innego krewnego Włodzimierza, Jakuba Czarzastego, który działa w branży pożyczkowej.

Do interesów dopraszani są także znajomi z pięknych czasów PRL. Przykład? Michał Słoniewski, kiedyś członek zarządu stołecznego SZSP, wieloletni członek ZSP, a potem stowarzyszenia Ordynacka. Za komuny studiował w słynnym Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych, zwanym potocznie szkołą szpiegów. Dziś Słoniewski zasiada – wraz z Małgorzatą Czarzasty – w zarządzie spółki PDK Hotele, zarządzającej Hotelem Mościcki w Spale. Ich wspólniczką jest znana od niedawna większości Polaków Swietłana Czestnych, pracownica Rosyjskiego Domu Aukcyjnego w Petersburgu. To wokół relacji Czarzastego z Rosjanką, a także kontaktów tej ostatniej np. z Asią Lwowną Borisową, szczycącą się kontraktem na budowę pałacu w Gelendżyku, kurorcie na kaukaskim wybrzeżu Morza Czarnego, wybuchł niedawno skandal. Prawdziwym właścicielem luksusowego obiektu ma być sam Władimir Władimirowicz Putin.

To już jednak temat na zupełnie inną opowieść.

wPolsce24

Historia Transakcji i Muzy, rosyjskie związki Włodzimierza Czarzastego i wiele innych, nieznanych wątków z jego życia są tematem reportażu, który będą mogli Państwo obejrzeć w poniedziałek (20 kwietnia) o godz. 20.10 na antenie telewizji wPolsce24.

eprasa.pl d6d2f28467

Tusk doradzał Magyarowi w jego walce wyborczej

Fot. fot. Donald Tusk/x.com

Prawicowa wolta lidera KO?

PIOTR GURSZTYN

Lekcja z węgierskich wyborów jeszcze może zdziwić Polaków. Według oficjalnego przekazu to zwycięstwo liberalnej demokracji nad prawicowym populizmem. A tak naprawdę sukces Pétera Magyara może być zachętą dla Donalda Tuska, aby pójść mocno w prawo. Stać się w kampanii wyborczej tym, kogo zwalcza. Czyli zamienić się w podróbkę PiS, twierdząc, że jest się lepszą wersją prawicy

Donald Tusk w takiej roli? A dlaczego nie? Był już chyba każdym – dawno temu wychwalał gen. Francisco Franco, klęczał w kościołach, potem przygarnął do Platformy Obywatelskiej wielu polityków postkomunistycznej lewicy, przywrócił przywileje emerytalne esbekom, blisko współpracuje z Włodzimierzem Czarzastym. Ale jednocześnie mówi o nacjonalizmie gospodarczym. Tym bardziej że wnioski z wyborów na Węgrzech są jednoznaczne.

Nie wygrała tam żadna zjednoczona liberalno-lewicowa opozycja. Zwycięzcą został człowiek, który przez wiele lat był ważnym funkcjonariuszem partii Victora Orbána. I odszedł z Fideszu – a właściwie został wypchnięty – zaledwie dwa lata temu. Péter Magyar pokonał dotychczasowego premiera Węgier nie jako anty-Orbán, ale Orbán 2.0. Czyli tak jakby Donald Tusk miał pokonać Jarosława Kaczyńskiego nie jako anty-PiS, ale turbo-PiS.

KONFEDERACJA OBYWATELSKA

Nie zdziwmy się, gdy kampania wyborcza 2027 r. będzie tak wyglądała. Tusk wystąpi w niej jako mocno prawicowy liberał, który nigdy nie miał nic wspólnego z progresizmem i lewicą. PiS pozostanie oczywiście głównym wrogiem, ale ostre ataki będą prowadzone w stylu, który można nazwać konfederackim. Tak jak widzimy w wykonaniu Sławomira Mentzena. Koalicja Obywatelska będzie Konfederacją Obywatelską. Możliwe nawet, że z jasnymi sugestiami przyszłej koalicji KO z partią Mentzena (choć nie wiadomo, czy z Krzysztofem Bosakiem). A to, że dziś Donaldowi Tuskowi zdarza się atakować Konfederację, nic nie znaczy. O Tusku można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest wierny jakimś przekonaniom czy zasadom. Łatwość, z jaką zmienia opinie i własną politykę, jest znana każdemu.

Oczywiście w polityce nic nie jest łatwe. Również taka wolta. Będzie tu wiele niebezpiecznych zakrętów, ale

Autopromocja

eprasa.pl d6d2f28467

trzeba ryzykować, jeśli chce się utrzymać władzę, stojąc na czele niepopularnego rządu. W marketingu politycznym od wielu lat panuje zasada, aby uderzać nie tyle w słabe strony przeciwnika, ile w jego atuty. Tak aby przestały nimi być. To ulubiona metoda Tuska. Dawny promotor resetu z Rosją, gromiący PiS za rusofobię, teraz atakuje tę partię jako rzekomą agenturę Putina. W sumie dzisiaj widać, że nie za bardzo zaszkodził tym prawicy, ale ma zysk w postaci rozfanatyzowania swoich najwierniejszych wyborców.

W innym punkcie poszło mu jednak dobrze. Mowa o imigracji. W 2015 r. PiS było odsądzane od czci i wiary za rzekomy rasizm. Potem jednak wykreowana tzw. afera wizowa zniechęciła do prawicy zauważalną część wyborców.

Zwrot w prawo może kusić lidera KO także z tego powodu, że ma nadzwyczaj elastyczny elektorat. Trzon wyborców dawnej Platformy akceptuje najbardziej zaskakujące zwroty. Ludzie, którzy przed październikiem 2023 r. wzruszali się na filmie Agnieszki Holland „Zielona granica", teraz całkowicie popierają pushbacki. Nie jest tajemnicą, dlaczego tak się dzieje. Elektorat KO jest motywowany emocją negatywną, a nie pozytywną. Bardziej nienawidzi prawicy niż kocha KO. Wiadomo to z wielu badań. Dlatego dla tych wyborców sprawy programowe nie są nawet drugorzędne – są nieistotne. Ważne jest tylko to, żeby „PS nie rządziło".

MARGINALIZOWANIE LEWICY

Może powstanie jedna antypisowska lista, aby zmieścić tam garść najbardziej lojalnych wobec KO działaczy Lewicy. O jednej liście w kontekście węgierskich wyborów wspomniał już Marcin Kierwiński. Ale przekaz tej jednej listy nie będzie musiał być liberalno-lewicowy. Gdy tylko ktoś bardziej krewki z działaczy Lewicy (choćby Anna Maria Żukowska) wychyli się z takimi hasłami – czy też pretensjami do niezależności – całe medialne zaplecze rządu będzie pałowało takich „warchołów". Wyborcy Lewicy, którzy również mają skrajnie antypisowskie nastawienie, zacisną zęby i zagłosują na „mniejsze zło". Bo ważniejsza będzie walka z „populizmem". A jak „razem pokonamy to zło", znów będzie można się pięknie różnić. Apokaliptyczna atmosfera walki dobra z złem, którą uwielbia rozbudzać Tusk, posłuży do dyscyplinowania tych w sumie nielicznych lewicowców, którzy mogą chcieć głosić swoje idee. Mądrość etapu ma jednak szansę wygrać. Lewica nie dość, że jest słaba, to jest także skrajnie oportunistyczna.

Zachętą do marginalizowania lewicy jest także to, że w całym naszym regionie nie ma ona już większego znaczenia. Cieszący się ze zwycięstwa Pétera Magyara Włodzimierz Czarzasty przemilczał fakt, że w nowym parlamencie węgierskim nie będzie ani jednego lewicowego deputowanego. W Niemczech SPD ledwo dycha, wyraźnie przegrywając z antysystemową AfD. Postkomunistyczna lewica słowacka – partia SMER premiera Ficy – przeszła mocny rebranding, stając się tym, co liberałowie nazywają „populistyczną prawicą". W Czechach lewica już od dwóch kadencji znajduje się poza parlamentem. Gdzie wady? – może zadać sobie to pytanie Tusk, myśląc o Czarzastym.

Wspomnieliśmy o tym, że liberał Tusk zaczął mówić o nacjonalizmie gospodarczym. Na ostatniej Radzie Krajowej Koalicji Obywatelskiej wisiały tylko flagi biało-czerwone. Tusk wyklinał tam krytykę Unii Europejskiej, ale jego partia nie wywiesiła flag unijnych. Identycznie jak w kampanii wyborczej 2023 r. Dodajmy jeszcze, że zwrot ku narracji, w której będzie mógł się przedstawić jako „silny przywódca", odpowiada jego apodyktycznej i coraz bardziej przemocowej naturze. Co więcej, w mediach bliskich rządowi czytamy, że marzeniem Tuska jest większość konstytucyjna. Nie wiadomo, jak w warunkach polskiej ordynacji i sondaży zamierza to uczynić, ale można przyjąć, że to także wpływ wrażenia wywołanego zwycięstwem Magyara.

Polska ordynacja jest inna od węgierskiej i Tusk musi sobie łamać głowę, z kim mógłby rządzić po wyborach w 2027 r. Lubi publicznie cieszyć się z sondaży, w których KO znacznie wyprzedza PiS. Ale każdy taki sondaż z dobrym wynikiem jego partii zawsze łączy się z tą okolicznością, że jego dzisiejsi koalicjanci nie wchodzą do Sejmu. Albo wchodzą z tak małą reprezentacją, że nie ma mowy o odtworzeniu obecnej koalicji.

KONFEDERACJA NIE TAKA ZŁA

Jedyne, co zostaje, to dogadanie się z Konfederacją. Pisaliśmy, że nie będzie miało żadnego znaczenia to, co Tusk dzisiaj o niej mówi. Zwłaszcza że jest tu ciekawa rzecz: ze strony Koalicji Obywatelskiej jedyną osobą, która mówiła o możliwym porozumieniu z Konfederacją, był chyba tylko Grzegorz Schetyna, nieważny dzisiaj senator. Cała reszta z Tuskiem na czele wypowiada się o tym z mocnym dystansem. Za to ze strony konfederackiej co rusz padają deklaracje polityków, że „nie wykluczają" albo „wyobrażają sobie" wspólne rządy z KO. Zdarzyło się to nawet Krzysztofowi Bosakowi. Jak widać politykom Konfederacji nie przeszkadzają ataki i obelgi ze strony Tuska. Wielu wyborców PiS od dawna żywi mocne przekonanie, że Konfederacja – partia, która nigdy nie rządziła – przebiera nogami, aby wreszcie popróbować konfitur.

Znaczące jest zresztą to, że Sławomir Mentzen stale powtarza, iż nie chce być przystawką PiS oraz że nie chce skończyć jak LPR i Samoobrona. Ale nie używa tej narracji w drugą stronę, choć ma bardzo świeży przykład Szymona Hołowni czy skanibalizowanych notowań PSL.

MÓWIĆ „PO PRAWICOWEMU"

Są jednak okoliczności, które będą przeszkodami dla przemalowanego Tuska. Zacznijmy od przyczyn klęski Victora Orbána. „Przyczyny tej klęski są złożone, ale najistotniejsze to – w wielkim skrócie – zła sytuacja gospodarcza i zmęczenie

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
eprasa.pl d6d2f28467

16 latami rządów jednej partii. A to ostatnie zostało spotęgowane przez jednolitość przekazu, przekonanie o własnej nieomylności, arogancję i radykalizm w działaniach i komunikacji części polityków – a w efekcie gigantyczną niechęć już nawet nie na poziomie programu politycznego, a czystych emocji" – diagnozował poseł PiS Paweł Jabłoński.

Większość Polaków krytycznie ocenia swoje położenie materialne, politykę rządu w tym zakresie i stan usług publicznych ze służbą zdrowia na czele. To czynnik, który najbardziej wpłynie na wynik kampanii parlamentarnej w 2027 r. A patrząc np. na badania dotyczące oceny służby zdrowia, gdzie nawet zwolennicy rządu musieli przyznać pogorszenie sytuacji, trzeba uznać, że ekipa Tuska ma wielki „potencjał", aby być jeszcze mniej popularną.

Komentatorzy znający Węgry (np. dr Dominik Héjj) pisali, że poważnym błędem Orbána było skoncentrowanie się na własnym twardym elektoracie i zlekceważenie wyborców nieprzekonanych. To kropka w kropkę kazus Tuska. Premier przemawia wyłącznie do Silnych Razem. Jest ich zakładnikiem i tylko ich opiniami się przejmuje. Lekceważy tzw. normalsów, choć najbardziej fanatycznych zwolenników KO jest zbyt mało, aby wygrać wybory. Czy będzie potrafił zmienić narrację i skutecznie skierować ją do nowych adresatów? Może to być trudne. Widać, że u Tuska „tam skarb twój, gdzie serce twoje". Pokazują to emocje zawarte w jego mediach społecznościowych.

Dzisiejszy Tusk nie imponuje przebiegłością czy zimnym namysłem. Nie jest już najmłodszy, a to sprawia, że uważa, iż tylko on potrafi dobrze coś wykonać. Dobitnie to pokazał – z opłakanym skutkiem – w czasie słynnego wywiadu u Bogdana Rymanowskiego. A wiadomo, że to Tuskowi bardzo zależało, aby ów wywiad się odbył i żeby przeprowadził go Rymanowski. Łączy się to także z tym, że Tusk ma coraz bardziej autystyczne relacje z własną partią. Rozmawia zaledwie z kilkoma osobami, które *de facto* są dworzanami, a nie doradcami.

Jednocześnie w tej chwili PiS za sprawą „kandydata na kandydata", czyli Przemysława Czarnka, też skupiło się na utwardzaniu utwardzonych. Błąd skoncentrowania się na własnym twardym elektoracie może zatem popełnić i jedna, i druga strona. Albo oba błędy wzajemnie się zniosą i decydujące będą jakieś inne czynniki. Zwolennicy PiS mogą się jednak pocieszać tym, że w czasie kampanii wyborczych mityczna Nowogrodzka potrafi być nadzwyczaj elastyczna i pomysłowa.

Kolejna ważna okoliczność: Péter Magyar nie musiał udawać kogoś, kim nigdy nie był. Był działaczem Fideszu przez 22 lata. Potrafił mówić po „fideszowemu", więc przeciągnął na swoją stronę wielkie masy dotychczasowym wyborców Orbána. A czy polscy liberałowie potrafią mówić „po prawicowemu"? Rafał Trzaskowski kompletnie na tym poległ. Miłość do wafelków Prince Polo i ogórków konserwowych z Łowicza nie wystarczyła, by pokonać Karola Nawrockiego.

> W polityce nic nie jest łatwe. Również taka wolta. Będzie tu wiele niebezpiecznych zakrętów, ale trzeba ryzykować, jeśli chce się utrzymać władzę, stojąc na czele niepopularnego rządu

Tusk jest oczywiście sprawniejszy od Trzaskowskiego. Na dodatek w KO panuje przekonanie, że prawicowi wyborcy ulegną urokowi „konserwatysty" z Chobielina. Radosław Sikorski sam też chyba w to wierzy. „Magyar oskrzydla z prawej flanki. Tak jak my w 2023" – entuzjazmował się na początku tego roku. Można jednak z dużą pewnością założyć, że to także słaby plan – 63-letni Sikorski w żaden sposób nie może być nazwany świeżą twarzą. Ma wiele ograniczeń i wad osobowościowych, które są odpowiedzią na to, dlaczego przez tyle lat obecności w polityce nie potrafił stworzyć własnego zaplecza i wyjść poza rolę kogoś, kto jest wiecznie obiecujący. Ale nigdy niczego sam nie zdobył.

Prawicowość w Polsce łączy się też z podziałami klasowymi. To ci mniej uprzywilejowani najbardziej utożsamiają się z prawicą. To też poważna przeszkoda dla przemalowanego Tuska, nawet wspartego przez „konserwatystę" z dworku w Chobielinie. KO ma ostatnio niezbyt dobrą passę także z powodu arogancji jej polityków z Tuskiem na czele. Informacje o różnych oszczędnościach w służbie zdrowia łączą się z wiadomością o ratowaniu poza kolejką cierpiącego na ropiejący paznokieć syna senatora Lenza. Nie wiadomo, czy poniesie on jakąś karę partyjną. Dotychczasowa praktyka, np. pełna akceptacja dla cwaniactwa małżeństwa Myrchów czy wicemarszałek Wielichowskiej sugeruje, że również senatora ochroni „doktryna Neumanna". W dobie mediów społecznościowych, wyraźnie lekceważonych przez Tuska, jest mała szansa, aby społeczeństwo zapomniało o takich przypadkach.

„Według badań z końca kampanii ludzie nie wierzyli, że TISZA wciągnie Węgry do wojny. Tzn. wierzyli, ale tylko w elektoracie Fideszu. Cała kampania strachu okazała się niewypałem" – tę obserwację dr. Héjja można również odnieść do politycznej praktyki Donalda Tuska. Co tydzień jesteśmy straszeni czymś innym. Weto w sprawie SAFE było – według niego – zdradą Polski. Kilka dni później przestało to być ważne, bo nowym straszliwym zagrożeniem był polexit. Co jakiś czas słyszymy o wspólnych knowaniach Putina z PiS i prezydentem Nawrockim. A potem znowu o polexicie. A jeśli nie o tym, to o kolejnej strasznej zdradzie prawicy. I tak w koło Macieju.

Takie narracje polityczne oddziałują na ciało migdałowate – fragment mózgu, który odpowiada za strach i agresję. Można postawić tezę, że od 2005 r. tylko tam trafia polityczny przekaz Tuska. On nie chce mówić inaczej i chyba już nie potrafi. Czy jedyną rolą szefa rządu jest nieustanne straszenie obywateli własnego kraju? To coraz bardziej wątpliwe. Nie po to sprawuje się władzę.

eprasa.pl d6d2f28467

Bojowa dziesiątka Tuska

Osoby wyznaczone przez szefa Koalicji Obywatelskiej do prowadzenia kampanii wyborczej dostały zadanie rozwścieczenia przeciwników, a nie tworzenia czegoś pozytywnego

Adam Szłapka

Maciej Wróbel

Maciej Tomczykiewicz

Monika Rosa

Paweł Bliźniuk

Aleksandra Gajewska

Cezary Tomczyk

Andrzej Domański

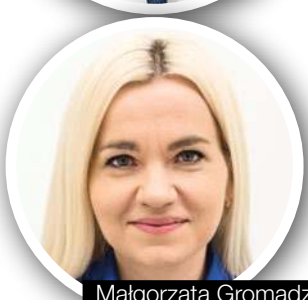
Małgorzata Gromadzka

Arkadiusz Marchewka

STANISŁAW JANECKI

Nazwiska „dziesiątki Tuska", czyli tych członków Koalicji Obywatelskiej, którzy mają poprowadzić partię do wyborów parlamentarnych jesienią 2027 r., to gorsza wersja sztabu Rafała Trzaskowskiego na wybory prezydenckie w 2025 r. Gorsza, czyli lepsza. Przede wszystkim dlatego, że to ludzie wyznaczeni do roli awanturników, do prowadzenia bijatyk, głównie w mediach społecznościowych.

„Dziesiątka" dostała od Donalda Tuska zadanie, żeby być maksymalnie agresywna, a wręcz chamska. Jej ataki i zaczepki mogą być prostackie, byleby irytowały politycznych przeciwników, a także zwykłych wyborców. Ataki „dziesiątki" mogą bazować na kłamstwach bądź manipulacjach, jeśli tylko będą uderzały w Prawo i Sprawiedliwość, jego prezesa Jarosława Kaczyńskiego oraz kandydata na premiera Przemysława Czarnka. W rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, w każdego w PiS, kto wyróżnia się w publicznej debacie. Można też atakować Konfederację i Konfederację Korony Polskiej, ale tę pierwszą bez przesady, bo to niepotrzebne rozpraszanie sił, a poza tym partia Sławomira Mentzena może się przydać po wyborach.

„Dziesiątka" nie może zostawić „wrogom" choćby chwili wytchnienia. Przez całą kampanię

Fot. Andrzej Wiktor x3, Maciej Wróbel/Facebook, Biuro Tomczykiewicz/CC0, Liudmyla Skwarczyńska x2, Adrian Grycuk/CC BY-SA 3.0 pl, Paweł Smoliński/Arkadiusz Marchewka's MP office

eprasa.pl d6d2f28467

wyborczą ma trwać kanonada złożona z obelg, epitetów, oskarżeń, przypisywania jak najstraszniejszych win, straszenia, insynuacji i drwin.

Donald Tusk powołał „dziesiątkę" podczas Rady Krajowej KO 11 kwietnia 2026 r. Powiedział, że na razie zespół liczy 10 osób, jednak to grono może zostać powiększone. Wybrańcy to: Paweł Bliźniuk, Andrzej Domański, Aleksandra Gajewska, Małgorzata Gromadzka, Arkadiusz Marchewka, Monika Rosa, Adam Szłapka, Cezary Tomczyk, Maciej Tomczykiewicz i Maciej Wróbel. „Będę namawiał was wszystkich, żebyście bardzo ostro przystąpili do pracy i udowodnili, że ta dziesiątka ma się zamienić za chwilę w setkę. Niech ta dziesiątka zacznie z naszym błogosławieństwem. Alleluja i do przodu" – zwrócił się do nich Tusk.

POWOŁANI DO ŚCIEMNIANIA

Donald Tusk uznał, że nie może powiedzieć, po co naprawdę powołał „dziesiątkę", więc „ściemniał": „10 na wybory – tak nazwałem grupę młodych i zdeterminowanych, którzy już pokazali, że sporo potrafią. To będzie dziesiątka otwarta. Poprosiłem te osoby, aby zajęły się przygotowaniem do kampanii wyborczej, do wyborów, oceną politycznych atutów i słabości". I dodał, że „czas pokaże, kto z nich i kto spoza tej dziesiątki najlepiej będzie w stanie nas przygotować i poprowadzić do tego boju. [...] Nikt nie jest wieczny, więc ja też muszę myśleć o tych, którzy będą potrafili kontynuować to wielkie dzieło i obrony, i budowy Rzeczypospolitej".

Pomocnicami „dziesiątki", czyli na razie rezerwowymi, mają być najbardziej agresywne i sypiące pomówieniami młodsze posłanki: Sylwia Bielawska, Joanna Frydrych, Katarzyna Kierzek-Koperska, Alicja Łepkowska-Gołaś, Jolanta Niezgodzka, Weronika Smarduch, Anna Sobolak. A w połowie kampanii ma jeszcze dołączyć Aleksandra Uznańska-Wiśniewska, wyróżniona w ten sposób, żeby zdyskontować popularność w społeczeństwie jej męża Sławosza, który jest drugim Polakiem, który poleciał w kosmos.

Wybrana przez Donalda Tuska „dziesiątka" jest znana prawie wyłącznie z agresji, demagogii i udowodnionych kłamstw (np. przez portal Demagog), w których przodują minister finansów i gospodarki Andrzej Domański, wiceminister obrony Cezary Tomczyk oraz rzecznik rządu Adam Szłapka.

W kampanii wyborczej Andrzej Domański ma „ściemniać" w kwestii stanu finansów państwa, który jest tragiczny, ale ma być pokazywany jako „rozwojowy" i nastawiony na przyspieszenie. Domański ma też opowiadać bajki o kwocie 60 tys. zł wolnej od podatku oraz pożyczki w ramach instrumentu SAFE. Choć KO – także ustami Andrzeja Domańskiego – obiecała, że podniesie kwotę wolną od podatku z obecnych 30 tys. zł do 60 tys. zł, minister finansów od 2,5 roku uzasadnia, dlaczego nie można tego zrobić. W marcu 2025 r., w trakcie kampanii przed wyborami prezydenckimi, przekonywał, że do wyborów parlamentarnych w 2027 r. obietnica zostanie spełniona w całości, choć wiedział, że nie zostanie. Ale „cóż szkodzi obiecać" przed wyborami, żeby nabrać głosujących? W lipcu 2025 r. Domański zaklinał się, że „kwota wolna od podatku jest tym zobowiązaniem, które zostanie przez nasz rząd zrealizowane", ale zdawał sobie sprawę z tego, że to opowieść z cyklu „czekaj tatka latka, aż kobyłę wilcy zjedzą". Zadaniem Domańskiego w „dziesiątce" jest uzasadnianie, dlaczego nie można spełnić obietnic rządu i premiera, a także atakowanie i działania przykrywkowe. Chodzi o to, żeby głównym problemem był sprzeciw prezydenta wobec pożyczki z instrumentu SAFE, a nie dług publiczny powyżej 2 bln zł i brak pieniędzy praktycznie na wszystko, co obiecał rząd Tuska. Uśmiechnięty Domański ma opowiadać, jak wspaniale żyłoby się w Polsce, gdyby nie dywersanci z PiS, którzy zostawili straszny dług. Nie szkodzi, że to bezczelne kłamstwo.

Na koniec października 2023 r., czyli w ostatnim pełnym miesiącu urzędowania rządu PiS, zadłużenie Skarbu Państwa wynosiło 1,297 bln zł. Według metodologii unijnej (dług EDP), zadłużenie sektora instytucji rządowych i samorządowych na koniec III kwartału 2023 r. wyniosło 48,7 proc. PKB. Od momentu objęcia władzy przez rząd Donalda Tuska (13 grudnia 2023 r.), zadłużenie Skarbu Państwa wzrosło do 2,038 bln zł (według szacunków na koniec lutego 2026 r.). W kwietniu 2026 r. dług publiczny Polski liczony według metodologii unijnej (EDP) wynosi ok. 60 proc. PKB, a według prognoz rządu i instytucji międzynarodowych ma wzrosnąć do poziomu 65,4–66,8 proc. PKB na koniec 2026 r.

W sprawie pożyczki z instrumentu SAFE oraz ogólnie w sprawie wydatków na zbrojenia, w tym zaciągniętych już zobowiązań w USA i Korei, kłamać i oskarżać poprzedników ma przede wszystkim wiceminister obrony Cezary Tomczyk. A całościowo o polityce rządu ma „ściemniać" i kłamać rzecznik Adam Szłapka – czyli ma robić to samo co dotychczas, tylko z większą zaciekłością, co ma dowodzić, jak ważna dla rządzących jest ta sprawa.

ROSA I TOMCZYKIEWICZ NA ŚLĄSKIM FRONCIE

W otoczeniu Donalda Tuska wymyślono, aby szczególną agresją i demagogią posługiwały się kobiety wskazane przez Tuska: Aleksandra Gajewska, Małgorzata Gromadzka i Monika Rosa. Uznano, że jeśli będą robić to kobiety, zostaną znacznie łagodniej traktowane przez oponentów, a może nawet niektórym zadrży język bądź ręka, gdy będą chcieli odpowiedzieć. Poza tym Tusk miał im obiecać, że jeśli wykażą się większym zaangażowaniem od partyjnych koleżanek, mogą liczyć na awanse i nagrody, np. jedynki na listach wyborczych.

Głównym zadaniem Moniki Rosy jest pozyskanie Ślązaków, grając na separatystycznej nucie, tzw. języku śląskim i odrębności nie tylko kulturowej, lecz także etnicznej. Pomagać jej w tym będzie Maciej Tomczykiewicz, znany z brutalnych ataków i braku elementarnej kultury. „To jest fatalna decyzja dla tysięcy Ślązaków, a także dla całej Polski. Pokazuje, jak prezydent postrzega Polskę – jako kraj, w którym obywatele nie mogą się od siebie różnić, nie mają prawa do własnej tożsamości, języka i głosu" – atakowała Rosa, gdy na początku lutego 2026 r. prezydent Nawrocki zawetował ustawę nadającą śląskiemu status języka regionalnego. „Ustawa nie powinna

eprasa.pl d6d2f28467

wchodzić w życie, bo mowa śląska jest dialektem języka polskiego, a faktów naukowych nie ustala się w Sejmie. Ustawa mogła wprowadzać »sztuczne podziały w naszej narodowej wspólnocie«" – napisał prezydent Karol Nawrocki na stronie swojej kancelarii. Była to już dziewiąta próba nadania śląskiemu statusu odrębnego języka i druga, która zakończyła się prezydenckim wetem (w 2024 r. podobną ustawę zawetował prezydent Andrzej Duda). Po raz pierwszy poselski projekt w sprawie uznania języka śląskiego pojawił się w 2007 r., kolejne składano w 2010 i 2012 r., ale nie zostały poddane dyskusji na sali plenarnej. W 2014 r. do Sejmu trafił obywatelski projekt ustawy w sprawie uznania Ślązaków za mniejszość etniczną. Poselski projekt w sprawie ślonski godki w 2018 r. nie doczekał się numeru druku, a w 2020 r. pierwszego czytania. Z kolei w 2023 r. przygotowano poselski projekt o uznaniu śląskiej mniejszości etnicznej, ale zanim się nim zajęto, skończyła się kadencja. „To jes jynzyk ôd naszych ôjcōw i jejich ôjcōw. Ôni wszyscy cołke swoje życie przeżyli po naszymu" – popisywała się posłanka w Sejmie. Monika Rosa ma w kampanii wyborczej grać tym, jak bardzo mieszkańcy Śląska są dyskryminowani (choć nie są) przez PiS i prezydenta, co ma się przełożyć na pozyskanie głosów większości z nich.

Razem z Moniką Rosą wyborców na Śląsku ma „zdobywać" poseł Maciej Tomczykiewicz z Pszczyny, równie mocno jak ona zaangażowany w promowanie „języka śląskiego" i „narodowości śląskiej". W czerwcu 2025 r. sprzeciw posłów PiS wobec ustawy o języku śląskim określił jako „brak szacunku wobec obywateli" i dowód na to, że „Ślązacy są odrzucani, bo nie pasują do wizji świata wyznawanej przez Prawo i Sprawiedliwość". Ale przede wszystkim Tomczykiewicz jest jednym z najbardziej agresywnych polityków Koalicji Obywatelskiej i dlatego został wybrany do „dziesiątki".

W lutym 2026 r. w Sejmie toczyła się debata nad projektem ustawy Lewicy o zadośćuczynieniu ofiarom i rodzinom ofiar przestępstw popełnionych na tle narodowościowym, religijnym lub rasowym w latach 1945–1946. PiS i obie konfederacje alarmowały, że w istocie chodzi o odszkodowania państwa polskiego dla „ofiar" polskiego podziemia antykomunistycznego, które zwalczało wówczas komunistycznych kolaborantów. I Tomczykiewicz wypalił: „Zbrodniarze, którzy palili kobiety i dzieci, szli często z Bogiem na ustach i często z ojczyzną na ustach. Ale jaka to jest walka z ruskim najeźdźcą, kiedy się morduje kobiety i dzieci w stodołach. To ruscy w Buczy mordowali kobiety i dzieci. I gwałcili. I dokładnie o takich sytuacjach tu mówimy". Poseł wzmógł się, jak to „państwo w końcu ma szansę wziąć to na klatę, ma szansę zadośćuczynić tym absolutnie ostatnim już osobom, które żyją za szkody wyrządzone im albo za to, że ich bliscy zginęli w wyniku czystek etnicznych, czystek na tle narodowym i religijnym. Każdy, kto staje w obronie ludzi, którzy dokonywali tych okrutnych czynów, którzy jak ruscy w Buczy palili kobiety i dzieci w stodołach, jak możecie potem wrócić do domu i spojrzeć w twarz rodzinie?".

Donald Tusk spodziewa się zapewne, że takich „subtelności" Maciej Tomczykiewicz będzie używał przeciwko politycznym oponentom w kampanii wyborczej.

> Wybrana przez Donalda Tuska „dziesiątka" jest znana prawie wyłącznie z agresji, demagogii i udowodnionych kłamstw (np. przez portal Demagog), w których przodują minister finansów i gospodarki Andrzej Domański, wiceminister obrony Cezary Tomczyk oraz rzecznik rządu Adam Szłapka

ZERO KRYTYKI

O tym, jak „praca" zespołu wyznaczonego przez Tuska może wyglądać w „terenie" i poza głównymi tematami politycznej walki, pokazuje przykład mało znanej wiceminister rolnictwa i posłanki Małgorzaty Gromadzkiej. „Nie toleruje ona nawet merytorycznej krytyki" – ujawnił dr hab. Arkadiusz Artyszak, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, w której kieruje Katedrą Agronomii (pochodzi z Sahrynia w gminie Werbkowice), często występujący w mediach jako komentator rolniczy. Prof. Artyszak zamieścił komentarz pod postem, w którym wiceminister Gromadzka informowała o spotkaniu z przedstawicielami Stowarzyszenia Plecionkarzy i Wikliniarzy w Nowym Tomyślu. „Rozmawialiśmy o tym, jak zwiększyć opłacalność upraw wierzby" – doniosła Małgorzata Gromadzka. „Po ukazaniu się niniejszego postu zamieściłem na profilu posłanki komentarz, że w naszym rolnictwie czeka na załatwienie wiele pilniejszych spraw niż spotkania dotyczące rozwoju produkcji wikliny. Jako przykład podałem m.in. dramatyczną sytuację na rynkach rolnych" – napisał Arkadiusz Artyszak. I dodał: „Małgorzata Gromadzka jest bardzo aktywna medialnie, ale nie dostrzegam żadnych merytorycznych działań wiceminister, poza jednym – podpisaniem 29 grudnia 2025 r. rozporządzenia w sprawie podwyżki opłat za badania w Okręgowych Stacjach Chemiczno-Rolniczych". Po czym spotkała go wyjątkowa agresja Gromadzkiej. I taka jest rola kobiet w „dziesiątce" Tuska: brutalnie atakować i chronić się za statusem kobiety.

Wskazana już „dziesiątka" oraz rezerwowa „ósemka" (wyłącznie kobiet) pokazują, że kampania będzie pełna agresji, kłamstw, insynuacji, manipulacji i demagogii. A jedynym wymogiem Tuska wobec tego zespołu jest praca 24 godziny na dobę, dlatego wybrał młodsze osoby, żeby wytrzymały kondycyjnie. A z tym w sztabie Rafała Trzaskowskiego było słabo.

eprasa.pl d6d2f28467

Krystyna Szumilas

Tomasz Lenz

Zdrowie dla wybranych

Nie ma nic bulwersującego w tym, że polityk lub celebryta ma pierwszeństwo w dostępie do lekarza. W środowisku „demokratów" wspierających Tuska robienie z tego zarzutu jest czymś absolutnie niezrozumiałym

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W Polsce rządzonej przez Donalda Tuska ludzie zawsze dzielili się na wąską kastę lepszych i bogatszych, którzy mieli dostęp do różnych przywilejów, oraz pogardzane pospólstwo porzucone na pastwę marnego losu.

Do tej pierwszej grupy z pewnością należą politycy rządzących partii, na co wskazuje historia opisana niedawno przez Wirtualną Polskę. Jej bohaterem jest senator z ramienia Koalicji Obywatelskiej Tomasz Lenz, który według doniesień portalu 15 marca miał zjawić się w szpitalu powiatowym w Aleksandrowie Kujawskim wraz z bliską mu osobą (jak potem ujawnił polityk, był to jego małoletni syn). Chłopca potraktowano w wyjątkowy sposób. Jak czytamy, miał on zostać poddany zabiegowi chirurgicznemu poza kolejnością i bez dokumentacji medycznej. Z późniejszych informacji wynikało, że powodem nagłej interwencji był wrośnięty paznokieć.

Informacje na ten temat zbulwersowały opinię publiczną w Polsce. Przytłaczająca większość pacjentów musi bowiem oczekiwać na pomoc lekarską w niekończących się kolejkach. Dotyczy to również poważnych schorzeń – szczególnie teraz, po obcięciu przez rząd środków na badania profilaktyczne i faktycznym przywróceniu limitów w publicznej służbie zdrowia. Tymczasem polityk obozu władzy – jak wynika z doniesień WP – miał po prostu wejść do szpitala i uzyskać natychmiastową interwencję, choć schorzenie, które zgłosił u syna, szczęśliwie nie zagrażało życiu dziecka.

Żaden zwykły pacjent z pewnością nie mógłby liczyć na taką usłużność personelu. Tomasz Lenz miał po prostu ominąć izbę przyjęć i bezpośrednio pójść na chirurgię, gdzie jego syna przyjął ordynator oraz anestezjolog, którzy w tym samym czasie mieli pełnić dyżury na innych oddziałach.

I CO? MAMY GO ZAWIESZAĆ?

Oczywiście problemu by nie było, gdyby Lenz jak każdy pacjent zgłosił się na izbę przyjęć i przeszedł rutynową procedurę. Senator KO jednak tego nie zrobił, podkreślając przy tym, że w szpitalu nie było żadnej kolejki.

Fot. Piotr Kamionka/REPORTER, Jacek Domiński/REPORTER, Andrzej Wiktor

eprasa.pl d6d2f28467

Zdaniem Wirtualnej Polski polityk mija się z prawdą. „W czasie, gdy krewny senatora Lenza przebywał w placówce: między 11.40 a 19.00, na izbie przyjęć było 17 osób, wszystkie przyjęte w trybie nagłym. Pięcioro pacjentów przywiozły do szpitala karetki [...] Interwencji chirurgicznych wymagało 10 osób" – pisze portal, podpierając się oficjalnym pismem otrzymanym ze szpitala w Aleksandrowie Kujawskim. Wynika więc z tego, że zwykli pacjenci – nie tak dobrze ustosunkowani jak pan senator – musieli z jego powodu dłużej czekać na pomoc. „W dobrze funkcjonującym państwie Lenz by już składał mandat, a prokuratura by przeprowadzała pełne śledztwo. Ale żyjemy w państwie koryta, gdzie dla naszych magnacików wpieprzanie siebie i swoich bliskich w kolejkę w państwowym szpitalu nie jest hańbą, a służbowym benefitem" – skomentował w serwisie X Adam Kościelak z partii Razem.

Gdy ta bulwersująca historia została opisana przez Wirtualną Polskę, Tomasz Lenz ruszył do boju. Polityk zamieścił w internecie nagranie, na którym – wspólnie ze swoją żoną – zarzucił portalowi kłamstwa oraz atak na rodzinę. Powiedział też, że posiada dokumentację medyczną z zabiegu syna. Innego zdania jest jednak dyrektor szpitala w Aleksandrowie Kujawskim, który stwierdził w rozmowie z PAP, że „zabieg rzeczywiście miał miejsce, odbył się z pominięciem obowiązujących procedur, a w szpitalu nie ma dokumentacji zabiegu, która jest wymagana przez przepisy prawa". Według informacji RMF FM do takich ustaleń miała dojść wewnętrzna kontrola podjęta w szpitalu. W odpowiedzi na słowa dyrektora szpitala Tomasz Lenz zapowiedział skierowanie przeciwko niemu zawiadomienia do prokuratury.

Z dokumentacją posiadaną przez Lenza może być jednak problem, bo – jak twierdzi WP, powołując się na oficjalne pismo ze szpitala – papiery przedstawione przez senatora nie spełniają formalnych wymogów. Ordynator chirurgii nie wprowadził żadnych danych do systemu, a dokumenty odnalazł nieoczekiwanie dopiero po trzech tygodniach od zabiegu. Wygląda to więc bardziej na ratowanie skóry niż na przypadkowy zbieg niefortunnych okoliczności.

Na pomoc Lenzowi ruszyli liczni politycy KO, w tym senator Tomasz Grodzki, znany z poprzedniej kadencji jako „trzecia osoba w państwie". Grodzki sam jest lekarzem i – jak pokazuje jego życiorys – wyjątkowo dobrze orientuje się w zawiłych meandrach tej pracy. „No, grzechem Lenza jest może to, że nie poszedł przez izbę przyjęć. I co? Z tego powodu mamy Lenza zawieszać?" – zapytał zdziwiony w rozmowie z Kanałem Zero.

No właśnie. Przecież nie ma nic bulwersującego w tym, że polityk lub klient obecnego obozu władzy ma pierwszeństwo w dostępie do różnych dóbr i usług. W środowisku „demokratów" wspierających Tuska robienie z takich rzeczy zarzutów jest czymś absolutnie niezrozumiałym.

> Gdyby politykom i celebrytom przyszło korzystać z usług medycznych na tych samych zasadach jak wszyscy, to wtedy presja na reformę i dofinansowanie systemu byłaby znacznie większa

MOJE ZDROWIE JEST WAŻNIEJSZE

W tym kontekście warto przypomnieć grupę wpływowych spryciarzy, którzy szczepili się poza kolejnością przeciwko COVID-19 w czasie, gdy miliony ludzi – często starszych lub schorowanych – musiały pokornie czekać na swoją kolej. Dziś na szczepionki patrzymy ze wzgardą, ale wówczas – w samym środku pandemii – wydawały się one (i niekiedy były) jedyną nadzieją na uratowanie zdrowia lub nawet życia.

Zgodnie z regułami przyjętymi pod koniec 2020 r. najpierw mieli być szczepieni pracownicy sektora ochrony zdrowia i opieki społecznej. Jakimś cudem do tej pierwszej transzy wcisnęła się garstka celebrytów. Wśród nich m.in. aktorzy Krystyna Janda, Andrzej Seweryn, Olgierd Łukaszewicz i kilku innych, Magda Umer, Leszek Miller oraz Mariusz Walter i Edward Miszczak (wówczas z TVN). Potem większość z nich dość zgodnie twierdziła, że zaproponowano im szczepienie niejako przy okazji, aby promowali – jako znane osoby – akcję szczepień. Leszek Miller powiedział, że po prostu zapytał o możliwość zaszczepienia i usłyszał „pozytywną odpowiedź". Niestety innym się nie udało, bo pewnie nie pytali.

Warszawski Uniwersytet Medyczny, gdzie szczepiono „dodatkowych chętnych", tłumaczył potem pokrętnie, że zastrzyki podano „znanym postaciom kultury i sztuki, które zgodziły się zostać ambasadorami powszechnej akcji szczepień". Gdy sprawa wyszła na jaw i wybuchła afera na całą Polskę, ówczesny rektor WUM Zbigniew Gaciong stwierdził, że jest mu „niezmiernie przykro z powodu zaistniałej sytuacji". Podkreślił też, że „zawsze w swojej pracy zawodowej, jak również w życiu prywatnym, kieruje się najwyższymi zasadami moralnymi i etycznymi".

Podjęte wówczas wewnętrzne dochodzenie stwierdziło „liczne nieprawidłowości", które skończyły się dymisją szefowej Centrum Medycznego WUM, gdzie odbywały się szczepienia. Ogólnie jednak sprawa dość szybko ucichła. Wyciąganie poważniejszych konsekwencji z tego incydentu byłoby bowiem uderzeniem w interesy wpływowych klientów służby zdrowia w Polsce.

PRZYWILEJE DLA SWOICH

Krzysztof Łanda, wiceminister zdrowia w latach 2015–2017, powiedział niedawno w portalu Zero.pl, że w Polsce funkcjonują równolegle trzy systemy ochrony zdrowia: publiczny NFZ, prywatny oraz specjalny – tylko dla VIP-ów.

Dobrą ilustracją tych słów może być styczniowe spotkanie noworoczne w Sejmie, na którym wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Wiesław

eprasa.pl d6d2f28467

Szczepański z tzw. Lewicy złożył parlamentarzystom dość atrakcyjną ofertę. „Jeżeli ktokolwiek coś potrzebuje, w czymś mogę pomóc, to serdecznie do siebie zapraszam. A mam również tę możliwość, że jako wiceminister spraw wewnętrznych i administracji nadzoruję szpitale, w tym również szpital na Wołoskiej, który jest szpitalem, który kiedyś świadczył i świadczy dzisiaj pomoc dla VIP-ów" – powiedział w nagraniu opublikowanym na portalu Zero.pl. „Mój resort, mój gabinet jest dla państwa otwarty" – zapewnił. Po ujawnieniu tego nagrania Anna Maria Żukowska oceniła, że wiceminister jest „świetnym fachowcem". Podobnie jak w przypadku Lenza, nie ma tu nawet cienia krytyki, wszyscy twardo stoją murem za swoimi kolegami. Nic więc dziwnego, że patologia się rozwija.

Zdaniem Łandy politycy i ich rodziny od dawna korzystają ze szpitala MSWiA oraz placówek wojskowych na specjalnych zasadach. „Dostają się tam bez kolejek i są traktowani w szczególny sposób" – mówi w rozmowie ze wspomnianym portalem. „Kiedy byłem wiceministrem zdrowia, politycy dzwonili do wiceministrów czy samego ministra, prosząc, żeby pomógł w hospitalizacji czy w jakimś zabiegu. Nieliczni politycy z tego nie korzystali. Jedyny, którego znam, to Janusz Cieszyński. On odstał swoje w kolejkach. Wszyscy, którzy byli zainteresowani, byli przyjmowani poza kolejnością" – opowiada. Jego zdaniem w tej chwili jest tak samo.

Nie trzeba być jednak politykiem z pierwszych stron gazet, aby korzystać ze szczególnych przywilejów. Przykładem może być opisana niedawno – również przez portal Zero.pl – kuriozalna historia z Knurowa na Śląsku. Tutaj bohaterką jest Krystyna Szumilas z KO, minister edukacji w latach 2011–2013, a więc z czasu poprzednich rządów Tuska. Pani Szumilas, o czym pewnie wie już pół Polski, wezwała do swojej chorej matki lekarza. Było to niemal dokładnie rok temu, w kwietniu 2025 r.

Dyrektor ds. administracyjnych miejscowego szpitala, a jednocześnie lokalny działacz KO, tak się przejął wezwaniem od byłej pani minister, że zabrał z lecznicy aparat EKG i sam zasiadł za kierownicą karetki, choć nie miał do tego żadnych uprawnień. Potem w asyście lekarza miał odwieźć pacjentkę tym samym ambulansem do szpitala. „Nie weryfikowałam jego uprawnień do prowadzenia ambulansu. Osoba bliska umierała, więc nie zastanawiałam się nad tym" – stwierdziła w rozmowie z portalem Zero.pl Krystyna Szumilas. Później kręciła w zeznaniach, najpierw twierdząc, że nie zna dyrektora, potem przyznając się do tej znajomości, ale zaprzeczając, że znają się z szeregów partyjnych. To dziwne, bo dyrektor, niejaki Kamil Krzysiński, jest działaczem lokalnego koła powiatowego KO w Gliwicach i – jak pisze portal – często promuje działalność pani Szumilas w mediach społecznościowych.

> Społeczny darwinizm – tak jak zapaść demograficzna – przetrzebi Polaków. Chyba że kwestię braku dostępu do służby zdrowia potraktujemy poważnie – jako egzystencjalne zagrożenie dla państwa

Obecnie śledztwo w tej sprawie prowadzi gliwicka prokuratura. Zawiadomienie złożył były prezes knurowskiego szpitala. Zobaczymy, czy ta historia będzie miała dalszy ciąg. Można mieć co do tego uzasadnione obawy.

BOGATSI DADZĄ SOBIE RADĘ

Obecne patologie w dostępie do lekarza są skutkiem zapaści publicznej służby zdrowia w Polsce, ale zarazem są także jej przyczyną. Bo gdyby politykom i przeróżnym celebrytom przyszło korzystać z usług medycznych na takich samych zasadach, na jakich korzystają z niej wszyscy obywatele, to wtedy presja na reformę i dofinansowanie systemu byłaby znacznie większa. Teraz jednak nie ma takiej potrzeby, bo dzięki układom można przecież omijać kolejki.

Nie zawsze odbywa się to bezpłatnie, czego przykładem jest choćby głośna rok temu sprawa prof. Marka Durlika, pracującego wówczas w Szpitalu MSWiA w Warszawie. Jak napisali dziennikarze Wirtualnej Polski i Rynku Zdrowia, prof. Durlik – bardzo ceniony chirurg, zajmujący się m.in. leczeniem raka – przyjmował odpłatnie pacjentów w swoim prywatnym gabinecie, a następnie kierował ich na operację w szpitalu poza normalną kolejką. Kto zaś chciał mieć operację wykonaną za pomocą nowoczesnego robota, ten musiał wpłacić datek (zwykle ok. 20 tys. zł) na przyszpitalną fundację.

Podczas kontroli NFZ potwierdził ustalenia dziennikarzy (97 proc. pacjentów przyjętych poza kolejnością). Do podobnej konkluzji doszedł również rzecznik praw pacjenta. Prof. Durlik zakwestionował te ustalenia, twierdząc, że o terminie operacji zawsze decydował stan zdrowia pacjenta.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że system, w którym działał prof. Durlik, jest w Polsce powszechnym zjawiskiem. Bardzo wielu lekarzy, zwłaszcza utytułowanych, działa w podobny sposób. Płatna wizyta prywatna, a potem szybszy zabieg w publicznym szpitalu. To forma przyspieszenia terminu za opłatą – rodzaj zalegalizowanej koperty.

Problem w tym, że w warunkach chronicznego i postępującego braku dostępu do usług medycznych to dziś jedyna i najbardziej skuteczna metoda ratowania zdrowia. Dostępna oczywiście tylko dla osób dysponujących odpowiednimi pieniędzmi. Trudno sobie wyobrazić, aby zamożniejsza część społeczeństwa zgodziła się na równe zasady, gdzie każdy – niezależnie od grubości portfela – będzie czekał na swoją kolejkę do lekarza. Nie leży to ani w ich interesie, ani w interesie wielu lekarzy.

Dlatego zdrowie, nawet bez prywatyzacji usług medycznych, będzie coraz droższe. I coraz mniej osób będzie stać na leczenie. Społeczny darwinizm – tak jak zapaść demograficzna – wkrótce przetrzebi populację Polaków. Chyba że kwestię braku dostępu do służby zdrowia potraktujemy wreszcie poważnie – jako egzystencjalne zagrożenie dla przyszłości państwa.

eprasa.pl d6d2f28467

Nie chcemy polityków w togach

Z Andrzejem Śliwką, posłem prawa i sprawiedliwości, radcą prawnym, członkiem sejmowej komisji obrony narodowej, byłym wiceministrem aktywów państwowych, rozmawia Jerzy Szmit

Tusk chce mieć pełną władzę, dlatego atakuje instytucje niezależne od niego. Koalicja 13 grudnia przez ponad 15 miesięcy celowo, intencjonalnie nie wybierała sędziów Trybunału Konstytucyjnego, by sparaliżować jego pracę. Orzeczenia Trybunału nie są publikowane, co jest absolutnym bezprawiem

Co czuje pan jako radca prawny, widząc, jak profesorowie prawa ostentacyjnie łamią konstytucję i ustawy, naruszając fundamenty państwa?

Andrzej Śliwka: Patrzę na to z jednej strony z przykrością, a z drugiej – już bez zdziwienia. Nieliczna, ale bardzo krzykliwa i arogancka grupa sędziów i prawników kształtuje ten obraz. Stali się politykami w togach. Takimi politykami, którzy nie chcą ponosić politycznej odpowiedzialności i nie mają odwagi wystartować w wyborach, ale chcą decydować o kierunkach zmian w Polsce bez jakiegokolwiek mandatu. Używając poetyki Roberta Mazurka, partie polityczne Themis i Iustitia chcą decydować, jak ma funkcjonować wymiar sprawiedliwości. Przykre jest również to, że ten sam problem dotyka również osób z ogromnym dorobkiem zawodowym, naukowym, w tym sędziów TK w stanie spoczynku. Tymczasem 95 proc. sędziów w Polsce to uczciwi, świetnie wykształceni ludzie, chcący dobrze, sprawiedliwie, apolitycznie i wiarygodnie wykonywać swój zawód. Jednak ta krzykliwa mniejszość sprawia, że w państwie narastają chaos i bezprawie.

Waldemar Żurek przestał być sędzią?

Już dawno. Teraz przestał udawać, że jest niezawisłym i apolitycznym sędzią i stał się politykiem. Zachęcam do takiej odwagi panią Korwin-Piotrowską i pana Markiewicza. Z jednej strony uważają się za sędziów Trybunału Konstytucyjnego, którzy złożyli ślubowanie wobec prezydenta, a z drugiej pan sędzia Markiewicz potrzebował kilku dni, aby przeczytać ze zrozumieniem art. 195 ust. 3 konstytucji, zanim zrezygnował z urzędu. A sędzia Korwin-Piotrowska nadal nie zrozumiała przepisów i nie zrzekła się urzędu sędziego sądu powszechnego. Przypomnę, że są to osoby, które mają orzekać w sprawach porządku konstytucyjnego. Świetnie opisał to mój serdeczny kolega mecenas, minister Zbigniew Bogucki: oni zdają sobie sprawę, że łamią prawo. Dlatego mówią: jeżeli pan prezydent zaprosi – to złożą ślubowanie. Po co zatem był ten polityczny happening z marszałkiem Czarzastym?

Teraz Trybunał Konstytucyjny stał się strategicznym celem Tuska?

Tusk chce mieć pełną władzę, dlatego atakuje instytucje niezależne od niego. Koalicja 13 grudnia przez ponad 15 miesięcy celowo, intencjonalnie nie wybierała sędziów Trybunału Konstytucyjnego, by sparaliżować jego pracę. Nie są publikowane orzeczenia Trybunału, co jest absolutnym bezprawiem. Większość orzeczeń TK dotyczy spraw istotnych dla życia codziennego zwykłego Polaka i polskiego przedsiębiorcy. W przyszłości trzeba z tym skończyć. Orzeczenia TK powinny być publikowane w Monitorze Polskim bez możliwości ich blokowania przez rządzących.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl d6d2f28467

Od czego trzeba zacząć naprawę wymiaru sprawiedliwości?

W mojej ocenie od spłaszczenia struktury sądownictwa i wprowadzenia instytucji sędziego sądu powszechnego. Zastąpienia trójszczeblowego sądownictwa powszechnego sądami I i II instancji. Ujednolicony status sędziego, którego wynagrodzenie byłoby uzależnione od stażu i jakości pracy. Sędzia sądu rejonowego marzy o tym, aby zostać sędzią sądu okręgowego, a sędzia sądu okręgowego marzy o tym, by zostać sędzią sądu apelacyjnego. Oczywiście marzenia nie są czymś złym, ale to sędziowie istotnie decydują o awansach. Likwidacja tych powiązań buduje niezawisłość sędziowską i rozbija kastowość.

Czy będzie to w programie Prawa i Sprawiedliwości?

To oczywiście głos w dyskusji, ale Polacy oczekują od nas reformy wymiaru sprawiedliwości. Podczas dziesiątek spotkań z wyborcami, szczególnie w moim województwie warmińsko-mazurskim, a także w całej Polsce, słyszę oczekiwania, by sądy były sprawiedliwe, by nie było polityków w togach i żeby proste sprawy nie toczyły się latami.

A podważanie statusu sędziów i wydanych przez nich wyroków?

To nieprawdopodobne, aby jeden sędzia podważał status drugiego sędziego i wydawane przez niego orzeczenia. Dochodzi do rzeczy naprawdę groźnych – do uchylenia wyroków wobec groźnych przestępców, a także w sprawach majątkowych, spadkowych czy gospodarczych. Ta krzykliwa mniejszość sędziowska wpływa na cały system działania prawa. Narrację Żurka i Tuska uzasadniającą kwestionowanie statusu legalnie powołanych sędziów zmiażdżył już nawet ich ukochany TSUE, choć nie jest w tym żadną wyrocznią. Warto pamiętać, że w innych sprawach rząd chętnie powołuje się na orzeczenia TSUE.

Jaki jest cel tych działań?

Roman Dmowski napisał znakomity esej „Gdybym był wrogiem Polski". W ramach intelektualnego ćwiczenia zastanawiał się, co by zrobił, gdyby był wrogiem Polski. Przekładając to na dzisiejszą sytuację, w interesie wrogów naszego kraju jest destabilizowanie wymiaru sprawiedliwości, podważanie statusu legalnie powołanych sędziów i wydanych wyroków.

Jakie będą inne strategiczne kierunki programu PiS oprócz zmian w wymiarze sprawiedliwości?

Trwa debata, funkcjonują różne zespoły i grupy. Prawo i Sprawiedliwość w DNA ma tworzenie programu z Polakami, a także z ekspertami, którzy często nie byli związani z partią. Oczywiście będziemy wracać do naszym kluczowych projektów, takich jak CPK czy atom. Mamy jednak gigantyczną zapaścią finansów publicznych i rekordowe zadłużenie. Tusk twierdzi, że wydajemy na bezpieczeństwo i na ochronę zdrowia, ale niestety tak nie jest. Polska musi być krajem innowacyjnym, a przeznaczamy na naukę niecały 1 proc. PKB. Prof. Czarnek ostatnio zaproponował, aby było to 3 proc. Polska nie może być montownią, krajem opartym na taniej sile roboczej, ale miejscem rozwoju wysokich technologii, państwem konkurencyjnej i innowacyjnej gospodarki. Priorytetem będzie naprawa finansów publicznych, zbilansowanie sytuacji budżetowej, zadbanie o stronę dochodową w budżecie, a także stworzenie w naszym kraju właściwego otoczenia do prowadzenia biznesu.

> Polska nie może być montownią, krajem opartym na taniej sile roboczej, ale miejscem rozwoju wysokich technologii, państwem konkurencyjnej i innowacyjnej gospodarki

A sprawy bezpieczeństwa?

Odpowiedzialny za to wicepremier Kosiniak-Kamysz jest jednym z najgorszych członków tego gabinetu. Działa tak, że wydatki w wojsku w części budżetowej spadły o 6 mld zł (ze 124 do 118 mld). Jeżeli uwzględnimy inflację, będzie to jeszcze mniej. W budżecie MON rok do roku jest 300 mln zł mniej na badanie i rozwój dla wojska, 400 mln zł mniej na umundurowanie i ekwipunek dla żołnierzy, blisko 10 mld zł mniej w Centralnych Planach Rzeczowych. Projekt związany z dowództwem wojsk medycznych pozostaje w powijakach. Jeżeli mamy budować odporność państwa i rozwijać naszą armię, budować suwerenność przemysłu zbrojeniowego, to trzeba wrócić do naszej strategii działania, a nie tylko gasić bieżące pożary.

Jakie będą główne punkty programu skierowane do młodych?

Teraz powinniśmy się skupić na kwestiach mieszkaniowych i kompleksowego wsparcia dla młodych rodzin. Jednak warto przypomnieć, co zrobiło Prawo i Sprawiedliwość dla młodych przez osiem lat rządów. Przede wszystkim skończyło się bezrobocie, pojawiły się m.in. takie rozwiązania jak PIT 0 do 26. roku życia, wzrosły realnie wynagrodzenia. Dzięki temu młodzi Polacy przestali wyjeżdżać z kraju. A przecież to Tusk w 2007 r. obiecywał powroty, choć jeszcze więcej ludzi wyjeżdżało.

Jaka jest odpowiedź na dramat demograficzny?

Mówimy o sprawie absolutnie kluczowej. Pan prezydent Karol Nawrocki w kampanii wyborczej zgłosił 21 postulatów. Widzę tam świetną propozycję PIT 0 proc. dla rodzin z dwojgiem i więcej dzieci. To odnosi się również do polityki demograficznej. Co do rodzin z co najmniej trójką dzieci, warto rozpocząć dyskusję, czy nie powinny – mówiąc obrazowo – zostać „ozłocone" i otrzymać maksymalne możliwe przywileje podatkowe, finansowe, wsparcie przy zakupie mieszkania i potrzebach życia codziennego. Długofalowo nie ma ważniejszego tematu niż kwestia polityki demograficznej.

eprasa.pl d6d2f28467

Jeszcze jedna uwaga – natury ogólnej, ale politycznej. Polacy potrzebują normalności i zdrowego rozsądku. Jestem przekonany, że świetny duet, czyli pan prezydent Nawrocki i pan prof. Czarnek, może być gwarancją realizacji dobrego programu.

Będąc wiceministrem aktywów państwowych, nadzorował pan działanie wielu spółek publicznych. Jaki mamy obraz w tym zakresie po blisko 2,5 roku rządów koalicji Tuska?

Tragiczny. Nie ma inwestycji poza tymi, które zostały zaplanowane za rządów Prawa i Sprawiedliwości. I co śmieszne, kierownictwo ministerstwa chwali się nimi, mówiąc, że to ich działania, np. w PGZ Stoczni Wojennej przy projekcie okrętów typu Miecznik, gdzie przyszli na gotowe. W radomskim Łuczniku, który za naszych czasów świetnie się rozwijał, jest duże ryzyko redukcji etatów, bydgoskie WZL są na granicy upadłości, w HSW zamiast umowy na 500–600 Borusków jest kontrakt na jedynie ponad 100 sztuk, a to wszystko wynika z decyzji politycznych ministra obrony narodowej z PSL. Po prostu nie podpisują niezbędnych umów i aneksów. Widać, iż rządzący nie są zainteresowani suwerennością zbrojeniową. W innych spółkach branżowych, np. na kolei, w górnictwie i energetyce, widać widmo zwolnień, trwają spory zbiorowe i ograniczane są inwestycje.

Co dalej z programem SAFE?

Mam nadzieję, że prezydencki projekt SAFE 0 proc. będzie procedowany, bo jest to dobra propozycja pana prezydenta. Możemy finansować polskie zbrojenia polskimi pieniędzmi albo pożyczanymi przez ministra finansów na konkurencyjnych warunkach. Jednocześnie bez ograniczeń wynikających z pożyczki europejskiej. Co więcej, nie ograniczając naszej suwerenności. Nawet Donald Tusk nie chce podpisywać umowy na europożyczki z SAFE i spycha to na Władysława Kosiniaka-Kamysza, bo nie chce brać za to odpowiedzialności. Przecież nawet nie wiemy, ile będziemy spłacać, co przyznaje minister Domański. A jest alternatywa dla tych środków. Przypomnę, że w styczniu br. Domański wyemitował obligacje w euro o koszcie 2,96 proc., czyli poniżej tego, co rządzący chcą pożyczyć z Brukseli. Rok w rok ta ekipa nie wykorzystuje blisko 20 mld zł z Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Jako PiS proponujemy sięgnąć po blisko 20 mld zł z podatku bankowego, zaproponowaliśmy odpis podatkowy na cele wojska. Warto się także zastanowić nad obligacjami wojskowymi.

Fot. Andrzej Wiktor

Czy wskazanie prof. Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera kończy wewnętrzne spory w PiS?

Gwarancją naprawy Polski po Tusku jest zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości. Jesteśmy partią łączącą ludzi różnych poglądów w ramach obozu patriotycznego: wolnorynkowców, zwolenników społecznej gospodarki rynkowej, konserwatystów, chadeków, narodowców. I to uznajemy za wartość. Spoiwem jest troska o naszą ojczyznę, a niekwestionowanym liderem naszego obozu jest pan prezes Jarosław Kaczyński. Prof. Przemysław Czarnek posiada wielki autorytet, przyciąga tłumy, jest doskonałym mówcą. Był świetnym wojewodą i ministrem nauki – rozumie instytucje państwa. Ostatni miesiąc potwierdził, że była to świetna decyzja. Pan prof. Czarnek bardzo ciężko pracuje, ma jasną agendę i pełne wsparcie całego środowiska. Przypomnę, że został zaakceptowany przez gremia partyjne bez głosu sprzeciwu.

Prezydent Karol Nawrocki wygrał wybory dzięki temu, że zjednoczył obóz konserwatywny i prawicowy. Czy taką rolę powinien odegrać w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych?

Polacy oczekują dobrej współpracy rządu z prezydentem. Jestem jednak głęboko przekonany, że za półtora roku będziemy mieli rząd, który będzie współpracował z panem prezydentem i dbał o to, żeby Polska bezpiecznie się rozwijała i była perspektywiczna dla młodego pokolenia. Potrzebny jest zdroworozsądkowy duet, który spowoduje, że do naszego kraju wróci normalność. Polacy nie chcą się denerwować, iż rząd skupia się na walce z prezydentem, a nie na rozwiązywaniu problemów. Skończą się blokady Czarzastego i ataki na współpracowników głowy państwa. Będzie można harmonijnie wprowadzać potrzebne zmiany.

A pakt senacki?

Jestem zwolennikiem propozycji, aby pan prezydent patronował wspólnej liście środowisk patriotycznych w wyborach do Senatu. Ma do tego silną i naturalną pozycję. Dzięki Senatowi można wiele zrobić – choćby zainicjować tak potrzebną reformę wymiaru sprawiedliwości na podstawie projektu już wcześniej przedstawionego przez pana prezydenta. Problem polega jednak na tym – i odnotowuję to z przykrością – że w ostatnim czasie politycy Konfederacji, tacy jak Krzysztof Bosak czy Sławomir Mentzen, częściej atakują Prawo i Sprawiedliwość oraz naszych liderów niż polityków koalicji 13 grudnia. Chciałbym im zacytować słowa prof. Czarnka ze spotkania w Iławie: „To nie PiS jest wrogiem, nie tu jest wróg". Co więcej, pojawiły się zaskakujące deklaracje tych liderów Konfederacji, że nie wykluczają koalicji z Donaldem Tuskiem.

eprasa.pl d6d2f28467

Rozwalanie małżeństwa

Ma być nas coraz mniej. Walec jedzie. Sejm uchwalił, Senat poparł ustawę o „rozwiązywaniu małżeństw" w formie oświadczenia złożonego urzędnikowi. Zachęcają Polaków do bezdzietności

MACIEJ PAWLICKI

Poszło szybko. 19 grudnia minister sprawiedliwości składa projekt – mimo kilkudziesięciu krytycznych uwag wielu instytucji. 13 marca projekt przegłosowuje Sejm, a 8 kwietnia Senat. W prezydencie nadzieja, że zatrzyma niszczący absurd.

Gdyby ustawa weszła w życie, polski Kodeks rodzinny stwierdziłby: „Małżeństwo uważa się za rozwiązane w chwili złożenia przez małżonków, w obecności kierownika urzędu stanu cywilnego, oświadczeń o rozwiązaniu małżeństwa". Warunkami są roczny staż, brak wspólnych małoletnich dzieci, zgodność co do rozpadu małżeństwa i 620 zł.

Zdaniem autorów ustawy „wprowadzenie możliwości pozasądowego rozwiązania małżeństwa jest zgodne z oczekiwaniami społecznymi", odciąży sądy okręgowe i znacznie przyspieszy procedurę uzyskania rozwodu. Obecnie sprawa rozwodowa przeciętnie trwa dziewięć miesięcy. Nowa procedura (dwukrotne oświadczenie przed urzędnikiem) tylko miesiąc. Jest małżeństwo, rach-ciach, nie ma małżeństwa.

Mogę zrozumieć, że sędziowie chcą mieć mniej roboty. Ale jakież to „oczekiwania społeczne" ma na myśli minister? Żeby prędziutko mieć „wolność" od kogoś, z kim jeszcze niedawno chciało się spędzić całe życie? Po co tak błyskawiczna „wolność"? Żeby zawrzeć kolejne nibymałżeństwo na chwilę? A potem kolejne?

KRYTYKA MINISTRÓW

Do operacji, którą nazwę ustawą o rozwalaniu małżeństwa, uwagi zgłosiły m.in. ministerstwa rolnictwa, obrony narodowej, rozwoju i technologii, wskazując, że „jest uproszczeniem mogącym być polem do nadużyć finansowych, pogłębić kryzys demograficzny, a także nie odpowiada konstytucyjnemu znaczeniu instytucji małżeństwa".

Ministerstwo Rolnictwa zwraca uwagę, że dotychczas „o rozwiązaniu małżeństwa nie decydują małżonkowie,

eprasa.pl d6d2f28467

Fot. Shutterstock

uprawnienie to zostało przypisane wyłącznie sądowi, który bada w toku przewodu sądowego, czy zaistniał zupełny i trwały rozkład pożycia małżeńskiego". Ministerstwo Obrony Narodowej wskazuje, że „wolą ustawodawcy było, aby orzekanie o rozwiązaniu związku małżeńskiego było dokonywane z odpowiednią rozwagą, doświadczeniem życiowym, z udziałem czynnika społecznego, jakim są ławnicy sądowi. Ukształtowanie przepisów regulujących proces rozwodowy ukierunkowane jest na utrzymanie małżeństwa".

Resorty kierowane przez PSL alarmują, że zmiana „nie odpowiada zasadniczemu znaczeniu instytucji małżeństwa w Konstytucji RP. Przypisanie urzędnikowi prawa rozwiązania małżeństwa sprowadzi instytucję małżeństwa do umowy stron, gdy tymczasem osoby wstępujące w związek małżeński składają przysięgę, która nie może być traktowana jak zwykłe oświadczenie woli. Małżonkowie zobowiązują się do przyjęcia obowiązków wobec siebie oraz wobec rodziny, jaką z chwilą zawarcia związku małżeńskiego utworzą, a pośrednio również wobec społeczeństwa. Małżeństwo utraci w społecznym postrzeganiu przymiot trwałości, na którym budowana jest rodzina, która to powinna być szczególnie chroniona przez państwo. (...) przyniesie to negatywne społecznie skutki i uczyni z małżeństwa instytucję fasadową".

Minister rozwoju i technologii zwraca uwagę na ryzyko nadużyć majątkowych. „Z instytucją małżeństwa wiąże się szereg ulg i przywilejów, ale także obowiązków i ograniczeń. Jeżeli dopuścimy do swobodnego rozwiązywania małżeństw, to możemy się spodziewać przekształcenia tej instytucji w instrumentalnie traktowaną umowę cywilnoprawną – zawieraną, rozwiązywaną i modyfikowaną zależnie od chwilowych potrzeb i okoliczności, wyłącznie w celu uzyskania jak największych korzyści przez osoby, które zawrą, a następnie rozwiążą związek małżeński z pobudek diametralnie innych niż chęć założenia rodziny".

„Skutkiem będzie znaczny wzrost liczby rozwodów, ale także dalszy spadek dzietności. Wiele małżeństw będzie zawieranych »na próbę«, a małżonkowie nie będą dążyli do szybkiego posiadania dzieci, gdyż utrudni im to skorzystanie z wprowadzanego *de facto* w projekcie »rozwodu na żądanie«".

Na skutek uwag ministerstw uwzględniono w ustawie ewentualność „dzieci poczętych, lecz nieurodzonych" (zatem nie „płodu" – mały, ale sukces). Ustawa zastrzega jednak „o ile urodziły się żywe". To staje się upiorne, może zachęcać do zabijania. Wyobraźmy sobie, że podczas nowej miniprocedury kobieta orientuje się, że jest w stanie błogosławionym. Dowiedziawszy się o tym, jej mąż zmienia zdanie, chce ocalić ich małżeństwo i wychować wspólne dziecko, będzie zabiegał, by przekonać do tego żonę. Rozwód przed urzędnikiem staje się niemożliwy. Jednak jeśli kobieta „usunie ciążę", szybki rozwód znów będzie możliwy. Chcemy prawnie zachęcać do zabijania dzieci?

UŚWIADAMIANIE DESTRUKCJI

Zdaniem wielu instytucji (m.in. Krajowej Rady Sądownictwa) narusza on wyrażoną w art. 18 konstytucji RP zasadę trwałości instytucji związku małżeńskiego, znacznie obniżając próg jego ochrony. Rzecznik Praw Obywatelskich zwraca uwagę, że z jego doświadczenia wynika, iż „jeśli małżonkowie zgodnie chcą rozwiązać związek małżeński i nie mają małoletnich dzieci, to postępowanie sądowe jest zazwyczaj szybkie i sprawne", nie ma więc powodu, by je przyspieszać. Krytyczne uwagi do ustawy zgłosił Sąd Najwyższy. Niemal wszystkie uznano za „niezasadne".

Polska Federacja Ruchów Obrony Życia stwierdza, że zmiana będzie prowadzić do banalizacji znaczenia związku małżeńskiego, powszechności rozwodów, sprzyjać rozpadowi tkanki społecznej i nietrwałości więzi rodzinnej. „Projektodawcy wprowadzają rozróżnienia godzące w równość małżeństw, dwa rodzaje małżeństw: te z małoletnimi dziećmi oraz te mniej ważne, bez małoletnich dzieci, których funkcjonowanie można bagatelizować. Urzędnik, który przyjmuje oświadczenia małżonków o trwałym i zupełnym rozkładzie pożycia małżeńskiego, nie ma żadnych sposobów weryfikacji prawdziwości tych oświadczeń. Może to prowadzić do nadużyć, to tylko sąd ma prawne możliwości ustalenia prawdy obiektywnej o rzeczywistym rozkładzie pożycia" (podobne stanowisko wyraziły Krajowa Rada Sądownictwa, Krajowa Rada Radców Prawnych, Stowarzyszenie Notariuszy RP).

Instytut Ordo Iuris ocenia, że to „kolejny krok na drodze do obniżania ochrony prawnej trwałości rodziny prowadzi do instytucjonalnej banalizacji rozwodu, czyniąc z niego czynność administracyjną pozbawioną wymiaru ochronnego i refleksyjnego. Podważa zasadę trwałości małżeństwa". Instytut przytacza badania demograficzne od Holandii przez Belgię, kraje nordyckie po Meksyk, które pokazują, że przeniesienie rozwodów z sądów do trybu administracyjnego zwiększa liczbę rozpadających się małżeństw.

„Nowa ustawa zniechęcenia małżonków do dbania o związek" – mówi Ordo Iuris. Ostrzega też, że uzależnienie łatwiejszej procedury rozwodowej

eprasa.pl d6d2f28467

od braku dzieci oznaczać będzie dalsze zniechęcanie młodych do rodzicielstwa i pogłębienie kryzysu demograficznego. I to właśnie jest najważniejsze w ustawie o rozwalaniu małżeństwa.

ZABIJANIE NARODU

Czy głosujący za posłowie/posłanki i senatorowie/senatorki rozumieli, za czym zagłosowali? Zdecydowali, by prawnie zdefiniować małżeństwo jako łatwo rozwiązywalną, tymczasową umowę, a nie trwałe i obwarowane ślubem zobowiązanie. Czy rozumieją, że to diametralna różnica – nie tylko metafizyczna i etyczna, lecz także psychologiczna i społeczna? Ślubuję ci, a może nie ślubuję, może się rozmyślę. Tak przepastna pustka duchowa i moralna, tak cyniczne podejście do etycznej podstawy spoistości i zdrowia rodziny oraz społeczeństwa niszczy je, zamienia we własne karykatury.

Czym jest małżeństwo? Nie jest umową cywilnoprawną o czasowe świadczenie usług. Nawet gdy nie stanie się sakramentem, jest podstawą bezpieczeństwa rodziny, podstawą bezpieczeństwa matki i dzieci, uroczystym i najmocniejszym możliwym stwierdzeniem zobowiązania mężczyzny, ojca do odpowiedzialności i opieki nad żoną i dziećmi. Jest wspólnotą wzajemnej miłości i wielką szkołą piękna wzajemnego wsparcia. „Miłość to nie pluszowy miś ani kwiaty [...] miłość: kiedy jedno spada [...] drugie ciągnie je ku górze".

Kiedy małżeństwo ma sens? Gdy jest decyzją na całe życie. Stare przysłowie mówi: „Ożeń się z kobietą, z którą lubisz rozmawiać". Zatem, panowie, fascynacja kobiecością jest arcyważna, ale nie tylko ona. Podobnie panie – prócz miłości szukacie zrozumienia, oparcia i bezpieczeństwa, prawda? Decydując się na małżeństwo, inwestujemy wszystko. Przede wszystkim całego/całą siebie. Inne przysłowie mówi: „Nie wystarczy znaleźć właściwą osobę, trzeba też stać się właściwą osobą".

Czym jest małżeństwo? Jest drogą, którą rozpoczyna ślub. Ale w tę drogę wyruszamy we dwoje, wierząc, że zakończymy ją razem. Chcąc tego z całych sił i z całych sił pracując, by to się udało. Zmieniając się na lepsze, ucząc się siebie nawzajem, wspólnego życia, ustępstw, kompromisów, pokonywania kryzysów i swych słabości, budowania razem. Nadzieja i oczekiwanie na wspólne dziecko jest pięknym czasem rosnącej miłości i właśnie – budowania. Marzeń, planów, umiejętności. A potem samo dziecko – pierwsze i kolejne – jest filarem tej budowli małżeńskiego szczęścia.

DZIECI WZMACNIAJĄ MAŁŻEŃSTWO

Niestety rozwody się zdarzają i będą zdarzać. Jak stwierdzili psychologowie – dla dzieci są tragedią większą niż śmierć jednego z rodziców. Im słabsze relacje w rodzinie, im mniej woli – a raczej umiejętności wspólnego rozwiązywania problemów – tym większe ich prawdopodobieństwo. Kolejne przysłowie: „W małżeństwie smutek dzieli się na dwa, radość mnoży razy dwa". A raczej mnoży razy wiele – w zależności od tego, ile jest dzieci. Dziecko w małżeństwie nie jest tylko faktem fizycznym, nie jest tylko obiektem do serwisowania. Gdy fizycznie go jeszcze nie ma, najpierw jest wspólnym marzeniem, oczekiwaniem, nadzieją. Małżeństwo buduje się także z dzieci, które dopiero będą.

> Nadzieja i oczekiwanie na wspólne dziecko jest pięknym czasem rosnącej miłości i właśnie budowania. Marzeń, planów, umiejętności. A potem samo dziecko – pierwsze i kolejne – jest filarem tej budowli małżeńskiego szczęścia

Na 100 proc. rozwodów w małżeństwach bezdzietnych dokonuje się 42 proc., w małżeństwach z jednym dzieckiem – 33 proc., w małżeństwach z dwojgiem dzieci – 21 proc., w małżeństwa z trojgiem dzieci – tylko 3 proc., a z czworgiem i więcej dzieci – 1 proc. Wniosek: pierwsze dziecko zwiększa szanse małżeństwa o połowę, dwoje dzieci te szanse podwaja, troje dzieci daje 97-proc. gwarancję trwania małżeństwa, czworo lub więcej dzieci – daje niemal pewność.

Zaszczepiana przez nową ustawę wiadomość, że to wszystko niepotrzebne, że brak dziecka jest fajny, bo umożliwia rach-ciach rozwód, będzie sprawiać, że nawet podświadomie nowi małżonkowie będą sobie „dawać czas na próbę". Bez dzieci rok, może dwa, a może lepiej trzy czy pięć lat, żeby tak prawdopodobne przecież rozstanie było błyskawiczne jak płatki owsiane. Bez wysiłku, bez gotowości uczenia się siebie nawzajem, bez pokonywania kryzysów, bez stawania się „właściwą osobą". Bo i po co, skoro w każdej chwili można ją/jego wymienić na lepszy model? Wyłącznie wedle własnych reguł, nie dzieląc się niczym, w niczym nie ustępując, nic nie zmieniając. Przecież celem nie jest wspólna droga do mety, tylko szybka wymiana zużytego albo niedostatecznego współmałżonka, idealnie by było w kilka sekund, jak wymiana opon w pit stopie. Albo „delete" na ekranie.

Gdy na samym początku wspólnej drogi tę nadzieję na wspólne dzieci odkładamy na kiedyś tam, w istocie powoli ją zabijamy, ustanawiamy zupełnie inną relację niż małżeńska. Relację nieufności, podejrzliwości, warunkowości, swoistej gry, czyli obcości. W głowach i sercach idea małżeństwa – jeśli w ogóle zaistniała – wyparowuje, wysycha, powoli przestaje istnieć. Gdy brak dziecka i chęci rodzicielstwa stanie się synonimem „wolności", braku obowiązków, niechęci do zacieśniania związków między małżonkami, lekkości bytu, stajemy się w takim nibymałżeństwie samotni. Wedle najpaskudniejszych i najbardziej kłamliwych lewackich mitów, których największymi ofiarami są sami ich wyznawcy, ale rozumieją to dopiero po latach, gdy jest już za późno.

Przestańcie rozwalać małżeństwo, rodzinę, naród i państwo, panie i panowie z Wiejskiej. Uznajmy tę waszą ustawę o rozwalaniu małżeństwa za wypadek przy pracy, za błąd, który wspólnie naprawimy. Zajmijcie się budowaniem.

eprasa.pl d6d2f28467

Ocal historię z Archiwum Pełnym Pamięci!

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na wyjątkową wystawę „Pamięć nie na sprzedaż". Ekspozycja, przygotowana przez Archiwum IPN, to nie tylko lekcja historii, lecz przede wszystkim manifest przeciwko nielegalnemu obrotowi narodowym dziedzictwem

Wystawa stanowi element kampanii edukacyjnej, która uświadamia, że dokumenty historyczne i artefakty o szczególnym znaczeniu dla Polaków nie powinny być przedmiotem handlu. To wspólne dobro, które wymaga profesjonalnej ochrony dla przyszłych pokoleń. Na ekspozycji zobaczymy unikatowe materiały dokumentujące kluczowe doświadczenia Polaków z okresu II wojny światowej, od kampanii polskiej 1939 r., przez zbrodnię katyńską i dramat obu okupacji, aż po losy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i życie na emigracji.

SKARBY Z DOMOWYCH SZUFLAD

Prezentowane obiekty trafiły do zasobu Instytutu dzięki projektowi Archiwum Pełne Pamięci. Ta realizowana od 2017 r. inicjatywa pozwoliła zabezpieczyć już ponad 3 tys. prywatnych kolekcji. Listy, fotografie, pamiętniki i nagrania, które przez dekady spoczywały w domowych skrytkach w kraju i za granicą, dziś znajdują się pod opieką profesjonalistów.

Przekazane materiały odzyskują blask – są poddawane konserwacji, a następnie prezentowane publicznie podczas konferencji, w publikacjach książkowych oraz na wystawach. Dzięki digitalizacji losy często bezimiennych bohaterów są dostępne dla każdego na stronie www.archiwumpamieci.pl oraz w popularnym cyklu podcastów.

Zaproszenie na Przystanek Historia

Najciekawsze zbiory przekazane przez darczyńców będzie można obejrzeć w Warszawie.

Termin: 8 kwietnia – 6 maja br.

Miejsce: Centrum Edukacyjne IPN „Przystanek Historia" im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25.

Godziny otwarcia: poniedziałek–piątek, 9.00–17.00.

Wstęp na wystawę jest wolny.

To obowiązkowy punkt na mapie dla każdego, komu bliska jest ochrona polskiego dziedzictwa narodowego.

Artykuł sponsorowany | 13/0426/F

eprasa.pl d6d2f28467

Euroatlantycka oligarchia

MACIEJ WALASZCZYK

Grupa Bilderberg to najbardziej ekskluzywny klub na świecie. Skupia nieodpowiadającą przed nikim zachodnią oligarchię, zakulisowo decydującą o przyszłości Europy i Ameryki. W imię euroatlantyckiego partnerstwa

Jak co roku media obiegła wiadomość o obradach Grupy Bilderberg. Zawsze podawana w tonie sensacji i z obowiązkowym zestawem najważniejszych uczestników, w tym Polaków. W tym roku spotkanie zorganizowano w Waszyngtonie, a z Polski pojawili się na nim szef MSZ Radosław Sikorski i jego żona Ann Applebaum (prezentowana tym razem jako reprezentantka USA), wiceprezes GRUPY WB z sektora obronnego Adam Bartosiewicz, a także szef Polskiej Rady Biznesu Wojciech Kostrzewa i prezes spółki Mediacap Jacek Olechowski. Zestaw wymowny – polityka oraz jej instrumenty nacisku – dyplomacja, finanse, zbrojeniówka i farmacja.

ZA KULISAMI POLITYKI

Trudno się dziwić, że większość publikacji na temat Grupy ma charakter spiskowy. Dlaczego? Bo istnienie powołanej w 1954 r. inicjatywy przez wiele lat było tajne. Do dziś spotkania mają charakter prywatny, gromadząc liberalną prawicowo-lewicową oligarchię. Nie wolno ujawniać, kto i co mówił podczas dyskusji. Dzięki temu ich uczestnicy mogą rozmawiać otwarcie, ale nieoficjalnie. Skoro nikt niczego protokołuje, nie ma żadnego obciążenia politycznego. Choć dziś lista gości jest publikowana, to spotkania toczą się za zamkniętymi drzwiami.

Bilderberg wpisuje się w inne, podobne do siebie prywatne inicjatywy, takie jak Komisja Trójstronna Davida Rockefellera czy Światowe Forum Ekonomiczne w Davos, a w osobach zaproszonych gości w jednym miejscu i czasie kulminuje niespotykana wręcz koncentracja władzy politycznej, finansowej i gospodarczej. Grupie przypisuje się więc pewną realną władzę, podkreślając, że w czasach globalizacji to w tego rodzaju ekskluzywnych gronach załatwiane są najważniejsze sprawy ogólnoświatowe, że więcej tam przyszłych premierów niż tych aktualnych.

To tam w 1989 r. wskazano na bezbarwnego Johna Majora jako następcę premier Thatcher, gdyż skutecznie wyhamowywała ona integrację z UE. W 1991 r. Bill Clinton uczestniczył w konferencji w niemieckim Baden-Baden, a rok później został nominowany jako oficjalny kandydat demokratów w wyborach prezydenckich. W 1993 r. Tony Blair pojawił się w Atenach, a rok później został liderem Partii Pracy. W 2011 r., po rezygnacji złożonej przez Silvia Berlusconiego, premierem Włoch został bankier Mario Monti – człowiek z ówczesnego Komitetu Wykonawczego grupy.

Satyrycznym wręcz przykładem politycznej kariery jest przypadek Hermana Van Rompuya. W 2009 r. grupa specjalnie zorganizowała drugą konferencję w Brukseli, aby otwarcie zapewnić niemal anonimowemu byłemu premierowi Belgii stanowisko pierwszego przewodniczącego Rady Europejskiej. W latach 2011–2012 w konferencjach brał udział Kanadyjczyk Mark Carney, który chwilę potem i ku wielkiemu zaskoczeniu obserwatorów, otrzymał fotel szefa Banku Anglii. Lista tych, którzy uczestniczyli w konferencji tuż przed objęciem ważnego stanowiska jest długa i znajdziemy tam zarówno prezydenta Francji Emmanuela Macrona, jak i praktycznie wszystkich przewodniczących Komisji Europejskiej z Ursulą von der Leyen włącznie. Ale nie każdy plan wypala. W 2014 r. w spotkaniu zorganizowanym w Kopenhadze pojawił się m.in. Gordon Bajnai, ówczesny szef antyorbanowskiej opozycji, ale liderem okazał się kiepskim.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d6d2f28467

NIE MA PRZYPADKÓW

Podobny jest przypadek polskiego weterana tych elitarnych nasiadówek, czyli Andrzeja Olechowskiego. Bywał tam wielokrotnie – w 1994 r. w Helsinkach, w 1996 r. w King City pod Toronto, w 1998 r., gdzie po raz pierwszy i ostatni pojawiła się Hanna Suchocka, a także w latach 2003, 2004 i 2006. Jednak jego kariera polityczna ciągle się nie udawała. Podobnie jak Rafała Trzaskowskiego, który wziął udział w konferencji zorganizowanej w 2019 r., rok przed wyborami prezydenckimi. W 2008 r. w amerykańskim Chantilly był – ale już jako emerytowany prezydent – Aleksander Kwaśniewski.

Do ubiegłego roku członkiem Komitetu Wykonawczego pozostawał minister Radosław Sikorski i od tego czasu regularnie brał udział w spotkaniach, ale na razie szczytem jego kariery jest stołek szefa MSZ i wicepremiera. W 2004 r. w spotkaniu wziął udział ówczesny prezes Banku Handlowego, potem członek Rady Nadzorczej spółki Agora Sławomir Sikora oraz reprezentujący branżę farmaceutyczną Jacek Szwajcowski, który na spotkaniach pojawiał się także w latach 2004-2005. W 2012 r. zaproszony został Jacek Rostowski, ówczesny minister finansów w rządzie Tuska, a w 2018 r. w spotkaniu uczestniczył szef Gremi International Grzegorz Hajdarowicz, jeszcze niedawno wydawca dziennika „Rzeczpospolita". Znamienne, że w 2019 r. w szwajcarskim Montreux pojawiła się Jolanta Pieńkowska, prywatnie żona Leszka Czarneckiego. W latach 2022, 2023, 2025 i obecnie został też zaproszony wspomniany już Wojciech Kostrzewa, bankowiec ze stajni Balcerowicza, oficjalnie prezes Polskiej Rady Biznesu, a zarazem były członek rad nadzorczych TVN i Canal+ Polska. Rok temu po raz pierwszy zaproszony został szef InPostu Rafał Brzoska. Być może jest to wyjaśnienie, dlaczego nieoczekiwanie zaczął flirt z polityką.

RETINGER I TRANSATLANTYCKA OŚ

Za genezą utworzenia Grupy Bilderberg stał nasz rodak Józef Retinger, syn krakowskiego adwokata, którym po osieroceniu zaopiekował się hr. Władysław Zamoyski, otwierając mu drzwi do wielkiego świata. To postać tajemnicza, mason, kierownik polskiego dystryktu żydowskiej loży B'nai B'rith. Zrobił nieprawdopodobną karierę, poznając niemal wszystkich wpływowych i wybitnych ludzi swojej epoki, od artystów i polityków po wojskowych. Był zaufanym Winstona Churchilla, a w czasie wojny przydzielono go gen. Władysławowi Sikorskiemu, któremu stale towarzyszył – z wyjątkiem ostatniej podróży, zakończonej tragicznie w Gibraltarze.

Do śmierci w 1960 r. był też sekretarzem Grupy Bilderberg, faktycznie sprawując w niej władzę. Obserwując tuż po wojnie rozdźwięk między Europą i USA, który zręcznie rozgrywała Moskwa, Retinger doszedł do wniosku, że aby utrzymać spoistość Zachodu i osi transatlantyckiej, konieczne jest stworzenie klubu najwybitniejszych osobistości świata polityki, gospodarki i kultury z obu stron Atlantyku. Przekonał do tej idei księcia Bernharda i ówczesnego premiera Belgii Paula Van Zeelanda. W 1954 r. 60 osobistości z całej Europy oraz 20 gości ze Stanów spotkały się więc Hotelu Bilderberg koło Arnhem w Holandii, by wzmocnić porozumienie na rzecz wspierania zachodniego kapitalizmu i jego interesów na całym świecie.

W archiwum Retingera znaleziono list, w którym w 1957 r. rekomendował udział dwóch wolnomularzy: poety Antoniego Słonimskiego, kierującego w tym czasie Związkiem Literatów Polskich, i późniejszego prezesa PAN prof. Janusza Groszkowskiego, a także redaktora naczelnego istniejącego jeszcze wtedy tygodnika „Po Prostu" Eligiusza Lasotę oraz kierującego „Tygodnikiem Powszechnym" Jerzego Turowicza. Warunki polityczne zapewne uniemożliwiły im wyjazd z Polski.

Mówiąc o genezie Grupy Bilderberg, należy wspomnieć również postać współpracującego z administracją prezydenta Eisenhowera specjalisty od propagandy i wojny psychologicznej Charlesa D. Jacksona. Także ten zaufany człowiek Henry'ego Luce'a, szefa „Time", wtedy wpływowego magazynu będącego megafonem amerykańskiego establishmentu, odegrał kluczową rolę w powstaniu grupy, a latach 1954–1964 bywał na spotkaniach ośmiokrotnie. Uważa się też, że to on zbudował metapolityczne fundamenty przyszłego zwycięstwa amerykańskiej demokracji w zimnej wojnie.

> Jak wyjaśniał kiedyś William Shannon, dyplomata i redaktor „The New York Times", celem Grupy Bilderberg jest wprowadzenie Zachodu w wiek postnacjonalizmu, a więc w świat składający się z regionów, a nie państw wspierających trwałe tożsamości, który będą łączyć płynne, uniwersalne wartości. Jednym słowem chodzi o gospodarkę globalną. Ideą byłby jeden rząd, wyłączony spod demokratycznej kontroli

TO TAM PODEJMUJE SIĘ DECYZJE

Od tego czasu konferencje odbywają się raz w roku, za każdym razem w innym miejscu w Europie lub USA. Choć są organizowane w dyskrecji, to wiadomo, że przewinęły się przez nie setki europejskich i amerykańskich polityków i osobistości z pierwszych stron gazet. Dziś wypatruje się tam głównie miliarderów z wielkich korporacji technologicznych, bankowców, przedstawicieli

eprasa.pl d6d2f28467

Hotel Bilderberg koło Arnhem w Holandii

głównych dostawców przemysłu obronnego, takich jak Palantir, Thales i Anduril. W 2018 r. w spotkaniu uczestniczył – ale prywatnie – nawet sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolin.

Dziś trudno jest zachować poufność, więc w 2013 r. po raz pierwszy oficjalnie ujawniono poruszane tematy. I tak pojawia się sporo przecieków, choć zdaje się, że niektóre są celowo inscenizowane. W 2014 r. „The Guardian" opublikował reportaż, w którym opisywał zachowanie George'a Osborne'a, wtedy ministra w rządzie Camerona, jako ucieleśnienie ducha Grupy, doskonale mieszającego sferę publiczną z prywatną.

Kilka tygodni temu prezydent Donald Trump poinformował, że zamierza nominować Kevina Warsha na stanowisko przewodniczącego Rezerwy Federalnej – amerykańskiego banku centralnego. Okazuje się, że Warsh był przez lata członkiem wspomnianego Komitetu Wykonawczego, a więc wewnętrznego kręgu Grupy Bilderberg. Emblematycznym wręcz uczestnikiem spotkań był np. Peter Sutherland, irlandzki polityk i człowiek banku Goldman Sachs, prawdziwy rekin globalnej i unijnej oligarchii. Kilkanaście lat temu oficjalnie mówił, że należy podważyć homogeniczność etniczną krajów europejskich, gdyż migracja napędza dynamikę wzrostu gospodarczego.

Uczestnikami spotkań zawsze była polityczna i finansowa elita Zachodu, m.in. Henry Kissinger, Zbigniew Brzeziński, David Rockefeller, Edmond de Rothschild, Romano Prodi, Helmut Kohl czy José Zapatero, Barack Obama, królowa Beatrix i król Juan Carlos, Jaap de Hoop Scheffer, Guy Verhofstadt, Donald Rumsfeld, Colin Powell, George Soros, Alan Greenspan, George Bush junior i senior oraz wielu innych.

TECHNOLOGICZNI GIGANCI I POLITYKA

Podejmuje się tam – a na pewno konsultuje – ważne decyzje, a potem wprowadza je w życie, bez oglądania się na opinię publiczną czy narodowe parlamenty. Co roku tematy są zdominowane przez aktualne problemy, zazwyczaj z zakresu polityki, biznesu, finansów, energii i obrony. W 2017 r. w związku z brexitem i wyborem Donalda Trumpa globalne elity zaniepokoił wzrost popularności partii populistycznych. Natychmiastową konsekwencją była rekomendacja mająca na celu „walkę z dezinformacją", a więc zaostrzenie cenzury w internecie za pośrednictwem GAFAM (Google, Amazon, Facebook, Apple, Microsoft). Obecność przedstawicieli technologicznych gigantów rośnie bowiem od lat. Jeff Bezos z Amazona był tam już w latach 2011 i 2013, Bill Gates rok wcześniej, ale nie widziano tam jeszcze Elona Muska. Kilkukrotnie pokazał się Sam Altman z OpenAI, podobnie jak Eric Schmidt z Alphabet/Google lub brytyjski badacz sztucznej inteligencji Demis Hassabis albo Peter Thiel, współzałożyciel Palantir.

Jak wyjaśniał kiedyś William Shannon, dyplomata i redaktor „The New York Times", celem Grupy Bilderberg jest wprowadzenie Zachodu w wiek postnacjonalizmu, a więc w świat składający się z regionów, a nie państw wspierających trwałe tożsamości, który będą łączyć płynne, uniwersalne wartości. Jednym słowem chodzi o gospodarkę globalną. Ideą byłby jeden rząd, wyłączony spod demokratycznej kontroli. By osiągnąć ten cel, uwaga decydentów jest skupiana na zwiększeniu zaangażowania środków technologicznych, która ułatwi kontrolę świadomości opinii publicznej.

ELITY SPISKUJĄ OTWARCIE

Skoro tematy i ludzie pojawiający się na spotkaniach od lat są jawne, a globalna, transatlantycka i zachodnia oligarchia ujawnia swoje plany i metody zarządzania, trudno mówić o spiskowych teoriach. W ten sposób raczej odsłaniają się przed nami mechanizmy funkcjonowania współczesnego systemu parapolitycznego. Jak opisywał to zjawisko publicysta Tomasz Gabiś, elity „spiskują otwarcie, można powiedzieć, że mają zagwarantowane prawo do spiskowania". Działają bowiem poza konstytucyjnymi i wyborczymi ograniczeniami, kontrolując coraz więcej dziedzin życia społecznego, politycznego i gospodarczego. To po prostu – jak zauważał – wysoko postawieni i niewybieralni, przed nikim nieodpowiedzialni mężczyźni i kobiety, tworzący amorficzną grupę bez lidera i formalnej struktury. To oni stanowią „prawdziwy rząd", a nie widoczni, wybrani w wyborach „przedstawiciele narodu".

Fot. Michiel1972

eprasa.pl d6d2f28467

Od małego szarpało mną ADHD

To nie jest książka o polityce, ale polityka jest w niej obecna. Bo polityka to historia, w której rozgrywało się i rozgrywa barwne życie Rafała i życie każdego z nas – mówi Wiktor Świetlik, autor wywiadu rzeki z *Rafałem Ziemkiewiczem*. W tej rozmowie jeden z najbardziej cenionych polskich pisarzy i publicystów, m.in. tygodnika „Do Rzeczy", odsłania kulisy swojego prywatnego życia, nie unikając jego trudnych momentów. Publikujemy fragment książki „Ziemkiewicz"

Fot. Materiały prasowe

Rafale, postawmy sprawę jasno. Zawsze lubiłeś się mądrzyć...

Rafał Ziemkiewicz: Trzeba by spytać osób, które się ze mną stykały, ale obawiam się, że rzeczywiście powiedziałyby, że bardzo. Bo nauczyłem się, że tym przyciągam uwagę. Miałem wiedzę z różnych dziedzin, choćby dlatego, że siedziałem sam w domu, nauczyłem się wcześnie czytać i buszowałem w książkach. Było to dość zaskakujące dla ludzi dorosłych, którzy się ze mną stykali. Nie sądzili, że od drugoklasisty, ośmiolatka dowiedzą się czegoś, o czym nie mieli pojęcia. Na przykład jak jest zbudowany kosmos i jak latają statki kosmiczne, jakie są prawa aerodynamiki i jak siła nośna rozkłada się na skrzydle samolotu. A ja wszystko to zapamiętywałem z książek. O samolotach głównie, siłą rzeczy, bo trochę tego tato miał.

Czy czasem cię dopada refleksja, że mógłbyś wykorzystać tę chłonność umysłu inaczej?

Czy w ramach swoich hiperfokusów, stanów ekstremalnego skupienia typowych dla ADHD-owców, mógłbym robić coś innego i je inaczej wykorzystać? Miałem tę chłonność umysłu ADD-owca – jak raz coś przeczytałem, to zapamiętywałem, oczywiście pod warunkiem, że mnie interesowało. Gdybym wtedy zdecydował się na jakieś rzetelne studia, metodyczne, to bym mógł być dzisiaj profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Zarabiałbym całe osiem tysięcy złotych miesięcznie po wielu latach pracy. Z honorariami to może nawet ze dwa tysiące więcej. I słyszałoby o mnie ze trzysta, może pięćset znajomych i ludzi z branży.

Znasz ten żart o szamesie z Krotoszyna?

Nawet nie wiem, kto to jest szames...

Taki kościelny w żydowskiej świątyni. Był sobie więc biedny Żyd, który ubiegał się o to, żeby być szamesem w bożnicy w Krotoszynie. Ale był niepiśmienny i rabin powiedział, że nie może przyjąć do pracy gościa, który nie umie czytać ani pisać. Musiał więc za chlebem wyemigrować do Ameryki, gdzie zahandlował, zakombinował i został milionerem. Pewnego dnia, po latach, przychodzą do niego kontrahenci i coś

eprasa.pl d6d2f28467

tam mu podsuwają do podpisania. On woła sekretarza i mówi: „Niech pan przeczyta, bo ja nie umiem". Jeden z gości się dziwi: „Jak to, pan nie umie czytać i tak wysoko pan zaszedł?". „No tak, nie umiem czytać ani pisać, a zostałem milionerem". „Boże, to kim pan by dzisiaj był, gdyby pan umiał czytać?" – krzyczy tamten. „Szamesem w Krotoszynie" – kwituje nasz bohater.

Więc trochę to tak wygląda, że jakby tak nie szarpało mną to cholerne ADHD i te ciągle zmieniające się zainteresowania, to bym mógł być jakimś specjalistą od czegoś. A tak zostałem specjalistą od wszystkiego.

O bardzo wielu rzeczach wiesz coś więc z grubsza, ale...

Wiem, do czego zmierzasz. Po pierwsze, nie tylko wiem z grubsza, ale potrafię te rzeczy łączyć. Ale jak potrzebuję coś zgłębić, to wiem, gdzie szukać, do kogo zadzwonić, bo cała moja praca zawodowa polegała latami na budowaniu sieci kontaktów. Ostatnio stanąłem przed wyzwaniem trumpowskiego porozumienia Mar-a-Lago Accord. Znalazłem odpowiednie publikacje w internecie, znalazłem odpowiednich ludzi, w ciągu trzech dni ogarnąłem temat. Myślę, że jestem jednym z niewielu ludzi w Polsce, który rozumie, o co chodzi Zoltanowi Pozsarowi, w jaki sposób Ameryka będzie zarabiać na słabnięciu dolara. Ale nie będę tutaj tego tłumaczyć, niech ludzie kupią moje inne książki albo obejrzą filmy. I tak samo było w wielu wypadkach. To rozbieganie myśli ostatecznie mi wyszło na dobre.

Twoi przeciwnicy twierdzą, że jest inaczej. Research ziemkiewiczowski to ma być lanie wody na tematy, o których nie masz pojęcia. Coś ci wpadnie do ucha, nie sprawdzisz dokładnie i tak dalej...

W przekonaniu ludzi mi niechętnych, którzy tego argumentu używają oraz którzy te szydery stworzyli i upowszechnili, research ziemkiewiczowski polega na tym, że Ziemkiewicz nic nie wie w ogóle na żaden temat.

Publicystom w ogóle zarzuca się ślizganie po tematach. Skądinąd często słusznie. A ty jesteś dziś numerem jeden, więc najbardziej obrywasz...

Mówimy o dwóch rzeczach. Powiedzmy najpierw o researchu ziemkiewiczowskim, jaki jest naprawdę. We właściwym rozumieniu to jest coś, z czego jestem dumny. Nieważne, jak to nazwać. Już dość dawno temu ukułem formułę, która pozwala wytłumaczyć, o co chodzi. Nieszczęściem całej naszej sfery medialnej, intelektualnej, publicznej i tak dalej jest to, że mamy od wszystkiego specjalistów, którzy się znają na swoich wąskich dziedzinach. I jak stare powiedzenie mówi, drzewa nam przysłaniają las. A chodzi o to, żeby widzieć las. I ja staram się zobaczyć właśnie cały las.

Nieszczęściem całej naszej sfery medialnej, intelektualnej, publicznej jest to, że mamy od wszystkiego specjalistów, którzy się znają na swoich wąskich dziedzinach. I jak stare powiedzenie mówi, drzewa nam przysłaniają las. A chodzi o to, żeby widzieć las. I ja staram się zobaczyć właśnie cały las

Myślę, że to jest klucz do sukcesu mojej publicystyki i mojego gadania na YouTubie – ludzie słyszą faceta, który im powiada, że zdarzyło się to i to, i ma taki a taki związek z tym i tym. Ale tu się pojawiają specjaliści od wąskich dziedzin i krzyczą: „Kto mi tu śmie się wypowiadać na temat, od którego ja jestem specjalistą?!".

Zwłaszcza jak zająłem się popularyzowaniem historii, to się z nimi zderzyłem. Jakiś teoretyczny, przykładowy człowiek jest na przykład specjalistą od dyplomacji francuskiej między 1922 a 1925 rokiem. On jest od tego profesorem i nikt w tym głupim, feudalnym światku polskiej nauki mu się nie śmie wpierdzielić w temat, ponieważ to jest jego działka. Za to on się nie wpierdziela w działkę komuś, który jest specjalistą od dyplomacji niemieckiej między rokiem 1925 a 1935. Każdy sobie wychowuje swoich doktorantów. Wszyscy doktoranci wiedzą, że póki są doktorami, to morda w kubeł, bo doktor do profesora nie startuje ani magister do doktora.

Efekt jest taki, że masz świetnych specjalistów od każdego drzewka. A nawet nie od każdego, bo niektóre działy są kompletnie olewane, na przykład nikt się nie specjalizuje w kontaktach Piłsudskiego z wywiadem austriackim, a doktor Ryszard Świątek, jak się ośmielił tym zająć i zajrzał jako pierwszy i jedyny do odnośnych wiedeńskich archiwów, to został wyszczuty z zawodu, bo zamachnął się na świętość. I – co najgorsze – zamachnął się nie szyderą, tylko faktami i świetną historyczną książką „Lodowa ściana".

Uważasz, że tak jest we wszystkim?

Tak jest we wszystkim, niestety. Są jacyś goście od gospodarki, od jakichś jej kawałków, są jacyś goście od ubezpieczeń społecznych i każdy właśnie zrobił to, czego ja nie zrobiłem w dzieciństwie. Przeprowadził rzetelne, solidne studia, rok po roku przyswajał wiedzę, wchłonął te wszystkie lektury, nauczył się fachowego żargonu i jest świetnym specjalistą od swojego drzewa. Ale gdzie to drzewo stoi, jak cały las wygląda, to ani wie, ani go to interesuje.

Więc w twojej twórczości przyświeca ci motto, że właśnie po to jesteś, żeby ten las opisywać?

Akurat w tej sprawie okazało się to bardzo nowatorskie i wizjonerskie. Czasy się zmieniły i przypomnę, że teraz jest coś takiego jak internet, którego w latach mojego dzieciństwa jeszcze nie było. I ten internet sprawia, że dotrzeć do informacji, jak się wie, czego się szuka, jest nieopisanie łatwo

eprasa.pl d6d2f28467

w porównaniu z tym, co było kiedyś. Więc nie ma potrzeby mieć mózgu obciążonego mnóstwem szczegółowych informacji z różnych dziedzin, bo jest wyszukiwarka Google albo jakaś inna, bardziej specjalistyczna. Po prostu.

I mądrość w moim przekonaniu powinna dzisiaj polegać na tym, żeby wiedzieć, czego i gdzie szukać. Brałem udział w dyskusjach na temat reformy edukacji i naprawdę zupełnie poważnie uważam, że w dzisiejszych czasach powinno się dokonać bardzo, bardzo znaczącej zmiany w myśleniu o nauczaniu, zmiany porównywalnej z tym, co się działo w czasach oświecenia. Uznano wtedy, że dalsze uczenie młodzieży teologii, starożytnej greki i innych sztuk – *quadrivium*, *trivium*, czy jak to się tam nazywało – nie ma żadnego sensu, bo nie przygotowuje już do żadnego realnego życia. Zrozumiano, że trzeba uczyć dzieci rachunków, języków, biologii i chemii.

To była wielka rewolucja i dzisiaj pojawienie się internetu, wyszukiwarek, sztucznej inteligencji powinno spowodować analogiczną rewolucję. Przestańmy młodym ludziom obciążać mózgi mnóstwem szczegółów, które oni mogą w razie potrzeby znaleźć. Nauczmy ich, jak szukać i czego szukać. Nauczmy ich posługiwać się tą całą infosferą, która została stworzona.

W tym sensie być może jestem jakimś prekursorem, bo jeszcze zanim internet powstał, nie dlatego, że miałem to jakoś przemyślane, bo co tam człowiek może mieć przemyślane, jak ma lat kilkanaście, tylko jakoś odruchowo, ADHD-owo i ADD-owo szedłem w tym kierunku. Zawsze tak było, ponieważ miałem kłopoty z tym uwielbianym przez moich rodziców braniem się w garść i skupianiem się na jakimś jednym temacie, kiedy mój mózg cały czas skakał z tematu na temat. Siłą rzeczy popchnęło mnie to właśnie w kierunku takiego funkcjonowania, który złośliwi próbowali wykpić jako research ziemkiewiczowski. Czyli widzieć wszystkie drzewa, każde po trochu, i starać się kojarzyć je ze sobą, a omijać nieistotne szczegóły. To samo zresztą pchnęło mnie pewnie do science fiction, zamiast pisania jakichś poważnych rzeczy, których moja mama po mnie oczekiwała.

Dlaczego akurat fantastyka tu tak pasuje?

Ponieważ to jest taki rodzaj literatury, który się posługuje metaforą. Tworzysz jakąś wizję przyszłości i innej planety, innego świata, ale to tak naprawdę model, za pomocą którego oddajesz realną rzeczywistość.

Ukułem sobie taki greps, który pomaga mi wytłumaczyć ludziom, dlaczego piszę science fiction. Kiedy spod twojego pióra wychodzi powieść współczesna, to jest tak, jakbyś oglądał obraz z nosem przytkniętym do płótna. Bardzo dobrze widzisz niektóre szczegóły. I większość literatury tak zwanej obyczajowej czy współczesnej to są takie „plotki o nieznajomych", jak to ładnie jeden pisarz ujął. Wszystko wyczerpuje się na szczegółach.

Natomiast, gdy rzucisz fabułę w przyszłość albo wprowadzisz jakiś element fantastyczny, to jakbyś zrobił dwa kroki w tył i wtedy nagle szczegóły ci giną, ale za to zaczynasz widzieć cały obraz. I dostrzegasz wreszcie, w co te plamki kolorowe, wcześniej oglądane każda z osobna, się układają. I to jest właśnie fantastyka, to jest właśnie science fiction. Próba uchwycenia całości kosztem detali.

Dlatego coś takiego chciałem pisać, bo to było zgodne z moją naturalną skłonnością do widzenia rzeczy w miarę możliwości wszystkich naraz. Połączeń i relacji. Nawet nie wiedziałem wtedy, że jest takie określenie „podejście holistyczne". Ono się pojawiło gdzieś w latach osiemdziesiątych, jak już byłem mocno zaangażowany w fantastykę. Wprowadził je chyba Maciek Parowski: „powieści holistyczne", „paradygmat holistyczny".

Twoi przeciwnicy, pisząc „reaserch ziemkiewiczowski", nie mają jednak na myśli holistycznego podejścia.

Gość z „Gazety Wyborczej" – mniejsza o jego nazwisko, bo przyjmijmy zasadę, że nie będziemy tu uwieczniać ludzi, którzy niekoniecznie na to zasługują – chciał mnie tam jakoś ugryźć i dopatrzył się, że coś pomyliłem. Coś drobnego. To on ukuł to szyderskie określenie „research ziemkiewiczowski".

Ale trafił. W sensie takim, że wpisał się w potrzebę hejtu na ciebie. To złapało. Bo udane są takie obelgi, które złapią – i ona złapała...

Ale jakbyś tak zrobił kwerendę dowodów, to przeważnie się to objawia tym, że jakiegoś Stefana nazwałem Stanisławem, bo rzeczywiście mam bardzo słabą pamięć do nazwisk i imion. Albo takie rzeczy, które normalnie się nazywa lapsusami, które się zdarzają każdemu. Na przykład, że psychologa Jordana Petersona kiedyś w jakimś tweecie nazwałem Peterem Jordansonem. Trzy czwarte z tego dotyczy oczywiście jakichś rozmówek twitterowych, bo to się pisze przeważnie gdzieś tam w locie, w metrze, bez sprawdzania szczegółów.

W pewnym momencie zgłosił się do mnie naczelny „Super Expressu", Grzesiek Zasępa. Od dawna już robiłem wywiady na YouTubie i nie da się ukryć, że rozmowy z tobą miały najlepszą oglądalność. Grzesiek zaproponował: „Może byś zrobił program z Ziemkiewiczem? Ale choćby skały srały, to musi się nazywać »Risercz«". Co okazało się zresztą bardzo dobrym pomysłem. Jak widać, research ziemkiewiczowski udało się przekuć na twoją korzyść. Moją zresztą też.

Myślę, że tak. To jest czarny sen Michnika. Czy tam Lisa albo Tuska.

Książkę „Ziemkiewicz" wydaną przez wydawnictwo Czarna Skrzynka można kupić na stronie: sklep.czarnaskrzynka.com.pl

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl d6d2f28467

Jak Magyar pokonał Orbána

Fot. Balint Szentgallay/NurPhoto via AFP/East News

Dlaczego doszło do politycznego tsunami na Węgrzech? Czy większość wyborców zmieniła poglądy z prawicowych na lewicowe?

GRZEGORZ GÓRNY

Gdy ogłoszono wyniki wyborów na Węgrzech, socjaliści i liberałowie w całej Europie nie ukrywali swej radości, wypisując triumfalne komentarze w internecie. Sytuacja była paradoksalna: do parlamentu w Budapeszcie nie dostała się żadna partia lewicowa lub liberalna – 100 proc. mandatów zdobyły ugrupowania definiujące się jako prawicowe lub centroprawicowe: TISZA, należąca do Europejskiej Partii Ludowej, Fidesz, będący członkiem Patriotów za Europą, oraz Mi Hazánk, działający w ramach Europy Suwerennych Narodów. Zdecydowany triumf, zyskując ponad dwie trzecie mandatów, a więc większość konstytucyjną, odniosła pierwsza z owych formacji, kierowana przez Pétera Magyara.

MAGYAR JAK ORBÁN

Duża część publicystów na Zachodzie odebrała zwycięstwo TISZY nad Fideszem jako wygraną lewicy nad prawicą oraz dowód na mocne przesunięcie nastrojów wśród elektoratu z prawa na lewo. Nic bardziej mylnego: w sprawach ideowych, światopoglądowych i obyczajowych większość węgierskich wyborców nie zmieniła swych zapatrywań. Sam Magyar podczas kampanii wyborczej nie wysunął zresztą ani jednego lewicowo-liberalnego postulatu w rodzaju edukacji seksualnej, ideologii gender czy polityki proimigracyjnej.

Lider TISZY nie atakował Fideszu ani z lewa (jak robili to postkomuniści), ani z prawa (jak czynili to nacjonaliści), lecz z pozycji Fideszu. Twierdził, że Viktor Orbán zdradził ideały swojego ugrupowania: obejmując władzę w 2010 r., obiecywał walkę z korupcją i oligarchią, a sam stworzył układ korupcyjno-oligarchiczny; był przeciwnikiem imperialnej Rosji, a stał się sojusznikiem Putina; zapowiadał ożywienie gospodarcze, a doprowadził do stagnacji ekonomicznej. Magyar mówił ludziom: to ja reprezentuję prawdziwy Fidesz. Proponował Węgrom orbanizm bez Orbána.

Co znamienne, symbolika i retoryka użyta przez niego w kampanii TISZY przypominała kampanię wyborczą Fideszu z 2010 r. Magyar zawsze pojawiał się na tle węgierskich sztandarów, unikając fotografowania się na tle flag unijnych. W niektórych sprawach przelicytowywał nawet Orbána, np. w polityce antyimigracyjnej, gdy domagał się ograniczenia wiz pracow-

Autopromocja

eprasa.pl d6d2f28467

niczych dla cudzoziemców. Już po zwycięstwie wyborczym zapowiedział próbę zrewidowania dekretów Beneša na Słowacji. Wspomniane dekrety, wydane w 1945 r. w Czechosłowacji, dotyczyły nie tylko Niemców sudeckich, lecz także ponad 100 tys. Węgrów. Doprowadziły do całkowitej konfiskaty ich majątków, pozbawienia obywatelstwa oraz przymusowego wysiedlenia poza granice kraju. Nawet Orbán, często oskarżany o rewizjonizm, nie posunął się tak daleko, by wracać do tej historycznej kwestii.

Magyar wziął sobie najwidoczniej do serca słowa Orbána, który powiedział kiedyś, że Fidesz może pokonać tylko Fidesz. Przeprowadził więc kampanię według tej recepty. Jego wiarygodność w oczach wyborców budowało to, że od 2010 r. był członkiem Fideszu. Odszedł z partii dopiero po głośnym skandalu w 2023 r., gdy media ujawniły fakt ułaskawienia wicedyrektora domu dziecka skazanego za tuszowanie przestępstw pedofilskich. Sprawa zakończyła się dymisją ówczesnej prezydent Katalin Novák oraz minister sprawiedliwości Judit Vargi (wówczas żony Pétera Magyara, z którą później się rozwiódł). Z Fideszem było niegdyś związanych także wielu innych działaczy TISZY, jak np. Anita Orbán (zbieżność nazwisk przypadkowa), typowana na szefową dyplomacji w nowym rządzie.

W poprzednich wyborach w 2022 r. na Fidesz głosowało ok. 3 mln obywateli, w tym roku już tylko 2,37 mln. W ciągu czterech lat partia straciła więc 630 tys. wyborców. Czy zmienili oni poglądy z prawicowych na lewicowe? Nie. Opowiedzieli się tylko za inną wersją polityki konserwatywno-narodowej. Oczywiście, na TISZĘ głosowało także wielu zwolenników lewicy i liberałów, ale tylko dlatego, że była to dla nich jedyna nadzieja, by odsunąć od władzy znienawidzonego Orbána.

Na razie pozostaje niewiadomą, na ile prawicowy program Magyara był „maskirowką", czyli kampanijnym spektaklem na użytek wyborców, by odciągnąć ich od Fideszu, a na ile naprawdę będzie realizowany po wyborach. To się okaże już wkrótce. Można się jednak spodziewać, że w pewnych punktach będzie on zbieżny z polityką Orbána, w innych nastąpi zerwanie.

MAGYAR JAK ZEŁENSKI

Dla wszystkich obserwatorów niespodzianką była skala zwycięstwa TISZY. Nawet jeśli spodziewano się zwycięstwa tej partii, to raczej niewielką liczbą głosów. O rozmiarach wygranej przesądziło jednak głosowanie w jednomandatowych okręgach wyborczych. Do tej pory Fidesz gromił w nich swoich przeciwników. W 2010 r. zdobył w JOW 98 proc. mandatów, w 2014 r. – 90 proc., w 2018 r. – 86 proc., a w 2022 r. – 82 proc. Niektórzy spodziewali się podobnego rezultatu także w tym roku.

Przez długie lata partia Viktora Orbána zdołała bowiem zbudować silne struktury regionalne z siecią lokalnych wpływów i rozbudowanym układem klientelistycznym. W odróżnieniu od niej TISZA, która powstała w 2021 r., nie miała zaplecza na prowincji. Na jej listach znalazło się wielu nowicjuszy, ludzi szerzej nieznanych i bez doświadczenia politycznego. Przeciw sobie mieli działaczy Fideszu o dużym dorobku, rozpoznawalności i wpływach. A jednak „ludzie znikąd" pokonali starych wyjadaczy. TISZA wprowadziła do parlamentu aż 93 posłów ze 106 okręgów jednomandatowych.

Pod tym względem elekcja na Węgrzech przypominała ukraińskie wybory w 2019 r., gdy zwycięstwo odniosło ugrupowanie Sługa Narodu, założone zaledwie półtora roku wcześniej przez Wołodymyra Zełenskiego. Tam również nieznani „kandydaci z castingu" pokonywali w JOW polityków, działaczy i oligarchów z głośnymi nazwiskami. W efekcie „partia znikąd" zdobyła samodzielną większość w Radzie Najwyższej.

Zarówno Poroszenko w 2019 r., jak i Orbán w 2026 r. stracili monopol na interpretowanie rzeczywistości. Obaj skupiali się w kampanii na sukcesach w polityce zagranicznej. Prezydent Ukrainy chwalił się wprowadzeniem ruchu bezwizowego z Unią Europejską, uzyskaniem od patriarchatu Konstantynopola autokefalii dla Cerkwi prawosławnej czy uprzywilejowanymi stosunkami z Berlinem. Zełenski krytykował go za tolerowanie korupcji, utrwalanie systemu oligarchicznego czy kryzys gospodarczy – i ten przekaz mocniej docierał do wyborców.

Podobnie czynił Orbán, chwaląc się znakomitymi relacjami z obecną administracją USA czy nieustępliwością wobec federalistycznych planów eurobiurokracji. Magyar nie wchodził z nim w polemikę na ten temat – punktował zapaść w służbie zdrowia, kryzys systemu szkolnictwa, zaniedbania infrastrukturalne itd. Podczas gdy Orbán latał do Waszyngtonu, Moskwy czy Brukseli, Magyar jeździł do Debreczyna, Hatvanu czy Székesfehérváru i tam zdobywał poparcie elektoratu.

Przywódca Fideszu błędnie zdefiniował też główną oś sporu podczas ostatniej kampanii. Uczynił nią sprawę ukraińską, głosząc, iż nie pozwoli wciągnąć Węgier do wojny z Rosją. Ten manewr okazał się skuteczny podczas poprzednich wyborów w 2022 r., jednak w tym roku nie miał już mocy oddziaływania. Stało się tak głównie za sprawą Magyara, który poparł Orbána w tej kwestii. Lider TISZY protestuje bowiem przeciw wstąpieniu Kijowa do Unii Europejskiej, jest przeciwny wysyłaniu węgierskiej broni na Ukrainę, a nawet tranzytowi takich transportów przez terytorium Węgier. Przedstawiciele jego partii głosowali nawet za zablokowaniem unijnej pożyczki 90 mld euro dla Ukrainy. Mało tego: gdy Zełenski skierował wobec Orbána zawoalowaną groźbę użycia siły, Magyar skrytykował prezydenta Ukrainy, broniąc premiera Węgier. Fidesz wyznaczył więc pole bitwy, ale okazało się, że nie ma na nim przeciwnika, który zaatakował go na zupełnie innym froncie.

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze
eprasa.pl d6d2f28467

MAGYAR JAK TUSK

To wszystko nie oznacza jednak, że na Węgrzech nic się nie zmieni. Wręcz przeciwnie – część polityki Fideszu będzie kontynuowana, ale nastąpią też duże zmiany. Pierwsza z nich dotyczy relacji z Brukselą. Podczas kampanii Komisja Europejska mocno wspierała TISZĘ, blokując wypłatę funduszy unijnych dla Węgier, dopóki u władzy pozostaje Orbán. Teraz te środki zostaną odblokowane. Można się spodziewać, że Magyar pójdzie na duże ustępstwa wobec eurobiurokracji, np. w kwestii dalszej centralizacji UE. Niewykluczone, że w niektórych sprawach uda mu się uzyskać jakieś odstępstwa od unijnych nakazów, strasząc Brukselę, że w przeciwnym razie Fidesz może ponownie dojść do władzy. Ogólnie jednak będzie płynął w głównym nurcie UE. To wszystko przypomina nam oczywiście polski scenariusz.

Najważniejszą zmianą będą jednak rozliczenia poprzedniej ekipy i przejęcie instytucji w państwie. Pod tym względem głównym punktem odniesienia dla Magyara pozostaje Polska. Lider TISZY nie musi się jednak uciekać do łamania prawa tak jak obóz Donalda Tuska, ponieważ dysponuje większością konstytucyjną. W związku z tym może doprowadzić do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej lub nowelizacji starej, a wraz z tym do wymiany niemal wszystkich urzędników poprzedniej ekipy, a nawet do ustanowienia nowego porządku politycznego. W takim scenariuszu jedynymi nietykalnymi wydają się jedynie prezes Narodowego Banku Węgier (do końca kadencji w 2031 r.) oraz sędziowie, których obejmuje zasada niezależności i nieusuwalności. Poza tym konstytucyjnie może wymienić niemal wszystkich zależnych od władz centralnych.

Nieprzypadkowo Péter Magyar w swoją pierwszą podróż zagraniczną – jak zapowiedział – wybierze się do Warszawy. Pojawiają się spekulacje, że może on razem z Donaldem Tuskiem ustalić wspólną strategię postępowania z prawicową opozycją, co może być koordynowane z centralą w Brukseli. Unijni decydenci wiele razy powtarzali, że ich celem jest odsunięcie raz na zawsze widma powrotu do władzy takich partii jak Prawo i Sprawiedliwość czy Fidesz. Magyar i Tusk mają im to zapewnić.

ORBÁN JAK ORBÁN

Jeśli Fidesz ma wrócić do rządów, musi przemyśleć przyczyny swej klęski. Jej głównym powodem było zużycie władzy i zmęczenie społeczeństwa długą hegemonią jednej formacji. Partia, która w ciągu 16 lat zmonopolizowała procesy decyzyjne w życiu politycznym kraju, nie potrafiła się oprzeć pokusom wynikającym z posiadania tak dużej władzy. Nastąpiło skostnienie ugrupowania i brak dopływu świeżej krwi. Obywateli raziła arogancja, nuworyszostwo i obnoszenie się bogactwem elit związanych z obozem rządowym.

> Przywódca Fideszu błędnie zdefiniował główną oś sporu podczas ostatniej kampanii. Uczynił nią sprawę ukraińską, głosząc, iż nie pozwoli wciągnąć Węgier do wojny z Rosją. Ten manewr okazał się skuteczny podczas poprzednich wyborów w 2022 r., jednak w tym roku nie miał już mocy oddziaływania

Porażka Orbána prowokuje do postawienia pytania o długość rządów w systemach demokratycznych. Brytyjski polityk Enoch Powell powiedział kiedyś, że każda kariera polityczna kończy się porażką, chyba że zostanie przerwana przedwcześnie przez śmierć męża stanu u szczytu jego potęgi. Wyborczą klęską kończyły się przecież polityczne kariery nawet takich osób jak Charles de Gaulle czy Margaret Thatcher.

Pod tym względem Viktor Orbán jest postacią wyjątkową, ponieważ był premierem przez 20 lat, w tym 16 lat z rzędu. W Europie po II wojnie światowej dłużej, bo aż 23 lata, funkcję szefa rządu sprawował tylko Tage Erlander w Szwecji, ale było to dość dawno temu (od 1946 do 1969 r.). W bliższych nam czasach 18 lat rządził Jean-Claude Juncker w Luksemburgu, a po 16 lat Helmut Kohl i Angela Merkel w Niemczech.

Czy wobec tego Viktora Orbána czeka polityczna emerytura? Raczej się na to nie zanosi. Ma 63 lata, więc jest – jak na polityka – w sile wieku. Posiada sprawny i sprawdzony instrument polityczny, jakim jest partia, którą założył w 1988 r. i którą sam kieruje nieprzerwanie od 38 lat. Jest jedynym liderem obozu konserwatywno-narodowego posiadającym wystarczający autorytet, by pogodzić różne frakcje i środowiska składające się na ekosystem Fideszu. Mimo wyborczej porażki nadal dysponuje silnymi aktywami, jakimi są liczne samorządy oraz organizacje pozarządowe, w tym fundacje interesu publicznego, zarządzające m.in. uczelniami wyższymi, instytucjami kultury czy projektami infrastrukturalnymi. Zbudował też silne zaplecze finansowe i medialne, przydatne w chudych latach opozycji, w tym holding KESMA, kontrolujący większość prasy lokalnej.

Można się spodziewać, że uderzenie nowych władz będzie skierowane właśnie w zaplecze instytucjonalne Fideszu. Orbán jest jednak typem wojownika, który nie ustąpi pola bez walki. Czy zdoła wrócić do władzy? W 2018 r. na Słowacji wydawało się, że Robert Fico jest politycznym trupem. Został zmuszony do rezygnacji z premierostwa, a jego kariera miała być pogrzebana raz na zawsze. Jednak pięć lat później odzyskał władzę. Nie trzeba zresztą szukać takich przykładów w sąsiednim kraju. W końcu sam Orbán po utracie władzy w 2002 r. przez osiem lat był w opozycji, by znów zostać premierem. Czy zdoła to uczynić jeszcze raz?

eprasa.pl d6d2f28467

Nowy heros Europy

Jeśli Magyar tak samo jak Tusk nie wykorzysta swej przewagi do rozprawy z przeciwnikami, to zapewne rychło utraci nie tylko entuzjazm Europy, lecz także dzisiejsze przygniatające poparcie samych Węgrów

JAN ROKITA

W czasach dojmującego poczucia własnej słabości europejski establishment polityczny lubi mieć herosa, który daje jakiś łut nadziei. Dwa lata temu przez chwilę taką pozycję zajmował Donald Tusk, gdy dowiódł, iż nie tylko potrafi z Brukseli wrócić do polskiej polityki, lecz także umie odsunąć od władzy znienawidzoną w Unii Europejskiej pisowską prawicę.

Tuskowi z entuzjazmem kibicowano w Brukseli, Paryżu i Berlinie, kiedy siłą przejmował państwową telewizję i kierownictwo prokuratury. Zachwycano się, gdy *de facto* zawieszał przepisy konstytucyjne oraz gdy zapowiadał totalne rozliczenie poprzedniej władzy i aresztowanie prawicowych liderów. Na różne sposoby starano się mu pomóc, aby mógł przeprowadzić czystkę w sądownictwie, przywracając hegemonię sędziom posłusznym nakazom unijnego trybunału w Luksemburgu. Był to czas, jeśli nie euforii, to w każdym razie dużych nadziei wiązanych w Europie z polskim premierem. Wpływowa niemiecka gazeta „Politico", świetnie obeznana z nastrojami panującymi w kręgach unijnych liderów, przyznawała Tuskowi tytuł polityka roku jako najważniejszej postaci w unijnej Europie.

Ten dobry czas dla Tuska szybko w Europie przeminął, gdy okazało się, iż depisizacja Polski utknęła w miejscu. A polski premier znów – tak jak za swych poprzednich rządów – popada w swoistą apatyczną bierność, przynajmniej, gdy idzie o realne sprawy państwa.

Prezydenckie zwycięstwo Karola Nawrockiego, w którego zablokowanie Tusk zainwestował wszystkie swoje polityczne aktywa, przekształciło w Europie obraz polskiego premiera w (jak się to zwykło mawiać w polityce) „kulawą kaczkę". Nawet na zebraniach Rady Europejskiej Tusk – jak sam niedawno wyznał – przestał się w zasadzie odzywać, bo nie ma po co.

W ten sposób wizerunek naszego kraju mocno się zmienił. Z kraju, który ze śpiewem na ustach miał przywracać tzw. liberalną demokrację (pod którą w Europie rozumie się po prostu władzę starego establishmentu i zasiedziałych prawników), Polska znów stała się europejską odległą prowincją, na którą nikt nie zwraca większej uwagi. Nawet w sprawach wschodnich przestano udawać, że od rządu w Warszawie coś może zależeć, więc prysł też mit o rzekomo ważnej „polskiej ekspertyzie" dotyczącej Rosji czy Ukrainy. Nowe „formaty", w których toczy się debata o sprawach wschodnich, uwzględniają teraz raczej Finlandię niźli Polskę – obok oczywiście Niemiec, Francji i Anglii.

Fot. Denes Erdos/Associated Press/East News

eprasa.pl d6d2f28467

NOSZONY NA RĘKACH

Przypominam o tym wszystkim dlatego, że ma to znaczenie w kontekście ubiegłotygodniowych wyborów na Węgrzech. Europa ma bowiem teraz nowego herosa, który w najbliższych miesiącach będzie noszony na rękach. Jest nim 45-letni Péter Magyar – przywódca, który nie tylko potrafił odsunąć od trwającej 16 lat władzy znienawidzonego w Europie Viktora Orbána. Potrafił dokonać czegoś więcej: rozgromić orbanowski Fidesz, biorąc (dzięki większościowo-proporcjonalnej ordynacji wyborczej i mechanizmowi doliczanych do wyniku tzw. głosów zwycięskich) większość dwóch trzecich mandatów w węgierskim Zgromadzeniu Krajowym. A to oznacza, że jeśli tylko Magyarowi uda się utrzymać dyscyplinę w partii TISZA, składającej się w większości z politycznych żółtodziobów, to w praktyce będzie mógł – podobnie jak niegdyś Orbán – zrobić na Węgrzech wszystko, co tylko zechce. Przez 16 ostatnich lat Węgry miały niekoronowanego monarchę absolutnego i po tych wyborach nic się w tej mierze nie zmieni. Oczywiście poza samą osobą władcy. Umarł węgierski król, niech żyje węgierski król!

W ciągu ostatniego tygodnia europejskie gazety były pełne wyzwoleńczego entuzjazmu: oto w końcu udało się wydrzeć z rąk najstraszniejszego politycznego potwora kraj, który od lat traktowano jako zakałę Europy. To nawet nie Polska pod rządami PiS, to coś o wiele gorszego: jakby porównać umiarkowaną tyranię z odrażającą wschodnią despotią.

Charakterystyczne są nawoływania, które na łamach lewicowego „The Guardian" formułuje stary, ale ciągle dobrze oddający nastroje europejskiego establishmentu Timothy Garton Ash. Świętuje on węgierską „bezprecedensową postpopulistyczną zmianę systemu", przewidując zarazem „wyjątkowy charakter i trudności tej transformacji". Dlatego nawołuje władze Unii Europejskiej, jak i rządy krajów członkowskich, aby pozwoliły Magyarowi na „ominięcie wszystkich brukselskich biurokratycznych kryteriów" i natychmiast uwolniły różnoraką pomoc dla „nowych Węgier". W tym zwłaszcza ciężkie miliardy euro, które odebrano Orbánowi z nadzieją, że w ten sposób skaże się go na przegranie wyborów i utratę władzy.

Ta nadzieja właśnie się spełniła, podobnie jak wcześniej spełniła się również w Polsce, ale nowemu węgierskiemu premierowi nie należy stawiać zbyt wysokich wymagań. Ash martwi się o przyszłość rządu Magyara, a jego zmartwienie nie jest bynajmniej bezpodstawne. W „normalnym" trybie (to znaczy karnym, przewidzianym dla orbanowskich Węgier) nowy rząd, który zapewne uformuje się w maju, tylko do końca sierpnia 2026 r. miałby czas na to, aby wypełnić aż 368 tzw. kamieni milowych, którymi Komisja Europejska złośliwie obwarowała wypłaty funduszy dla Węgier. Niedotrzymanie tych terminów powinno być równoznaczne z przepadkiem kolejnych miliardów z końcem 2026 r. Teraz trzeba więc będzie wywrócić do góry nogami unijne procedury, aby ratować Magyara przed potencjalną katastrofą. Sam jestem ciekaw, jakie sztuczki przedsięweźmie Komisja, aby osiągnąć taki cel, a jednocześnie nie utracić twarzy.

DEORBANIZACJA

Wiadomo, że ostatnio Viktor Orbán był już w Europie tak znienawidzony, iż w kręgach unijnych liderów panował bezradny strach na myśl, że jakimś sposobem mógłby się utrzymać u władzy.

Orbán zresztą solidnie zapracował na ową europejską izolację. Nie tylko był prawicowcem, kontestującym trend centralizacji Unii i odrzucającym pseudopostępową ideologię, w pełni przyswojoną przez europejskie instytucje. Nie tylko manifestował swój sojusz z USA Trumpa, czego nie można mu było wybaczyć w obliczu narastającej wzajemnej wrogości Ameryki i Europy. Nie tylko uznał walczącą o swoją niepodległość Ukrainę za największego wroga Węgier i Węgrów (co, prawdę mówiąc, graniczyło z jakąś abominacją). Nie tylko wreszcie drażnił wszystkich swoją czołobitnością dla dwóch tyranów: Jinpinga i Putina, a przy tym ostentacyjnie pogłębiał zależności Węgier od rosyjskich paliw i energii, co doprowadzało do furii choćby Niemców, którzy na własne nieszczęście musieli się wyrzec wypracowanych przez lata tanich dostaw rosyjskich surowców.

Wszystko wskazuje na to, że Orbán faktycznie stworzył zamkniętą, oligarchiczną elitę władzy i gospodarki, w której – jak kpi sobie teraz zwycięzca ubiegłotygodniowych wyborów Péter Magyar – ktoś taki jak niegramotny Lőrinc Mészáros, niegdysiejszy instalator rur gazowych, jako „słup" premiera mógł się stać najbogatszym węgierskim oligarchą, ponoć czterokrotnie bogatszym od brytyjskiej rodziny królewskiej. To porównanie było do znudzenia powtarzane w toku węgierskiej kampanii, zaś sam Mészáros wystąpił w niej w roli mrocznego symbolu całego 16-lecia rządów Orbana.

To dla takich właśnie przypadków Magyar planuje utworzyć swoistą „czerezwyczajkę": specjalny urząd finansowo-śledczo-egzekucyjny o nazwie Krajowe Biuro Odzyskiwania i Ochrony Majątku. Widać, że przywiązuje duże znaczenie nie tylko do finansowych, lecz przede wszystkim propagandowych efektów działania Biura i zamierza postawić na jego czele jednego ze swoich najbardziej zaufanych ludzi.

Takiego pomysłu na rozliczenie starej ekipy w Polsce nie miał Tusk. Skądinąd pewnie dlatego, że o ile Magyar ma podstawy, by liczyć na efektywne konfiskaty wielkich pieniędzy, zagarniętych przez elitę władzy i biznesu związaną z Orbánem, to Tusk mówił o ukradzionych ponoć przez PiS 200 mld zł ze świadomością, że to tylko propagandowe kłamstwo, które na jakiś czas może przykuć uwagę opinii publicznej.

Teraz na Węgrzech nastąpi deorbanizacja, i to zapewne nie tylko w Budapeszcie, lecz także na węgierskiej prowincji. Magyar chce przymusić prezydenta państwa Tamása Sulyoka, sędziów Trybunału Konstytucyjnego i członków potężnej Rady Budżetowej, mającej na Węgrzech prawo wetowania ustawy budżetowej, do podania się do dymisji.

Nie wiadomo jednak, czy nowy węgierski premier tak łatwo będzie

18/0326/F

eprasa.pl d6d2f28467

w stanie się ich pozbyć. Jeśli jednak na rozkaz Orbána będą trwać na stanowiskach, nowa władza będzie potrzebowała paru tygodni, aby najzupełniej legalnie ich usunąć – czy to poprzez procedury impeachmentu, czy też uchwalając większością kwalifikowaną dwóch trzecich potrzebne po temu ustawy konstytucyjne. Magyar za każdym razem będzie mógł tu zachować wymogi formalnej legalności, co radykalnie różni jego wyjściową sytuację od tej, jaką w Polsce miał Tusk. W krótkim czasie i bez łamania konstytucji byłby więc w stanie odtworzyć system Orbána, tyle że z TISZĄ zamiast Fideszu jako faktyczną monopartią kontrolującą cały aparat państwowy, w tym sądownictwo. Wielkie pytanie, które stoi dziś przed Węgrami, brzmi: czy tak się stanie?

Europa pragnie, aby Magyar wykorzystał swoją miażdżącą przewagę do uruchomienia fali represji w stosunku do ekipy Orbana. Przykładowe posadzenie do kryminału czołowych postaci najbardziej znienawidzonej w Unii partii prawicy, jaką jest Fidesz albo egzekwowanie jakichś olbrzymich, rujnujących dla nich grzywien i kar finansowych, dostarczyłoby satysfakcji europejskiemu establishmentowi.

PODZIELI LOS TUSKA?

Ale prawdziwe intencje Magyara w tej materii także nie są znane. Jednego dnia bowiem przyszły węgierski premier gra rolę mściciela, który weźmie odwet za 16 lat wszechwładzy Fideszu, innego zaś pozuje na wzorowego liberała, któremu w głowie nawet nie stanęły żadne represje wobec politycznych wrogów, a jego rząd nie zamierza się wtrącać do suwerennych decyzji sędziów i prokuratorów.

Jeśli jednak Magyar tak samo jak Tusk nie wykorzysta swej przewagi do rozprawy z przeciwnikami, to zapewne rychło utraci nie tylko entuzjazm Europy, lecz także dzisiejsze przygniatające poparcie samych Węgrów. Wyborcy TISZY – tak samo jak przeszło dwa lata temu w Polsce wyborcy Platformy Obywatelskiej – czekają teraz na satysfakcję rozliczeń i represji wobec odsuniętej od władzy ekipy.

Péter Magyar dziedziczy po Orbánie nędzny stan budżetu i gospodarki, więc nie będzie w stanie zaspokoić oczekiwań szybkiego wzrostu poziomu życia. Prawdę mówiąc, nikt z ekonomistów nie wie, jak zamierza wywiązać się z wyborczych zobowiązań do znaczącej obniżki podatków dla pracowników (z 15 proc. do 9 proc.) czy podwojenia wysokości zasiłków rodzinnych w kraju, który z powodów demograficznych cierpi na drastyczny brak rąk do pracy. Nawet szybkie odzyskanie dostępu do unijnych funduszy nie uratuje doraźnie pierwszego budżetu nowego rządu. Dlatego otwarcie karnawału radosnych rozliczeń i represji wobec ludzi ancien régime'u będzie silną pokusą, przed którą stanie zwycięski Péter Magyar.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ
O AKCJI
POMOCY:

eprasa.pl d6d2f28467

Wojna, której Trump nie wygra

Prezydent USA wszedł w konflikt z papieżem, który niektórzy analitycy określili jako starcie między zachodnim świeckim przywódcą a biskupem Rzymu, jakiego nie widziano od wieków

GORAN ANDRIJANIĆ

Ten obraz można opisać jako definicję kiczu. Jest wygenerowany przez sztuczną inteligencję, a w jego centralnym punkcie można zobaczyć Donalda Trumpa ubranego jak Jezus, który nakłada rękę na chorego mężczyznę. Wygląda to tak, jakby go „uzdrawiał", bo z dłoni Trumpa wychodzą promienie światła. Wokół niego stoją Amerykanie – żołnierz, pielęgniarka i inni, modląc się. W tle widać Statuę Wolności, Waszyngton i powiewającą amerykańską flagę.

PO PROSTU BOSKI

Oczywiście nie chodzi tylko o fatalną estetykę obrazu – taką, którą często widzimy w kręgach protestanckich, ale niestety coraz częściej także w katolickich. Tutaj mamy do czynienia z czymś dużo poważniejszym. Z sytuacją, w której światowy przywódca ma tak wybujałe ego, że pozwala sobie prezentować się jako Jezus Chrystus, Bóg i Pan 2,5 mld ludzi żyjących na tej planecie.

Amerykański prezydent opublikował tę profanację w swoich mediach społecznościowych w zeszłym tygodniu, co spotkało się z ogromnym oburzeniem.

„Coś jest z tym człowiekiem bardzo nie tak. Myślę, że mu odbiło" – napisał znany amerykański konserwatywny analityk Rod Dreher. „Ameryka jest teraz w stanie bardzo poważnej wojny, wojny, którą rozpoczął Trump, a mimo to poświęca czas na publikowanie takich bzdur... Nie wystarczy wzruszyć ramionami i powiedzieć: »Och, oto po prostu Trump, taki już jest«. Niektórzy z nas traktują rzeczy święte poważnie. Nie robi się takich rzeczy. Po prostu się ich nie robi. Chyba że jest się narcyzem".

Po takich reakcjach prezydent zdał sobie sprawę, jaką głupotę zrobił i usunął zdjęcie z internetu. Następnie nieprzekonująco wyjaśnił, że obraz przedstawiał go nie jako Chrystusa, ale jako lekarza leczącego ludzi, ponieważ jego polityka ułatwiała ludziom zdobywanie pieniędzy na leczenie w okrutnym systemie zdrowia w USA.

Nikt tego nie kupił. Przede wszystkim ze względu na kontekst, w jakim Trump opublikował wizerunek przedstawiający siebie jako Boga uzdrawiacza.

„PAPIEŻ JEST SŁABY"

Trump zrobił to zaledwie kilka godzin po opublikowaniu na swoim profilu miażdżącego ataku na Leona XIV. Amerykański prezydent skrytykował papieża za jego wypowiedzi, w których ten dyskretnie, ale wyraźnie odniósł się do działań Białego Domu.

„Papież Leon jest słaby w kwestii przestępczości i fatalny w polityce zagranicznej" – napisał Trump.

„Bardziej lubię jego brata Louisa Prevosta niż jego, bo Louis jest w pełni MAGA. On to rozumie, a Leon nie! Nie chcę papieża, który uważa, że to w porządku, by Iran miał broń nuklearną. Nie chcę papieża, który uważa, że to straszne, że Ameryka zaatakowała Wenezuelę, kraj, który wysyłał ogromne ilości narkotyków do Stanów Zjednoczonych i co gorsza opróżniał więzienia, w tym morderców, handlarzy narkotyków i zabójców, w naszym kraju" – pisał amerykański prezydent w swoim znanym stylu. I kontynuował: „I nie chcę papieża, który krytykuje prezydenta Stanów Zjednoczonych, bo robię dokładnie to, do czego zostałem wybrany... Leon powinien wziąć się w garść jako papież, kierować się zdrowym rozsądkiem, przestać ulegać radykalnej lewicy i skupić się na byciu wielkim papieżem, a nie politykiem. To bardzo mu szkodzi, a co ważniejsze, szkodzi Kościołowi katolickiemu".

Ten całkowicie niestosowny atak Trumpa na papieża jest kulminacją dłu-

Fot. paul saad / Shutterstock.com

eprasa.pl d6d2f28467

gotrwałych napięć między Białym Domem a Stolicą Apostolską.

Od samego początku swojego pontyfikatu Leon XIV starannie dobierał słowa, gdy musiał się wypowiedzieć na drażliwy temat. Po papieżu Franciszku, który odznaczał się pewną południowoamerykańską „spontanicznością" i często mówił rzeczy, które później wymagały wyjaśnień, ta ostrożność nowego następcy Piotra została przyjęta z ulgą w kręgach katolickich.

Wielu komentatorów przedstawia obecnego papieża jako osobę, która od początku swojego pontyfikatu kładła duży nacisk na pokojowe rozwiązywanie problemów politycznych. Pozostaje natomiast jasne, że od każdego papieża nie można oczekiwać niczego innego niż apelu o pokój. Co prawda Leon XIV często o nim mówił, ale powodem tego jest przede wszystkim fakt, że w ciągu ostatniego roku, odkąd Robert Prevost został papieżem, na świecie doszło do kilku poważnych konfliktów.

Leon XIV dbał przede wszystkim o to, by jego wypowiedzi nie mogły zostać wykorzystane przez nikogo do celów politycznych. Ostatnio to jednak uległo zmianie. Jego wypowiedzi nie są już ogólnymi apelami o pokój i odwoływaniem się do zasad porządku międzynarodowego, lecz konkretnymi komentarzami do bieżącej sytuacji. Taka retoryka nie zawsze odpowiada amerykańskiej administracji.

„MAJĄ KREW NA RĘKACH"

Zaczęło się od Wenezueli i komentarzy po aresztowaniu Nicolása Maduro, kiedy papież powiedział m.in.: „Z sercem pełnym troski śledzę rozwój sytuacji" oraz że „dobro umiłowanego narodu wenezuelskiego musi górować nad wszelkimi innymi względami". Biały Dom zinterpretował to jako krytykę amerykańskiej interwencji w tym południowoamerykańskim kraju. Dopiero później odkryto, że kard. Christophe Pierre, ówczesny nuncjusz apostolski w USA, został zaproszony na rozmowę z Elbridge'em Colbym, podsekretarzem obrony ds. politycznych i oddanym katolikiem. Colby, jak pisały wtedy niektóre media, żądał od nuncjusza, żeby Stolica Apostolska w większym stopniu poparła międzynarodową politykę Waszyngtonu.

Fot. Truth Social/@realDonaldTrump

Reakcje papieża na amerykański atak na Iran pokazały, że ten apel Białego Domu trafił w próżnię. W Niedzielę Palmową Leon XIV powiedział, że „Bóg nie słucha modlitw tych, którzy prowadzą wojny i mają krew na rękach". Była to reakcja na prawdziwie bluźnierczą modlitwę, którą sekretarz obrony USA Pete Hegseth wypowiedział kilka dni wcześniej w Pentagonie, wzywając do „przemocy wobec wroga". W Wielkanoc papież określił groźbę Trumpa wobec Iranu, że „zniszczy jego cywilizację" jako „nie do przyjęcia".

I wreszcie rozmowa z CBS. Trzech kardynałów Kościoła katolickiego w USA – Joseph Tobin, Robert McElroy i Blase Cupich – przedstawiciele liberalnej frakcji episkopatu amerykańskiego, bliskiej Partii Demokratycznej, wystąpiło w Niedzielę Miłosierdzia Bożego w telewizji i ostro skrytykowało administrację Trumpa. Jak sami stwierdzili, zrobili to „inspirowani wypowiedziami papieża przeciwko wojnie w Iranie". Innymi słowy – mieli błogosławieństwo Stolicy Apostolskiej na to, co zrobili.

Trump nie odpowiedział im, lecz papieżowi i w ten sposób rozpoczął wojnę, której po prostu nie będzie w stanie wygrać.

Co prawda to nie pierwszy raz, kiedy Trump toczy wojnę ze Stolicą Apostolską. Podczas kampanii prezydenckiej w 2016 r. papież Franciszek stwierdził, że Trump nie jest chrześcijaninem, ponieważ chce zbudować mur na granicy z Meksykiem i w ten sposób zapobiec nielegalnej imigracji. Amerykanin odpowiedział, że „zachowuje się jak polityk". Konflikt z Franciszkiem nie zaszkodził wówczas Trumpowi politycznie. Ale te czasy już minęły.

Po pierwsze, Leon XIV cieszy się znacznie lepszą opinią amerykańskiej opinii publicznej niż papież Franciszek. Zwykły, cichy człowiek z Chicago, który wstąpił na Stolicę Piotrową, jest w swojej ojczyźnie znacznie bardziej popularny niż Argentyńczyk, który – co było jasno widać – miał silne nastawienie antyamerykańskie.

Po drugie, niezależnie od tego, kim jest papież, po prostu nie rozmawia się z nim w ten sposób. W przeszłości też dochodziło do nieporozumień między papieżami a przywódcami wolnego świata, np. gdy św. Jan Paweł II sprzeciwił się obu wojnom w Zatoce Perskiej, które miały miejsce za jego pontyfikatu. Ani George Bush senior, ani George Bush junior nie zwracali się do papieża w sposób, w jaki robi to Trump – jakby kłócił się z partyjnym rywalem.

Jest oczywiste, że Stolica Apostolska od dawna pozostaje w złych stosunkach z amerykańskimi konserwatystami. Jest równie oczywiste, że część amerykańskiego episkopatu pozostaje blisko związana z Partią Demokratyczną i jej pomaga (najbardziej oczywistym przykładem jest niekaranie polityków tej partii, którzy promują aborcję). Zachowanie Trumpa to jednak polityczne samobójstwo, przez które ryzykuje, że rekordowe poparcie katolików dla niego w ostatnich wyborach zniknie bez śladu. Głupimi grafikami obraża ich Boga, głupimi wypowiedziami obraża ich ziemskiego przywódcę duchowego.

„To wszystko się wydarzyło, ponieważ Trump jest całkowicie niezdyscyplinowany i nie ma wokół niego nikogo, kto byłby w stanie uchronić go przed jego najgorszymi instynktami. Jest to ogólny problem, który dotyczy wszystkiego, nie tylko obraźliwego komunikatu, który postanowił opublikować przeciwko papieżowi" – powiedział w tych dniach George Weigel, teolog i biograf św. Jana Pawła II.

Trump już zapowiedział, że nie przeprosi papieża. Może czas zmienić styl i przestać robić sobie wrogów tam, gdzie naprawdę ich nie potrzeba.

eprasa.pl d6d2f28467

Ukraiński żołnierz i inżynier ładują karabin maszynowy zamontowany na naziemnym, zdalnie sterowanym systemie bojowym rodzimej produkcji

Tytułowe pytanie brzmi paradoksalnie, ale jest sporo dowodów na to, że w tych kategoriach myślą o przyszłości swego kraju przedstawiciele ukraińskiej elity

Ukraina gwarantem bezpieczeństwa Europy?

Fot. Nur Photo/East News

MAREK BUDZISZ

Boris Pistorius, niemiecki minister obrony, po niedawnych rozmowach ze swoim ukraińskim odpowiednikiem powiedział, że relacje między Berlinem a Kijowem osiągnęły poziom „strategicznego partnerstwa". Nie chodzi w tym przypadku wyłącznie o warte 4 mld euro umowy o współpracy wojskowej podpisane między obydwoma państwami, ale o coś znacznie więcej. Równolegle do rozmów ministra obrony Mychajły Fiodorowa, który negocjował w Niemczech, prezydent Wołodymyr Zełenski podpisywał porozumienie o partnerstwie obronnym z Norwegią. Premier Jonas Støre również mówił o ukraińsko-norweskim partnerstwie strategicznym. Z Oslo Zełenski pojechał do Berlina, gdzie odbywało się kolejne posiedzenie formatu Ramstein – po raz kolejny bez Pete'a Hegsetha – a następnie udał się do Włoch i Holandii, gdzie również planuje się rozmowy na temat „partnerstwa strategicznego". Na czym miałoby ono polegać i z czym związana jest rosnąca aktywność ukraińskiej dyplomacji? Jaką wizję przyszłej roli Ukrainy forsują przedstawiciele jej kręgów rządzących?

CENNY SOJUSZNIK

Zacznijmy od spraw doraźnych, choć polityka Kijowa z pewnością nie ogranicza się – wbrew temu, co sądzi się w Polsce – wyłącznie do tego wymiaru. Podsumowując spotkanie formatu Ramstein, Mark Rutte powiedział, że w 2026 r. pomoc wojskowa dla Ukrainy wyniesie 60 mld dol. Kwota ta nie obejmuje kredytu o wartości 90 mld euro, który państwa Unii Europejskiej uzgodniły jeszcze w grudniu ub.r. Weto Viktora Orbána blokowało udzielenie tej pożyczki, ale zwycięstwo wyborcze węgierskiej opozycji oznacza – jak się uważa – rychłe uruchomienie tych środków. W praktyce oznacza to, że Ukrainie nie zabraknie pieniędzy na kontynuowanie wojny, która w ostatnich miesiącach przebiega ogólnie po myśli Kijowa.

Ołeksandr Syrski, dowodzący ukraińskimi siłami zbrojnymi, zauważył niedawno, że w ciągu ostatnich czterech miesięcy podległym mu jednostkom udawało się nie tylko wyzwolić więcej, niż Rosjanie byli w stanie zająć, lecz także Ukraińcy wyeliminowali z walki większą liczbę najeźdźców, niż przeciwnik mógł w tym czasie wcielić do wojska. To stabilizuje sytuację na fron-

Autopromocja

eprasa.pl d6d2f28467

cie oraz prowadzi do wzrostu pewności siebie strony ukraińskiej, która zaczyna postrzegać swoją rolę w kategoriach gwaranta bezpieczeństwa dla całej Europy. Tę zmianę nastawienia wyraźnie widać w deklaracjach Syrskiego, który ostrzegł państwa naszego kontynentu, iż Rosja do końca roku chce mieć nawet 160 tys. ludzi w swych siłach dronowych, a to oznacza, że zagrożenie ze strony Federacji będzie narastać, a nie maleć.

Jak słusznie zauważył w rozmowie z brytyjskim „The Times" Michael Claesson, szef szwedzkich sił obrony, zakończenie wojny na Ukrainie da Rosjanom możliwość przegrupowania sił i przesunięcia ich na granice z państwami NATO, które zwłaszcza w basenie Bałtyku będą zagrożone w większym stopniu niż obecnie. A to oznacza, że sojusznik wiążący rosyjskie siły i mający osiągnięcie w „wojnie drogowej" – a takim państwem jest Ukraina – po wojnie będzie nawet cenniejszy niż obecnie.

Zełenski i jego otoczenie doskonale to rozumie, proponując Europie nowe warunki „strategicznego partnerstwa". Przed swym europejskim tournée dyplomatycznym ukraiński prezydent powiedział, że jeśli Stany Zjednoczone w istocie myślą o wycofaniu się z NATO, to wówczas „bezpieczeństwo europejskie spoczywać będzie na Unii", ale ta, aby być w stanie odpowiedzialnie je gwarantować, „będzie potrzebowała więcej krajów". W opinii ukraińskiego prezydenta interesy bezpieczeństwa zdominują politykę państw europejskich w najbliższych latach, co wymusi rozszerzenie Wspólnoty o państwa kluczowe dla obrony Europy, a dziś będące poza UE. Zełenski otwarcie wymienił w tym kontekście Ukrainę i Turcję, wspominając też o znaczeniu Norwegii i Wielkiej Brytanii. „Bez Ukrainy i Turcji – argumentował ukraiński prezydent – Europa nie dorówna Rosji. Z tymi czterema krajami na pokładzie można przejąć kontrolę nad morzami, zapewnić sobie bezpieczeństwo w przestrzeni powietrznej i dysponować największymi siłami lądowymi". Zełenski nie ogranicza się wyłącznie do deklaracji – od kilku miesięcy realizuje też precyzyjny plan wpisania swego państwa w przyszły model „europejskiego NATO".

NOWOCZESNE TECHNOLOGIE WOJSKOWE

Jak donoszą dziennikarze „The Wall Street Journal", powołujący się na rozmowy z przedstawicielami państw naszego kontynentu, w Europie *de facto* zapadła już decyzja o „europeizacji NATO". Ostatnie konflikty z administracją Donalda Trumpa doprowadziły do zmiany stanowiska nawet najbardziej ostrożnych do tej pory przedstawicieli Niemiec. Teraz chodzi tylko o to, aby – jak powiedział prezydent Finlandii Alexander Stubb, występując w Brookings, amerykańskim think tanku – „zrozumieć", że przenoszenie odpowiedzialności za bezpieczeństwo na naszym kontynencie ze Stanów Zjednoczonych na państwa europejskie „trwa i będzie kontynuowane". Zdaniem fińskiego polityka, utrzymującego – jak się uważa – dobre osobiste relacje z Trumpem, istotą problemu jest, aby proces ten „był kontrolowany" i „nie oznaczał szybkiego wycofania się Stanów Zjednoczonych".

Zełenski widzi w tym procesie szansę dla Ukrainy i dlatego akcentuje siłę oraz nowoczesność ukraińskiego sektora zbrojeniowego, deklarując, że „Ukraina stworzyła potężny przemysł zbrojeniowy i zmienia model współpracy". Ta zmiana ma polegać na tym, że odmiennie niż w przeszłości – kiedy Kijów za bezcen wyprzedawał swe „klejnoty rodowe", zgadzając się na transfer technologii, w tym wojskowych, na Zachód – tym razem Ukraina ma zamiar kontrolować cały proces, uzyskując w zamian korzyści polityczne.

Można zadać pytanie, co Kijów ma Europie do zaoferowania w obszarze technologii wojskowych. Wydaje się, że niemało. Denis Stillerman, założyciel i właściciel Fire Point, głównego ukraińskiego producenta dronów dalekiego zasięgu i rakiet manewrujących, a w nieodległej przyszłości również balistycznych, zaproponował w rozmowie z Agencją Reutera budowę europejskiego systemu obrony przestrzeni powietrznej.

Pomysł ten poparł Zełenski i wydaje się, że Ukraina już przystąpiła do jego realizacji. Nie chodzi tylko o trwające rozmowy z europejskimi producentami radarów, lecz także o porozumienia w sprawie budowy rakiet mających docelowo zastąpić systemy amerykańskie. W czasie niedawnego pobytu ministra Fiodorowa w Niemczech zawarto porozumienie o współpracy Fire Point i biura konstrukcyjnego Łucz, drugiego liczącego się ukraińskiego producenta rakiet, z niemieckim koncernem zbrojeniowym Diehl Defence. Portal Intelligence Online, specjalizujący się w opisywaniu aktywności tajnych służb, donosi też, że tydzień wcześniej we Francji miały miejsce „tajne" pokazy ukraińskich firm sektora zbrojeniowego, które prezentowały swoje najnowsze osiągnięcia. Zawarto wówczas – jak mówią informatorzy portalu – poufne porozumienie o współpracy i wspólnym rozwijaniu produktów, którego stroną są ukraiński Fire Point oraz MBDA. Ta ostatnia firma to największy europejski producent rakiet, co oznacza, że mamy do czynienia z posunięciem znaczącym dla bezpieczeństwa kontynentu.

Ale to niejedyne rewelacje na temat ukraińskich zdolności. Notabene wysyp tego rodzaju informacji w ostatnim czasie też należy uznać za element dyplomatyczno-strategicznej ofensywy Kijowa. I tak Fiodor Wenisławski, deputowany do Rady Najwyższej stojący na czele Podkomisji Bezpieczeństwa Państwowego Komitetu Obrony, powiedział ukraińskim mediom, że w czasie wojny wywiad wojskowy (HUR), na czele którego wówczas stał Kyryło Budanow, dziś szef administracji Zełenskiego, potajemnie wystrzelił dwie rakiety kosmiczne. Pierwsza wzniosła się

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze
eprasa.pl d6d2f28467

na wysokość 100 km, a druga osiągnęła pułap 204 km. HUR miał też wystrzelić rakiety kosmiczne z samolotu nośnego znajdującego się na wysokości 8 tys. m, co zdaniem Wenisławskiego oznacza, że „Ukraina dysponuje już technicznymi możliwościami przeciwdziałania wrogim środkom ataku i atakowania ich w kosmosie".

ROZMACH DYPLOMACJI WOJENNEJ KIJOWA

Deklaracje Stilermana, Zełenskiego i Wenisławskiego wskazują na to, że jeśli Europa ma wątpliwości co do wiarygodności sojuszniczej Stanów Zjednoczonych czy choćby jest zaniepokojona powolnym wzrostem produkcji rakiet przechwytujących do systemów Patriot, to jedyną rozsądną alternatywą jest pogłębienie współpracy z Kijowem.

Warto zwrócić też uwagę na wypowiedzi Kyryło Budanowa, który krok po kroku umacnia swoją pozycję w ukraińskiej elicie władzy. Ostatnio w mediach pojawiła się informacja, że kierując ukraińskim wywiadem wojskowym, osobiście brał udział w misjach wojskowych „przynajmniej jeden raz", przekraczając granice z Federacją Rosyjską. Towarzyszą temu doniesienia o tym, że jest szanowany przez Rosjan i reprezentujących Kreml negocjatorów, bo ci, uznając wyłącznie siłę, widzą w nim zarówno bohatera wojennego, jak i twardego, ale pragmatycznego negocjatora. Jeśli ktoś może doprowadzić do przełomu w negocjacjach z Moskalami, to takim człowiekiem jest wyłącznie Budanow – uważa się dziś na Ukrainie.

A co były dowódca wywiadu myśli o przyszłym porządku globalnym i miejscu w nim Ukrainy? „Stary porządek jest martwy" – powiedział w wywiadzie telewizyjnym, dodając, że „Ukraina buduje nowy wraz z innymi krajami". Najprawdopodobniej miał na myśli Turcję, gdzie niedawno przebywał Zełenski, podkreślając potrzebę pogłębienia współpracy wojskowej, a także państwa Zatoki Perskiej. Zełenski w jednym ze swych ostatnich wystąpień powiedział, że Ukraina stała się adresatem próśb ze strony 11 państw regionu, które pozbawione amerykańskiej protekcji zwróciły się do Kijowa o przysłanie specjalistów potrafiących walczyć z irańskimi Shahedami. Francuska stacja RFI poinformowała też o tym, że ukraińcy oficerowie wywiadu mają w Libii przynajmniej trzy bazy wojskowe, których używają po to, aby atakować statki z rosyjskiej „floty cienia" na Morzu Śródziemnym.

Tego rodzaju obecność – a Ukraińcy są też w Mali i w Sudanie – świadczy nie tylko o rozmachu dyplomacji wojennej Kijowa, lecz także o istnieniu porozumień z Turcją i Stanami Zjednoczonymi. Amerykanie od kilku miesięcy prowadzą bowiem metodyczne działania, których celem jest wypchnięcie Rosjan z Libii. Nie były one do tej pory nagłaśniane, ale ubiegłotygodniowa wizyta w Syrcie gen. Johna Brennana, zastępcy szefa US Africa Command, dowodzi, że te zabiegi są skuteczne. Trwają rozmowy mające doprowadzić do pogodzenia dwóch walczących ze sobą obozów – rządu uznawanego przez większość państw europejskich i wojskowo wspieranego przez Turcję z siłami gen. Haftara, uchodzącego do tej pory za zwolennika orientacji na Moskwę. Negocjacje umożliwiło zarówno słabnięcie Rosji, jak i zmiana polityki Egiptu, wcześniej wspierającego siły rebeliantów walczących z rządem w Trypolisie. Teraz Egipt współpracuje z Turcją, Pakistanem i Arabią Saudyjską, aby doprowadzić do zakończenia amerykańskiej wojny z Iranem, a zmieniające się konfiguracje sojusznicze oznaczają zarówno spadek wpływów Rosji, jak i pojawienie się możliwości regionalnej gry dla krajów gotowych „eksportować bezpieczeństwo", takich jak Ukraina.

> Jeśli Amerykanie skoncentrują swą uwagę na innych obszarach, pozostawiając Europejczykom obronę swego kontynentu, to znaczenie państw takich jak Ukraina może w przyszłości tylko wzrosnąć

Jeśli w świetle tego rozumowania Amerykanie skoncentrują swą uwagę na innych obszarach, pozostawiając Europejczykom obronę swego kontynentu, to znaczenie państw takich jak Ukraina może w przyszłości tylko wzrosnąć. Z perspektywy Kijowa każde posunięcie, które oznacza, iż Ukraina staje się elementem „nie do zastąpienia" w przyszłej konstrukcji bezpieczeństwa, jest krokiem we właściwą stronę. Elity tego kraju są dziś przekonane, że z wojskowego punktu widzenia to państwa „starej Europy" muszą się uczyć od Ukrainy, czego potwierdzeniem jest niedawna decyzja o zakończeniu wysyłania żołnierzy do europejskich wojskowych ośrodków szkolenia, a także rosnąca liczba porozumień o współpracy firm z sektora zbrojeniowego.

Przywoływany wcześniej Kyryło Budanow mówi też, że jest zwolennikiem deregulacji w gospodarce, a minister Fiodorow, będący „ojcem" ukraińskiej digitalizacji i skokowego wzrostu możliwości sektora zbrojeniowego w innowacyjności i konkurencyjności, upatruje źródeł przyszłego sukcesu. To też ma być jedna z dróg, którą chce podążać Ukraina. Młode, dynamiczne, chcące się bogacić społeczeństwo i państwo, w którym przedsiębiorczość nie jest w takim samym stopniu krępowana regulacjami jak w starzejącej się UE, ma dać przewagi konkurencyjne.

Oczywiście najpierw trzeba wygrać wojnę, nakłonić tych, którzy wyjechali, do powrotu i zbudować system gwarantujący bezpieczną przyszłość. Z pewnością nie będą to łatwe zadania, ale ukraińska elita wydaje się dziś działać z większą wiarą we własne siły i możliwości, a także nie chce „grać" wyłącznie o przetrwanie. Interesuje ją coś więcej – Ukraina jako filar bezpieczeństwa Europy i jedno z centrów rozwoju kontynentu.

eprasa.pl d6d2f28467

Równoległe życia

W ciągu ostatniej dekady migracja – zarówno ta legalna, jak i ta nielegalna – przekształciła miasta i miasteczka w całej Europie. W niektórych z nich osoby z tłem migracyjnym powoli stają się większością

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Główne cele migrantów z Bliskiego Wschodu, Azji i Afryki, takie jak Bruksela czy Paryż, w których stanowią oni znacznie większą część populacji niż średnia krajowa, stały się na tyle różnorodne etnicznie, że straciły swój dotychczasowy charakter. Powstały w nich imigranckie getta, zwane we Francji „utraconymi terytoriami". W Skandynawii mówi się na nie „no-go zones" lub „trójkąty szariackie" – w aluzji do słynnego trójkąta bermudzkiego. Znacznie wzrosły w nich przestępczość, niestabilność, ubóstwo oraz niezgoda społeczna. Niekiedy zmieniły się nie do poznania.

Hafiz Amin z Pakistanu, właściciel sklepu halal w Londynie, nie jest zaskoczony niektórymi negatywnymi opiniami w prasie. „Wystarczy spojrzeć na ten bałagan. Powiedzcie mi, gdyby Anglicy przyjechali do naszego kraju i zachowywali się w ten sposób, co byśmy o nich pomyśleli?" – pytał w rozmowie z „The Daily Telegraph". W tym bałaganie musi dziś żyć wielu rdzennych mieszkańców Europy, bo zaczęli stanowić w swoich miastach mniejszość lub będą ją stanowili już wkrótce. Oto kilka takich miejsc na mapie Starego Kontynentu.

ETNICZNY SLUMS

Po ulicach Birmingham grasują szczury utuczone na śmieciach, które piętrzą się przed domami. To konsekwencja strajku śmieciarzy, trwającego z przerwami już ponad 460 dni. Był czas, gdy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d6d2f28467

kanały ciągnące się przez miasto budziły nadzieję, że stanie się ono Wenecją Północy. Nie ziściła się. Birmingham przez długi czas było natomiast maszynownią Wielkiej Brytanii, miastem tysiąca rzemieślników produkujących wszystko – od broni po guziki. Dziś jest symbolem upadku kraju.

Obok strajkujących śmieciarzy i wielkich jak koty szczurów są tu enklawy islamskie oraz niemal puste centrum miasta, zdławione przez obwodnicę. To tu w listopadzie ubiegłego roku 34-letnia Katie Fox została ugodzona nożem w szyję na przystanku autobusowym. Zmarła w szpitalu trzy dni później. Sprawca, czarnoskóry Djeison Rafael, stanie przed sądem jesienią. Od końca pandemii liczba ataków za pomocą noża wzrosła tu o 35 proc. W minionym roku 410 osób trafiło z tego powodu do szpitali.

Były poseł torysów, a od stycznia polityk partii Reform UK Robert Jenrick nazwał dzielnicę Handsworth na północnym wschodzie miasta „slumsem", twierdząc, że nie widział tam ani jednej białej twarzy. W sąsiedniej dzielnicy Sparkbrook jest pełno pakistańskich salonów ślubnych i sklepów halal, a w Sparkhill, kolejnej imigranckiej enklawie, fasady Western Union są ozdobione hasłem: „Dom jest bliżej, niż myślisz".

Białe minarety Meczetu Centralnego w Birmingham, mieszczącego 4 tys. osób, wznoszą się wysoko. Pod jednym z nich widnieje napis: „Czytaj Koran, ostateczny testament". Według spisu powszechnego z 2021 r. osoby identyfikujące się jako białe stanowią w Birmingham mniejszość, czyli 48,6 proc. populacji (z czego 43 proc. to biali Brytyjczycy), w porównaniu z 57,9 proc. w 2011 r.

Jak pisze „The Guardian", 20 lat temu w tym drugim co do wielkości mieście Wielkiej Brytanii białych było siedem na dziesięć osób. Ponad 300 tys. z niecałych 1,1 mln mieszkańców miasta, czyli 26,7 proc., urodziło się za granicą. To o wiele więcej niż w całej Anglii i Walii, gdzie, jak wynika z tego samego spisu ludności, jest to 16,8 proc. Nic dziwnego więc, że wskaźniki zatrudnienia w Birmingham są znacznie poniżej średniej krajowej – tylko 65 proc. mieszkańców w wieku produkcyjnym ma pracę, w porównaniu ze średnią krajową wynoszącą 75,1 proc. Na dodatek – jak twierdzi portal „Birmingham Live" – prawie 50 tys. mieszkańców w ogóle nie mówi po angielsku.

W maju odbędą się wybory samorządowe i w dzielnicy Sparkhill szansę na zdobycie miejsca w radzie miasta ma Shahid Butt, były terrorysta, który w 1999 r. został skazany za próbę wysadzenia w powietrze brytyjskiego konsulatu w Jemenie na zlecenie egipskiego kleryka Abu Hamzy, odsiadującego wyrok w USA. Według „The Telegraph" zapewne wygra, bowiem 83 proc. mieszkańców dzielnicy to muzułmanie. Butt nie kryje, że nie lubi chrześcijan i żydów, a dżihad jest jego zdaniem „aktem łaski".

COŚ SIĘ ZEPSUŁO W BULLERBYN

Malmö od dawna jest ważnym punktem docelowym migrantów do Szwecji. Największy napływ osób ubiegających się o azyl miał miejsce podczas europejskiego kryzysu migracyjnego w 2015 r., gdy przybywało tu setki osób dziennie. Obecnie ok. jedna trzecia z 330 tys. mieszkańców Malmö to osoby urodzone za granicą, a ponad połowa populacji (54 proc.) ma tzw. tło migracyjne. Brytyjski brukowiec „Daily Express" już kilka lat temu uznał, że w Malmö jest tak samo niebezpiecznie jak w Bagdadzie. To oczywiście nie do końca jest prawdą. Według Globalnego Indeksu Przestępczości Zorganizowanej Irak figuruje na 12. miejscu w rankingu, podczas gdy Szwecja dopiero na 118. Niemniej w 2020 r. wskaźnik zabójstw z użyciem broni palnej wyniósł tam 4 na 1 mln, znacznie przekraczając europejską średnią – 1,6 na 1 mln. W latach 2012–2020 liczba zgonów z powodu użycia broni palnej wzrosła prawie trzykrotnie. Całkowity wskaźnik zabójstw w Szwecji oscylował w okolicach 12 na 1 mln, w porównaniu ze średnią europejską poniżej 8 na 1 mln. Żaden inny kraj europejski nie odnotował porównywalnego wzrostu tych wskaźników w XXI w. W Malmö strzelaniny między rywalizującymi imigranckimi gangami należały do codzienności. Od tego czasu liczba zgonów z powodu użycia broni palnej spadła o połowę. Nie oznacza to jednak, że problemy trapiące Szwecję zniknęły.

W 1975 r. odnotowano tam 769 gwałtów, a w 2024 r. już 9957 (z czego 96 miały miejsce w Malmö). To wzrost o 1194 proc. Dzielnica Rosengård w Malmö zajmuje ważne miejsce w większości dyskusji na temat masowej imigracji w Szwecji. Jeszcze zanim kryzys migracyjny rozpoczął się w 2015 r., w miejscowych szkołach publicznych ani jeden uczeń nie używał szwedzkiego jako pierwszego języka. Od co najmniej dekady straż pożarna i pogotowie ratunkowe odmawiają dojazdu tam bez eskorty policyjnej, ponieważ ataki na ratowników są powszechne. Dzielnica należy do 59 obszarów, które szwedzka policja klasyfikuje jako „szczególnie wrażliwe", czytaj: jako no-go zones. Według ostatnich danych 86–90 proc. spośród ok. 24 tys. mieszkańców Rosengård to osoby obcego pochodzenia (imigranci w pierwszym lub drugim pokoleniu). Pochodzą z Somalii, Afganistanu, Syrii czy Iraku. Bezrobocie sięga tu nawet 20 proc. W 2020 r. doszło tu do brutalnych zamieszek po tym, jak duński polityk Rasmus Paludan publicznie spalił Koran w pobliżu jednego z meczetów, których w mieście jest 13, a 10 z nich znajduje się w Rosengård.

Sedat Arif, socjalista oraz zastępca burmistrza ds. rynku pracy i służb społecznych w Malmö, jest dumny z wielokulturowości miasta. „Dla nas najważniejsze jest kontynuowanie dumnej historii bycia bezpieczną przystanią dla tych, którzy uciekają przed wojną i prześladowaniami" – podkreślił w rozmowie z dziennikiem „Dagens Nyheter".

SIEDLISKO TERRORYZMU

W Brukseli odsetek mieszkańców urodzonych za granicą wynosi 46 proc., czyli o ponad 28 pp. więcej niż średnia krajowa Belgii. Już w kampanii wyborczej w 2016 r. obecny prezydent USA Donald Trump nazwał Brukselę „piekłem". „Chcą prawa szariatu, nie asymilują się" – grzmiał w wywiadzie dla Fox News. W przypadku dzielnicy Molenbeek – według urzędu statystycznego Statbel – prawie 30 proc. z 98,713 tys. mieszkańców to osoby urodzone poza Belgią (głównie w Maroku i Syrii), a 70 do 80 proc. ma tzw. tło mi-

eprasa.pl d6d2f28467

gracyjne. Flamandzki poseł socjalistów Connor Rousseau stwierdził wręcz w lokalnej telewizji, że „Molenbeek robi wrażenie, jakby nie było w Belgii".

Dzielnica stanowiła kiedyś przemysłowe serce Brukseli, była nazywana belgijskim Manchesterem. Dziś przemysłu już nie ma, a gmina należy do najbiedniejszych w kraju. Bezrobocie młodych wynosi ponad 40 proc. Tym, z czego teraz słynie Molenbeek, jest terroryzm. Po atakach z listopada 2015 r. w Paryżu okazało się, że terroryści pochodzą właśnie stąd. Ich dowódca Salah Abdeslam dorastał kilka kroków od siedziby burmistrza dzielnicy. 24 z ponad 500 Belgów, którzy pojechali walczyć dla ISIS w Syrii, miało powiązania z Molenbeek.

Już w latach 70. Arabia Saudyjska oraz inne państwa Zatoki Perskiej zaczęły budować tu meczety i nikt im w tym nie przeszkodził. Ale być może nie powinno to dziwić w przypadku kraju, który w ostatniej dekadzie przyjął ponad 1 mln migrantów, a sam liczy 11 mln ludzi. W marcu podczas propalestyńskiej manifestacji muzułmańskie dzieci głośno domagały się „uhonorowania męczenników", przy czym chodziło im głównie o Jahję Sinwara, przywódcę Hamasu zabitego przez IDF, który zorganizował atak w październiku 2023 r. na festiwal muzyczny w Izraelu. We wrześniu ub.r. radna Molenbeek Saliha Raïss poleciła tym, którym nie podobają się chusty islamskie, by przeprowadzili się do innej dzielnicy. Nagranie z jej wystąpieniem stało się wiralem.

W Moelnbeek 29 z 46 radnych to muzułmanie. Fotoreporter Teun Voeten określił swoje życie w Molenbeeek na łamach portalu Politico następująco: „Dzielnica nie była w ogóle wielokulturowa. Przeciwnie, przy 80 proc. populacji muzułmanów, była zadziwiająco konformistyczna i homogeniczna". Według niego w większości sklepów nie można już kupić alkoholu, wszędzie pojawiły się islamskie księgarnie, a kobiety są nakłanianie do noszenia chust. Molenbeek zabiega o to, by zostać stolicą kultury Europy w 2030 r. Tylko czyjej kultury? Burmistrz Brukseli Philippe Close uważa całą krytykę za niesprawiedliwą. „Nienawidzą Brukseli, bo jest różnorodna" – zadeklarował. A może są jednak inne powody. W 2025 r. na ulicach Brukseli doszło do 96 strzelanin, a zadłużenie miasta wzrosło do 15 mld euro.

SZARIAT I ZASIŁKI

Wiedeń kojarzy się nam z operą i zabytkami, ale miasto dawno stało się wielokulturowe. 40,9 proc. jego mieszkańców urodziło się za granicą, 36,4 proc. nie ma austriackiego obywatelstwa, a 46,3 proc. ma tzw. tło migracyjne. W niektórych dzielnicach, jak Favoriten, udział cudzoziemców w populacji dawno przekroczył 50 proc.

Austria jest krajem imigracyjnym. Od 1983 r. saldo migracji co roku jest dodatnie. W sumie mieszka tam 2,51 mln osób, które pochodzą z innych krajów, na nieco ponad 9 mln mieszkańców.

> „Utracone terytoria" we Francji, „trójkąty szariackie" w Skandynawii. Europa zmienia się nie do poznania. W miastach, w których imigranci stanowią większość, wzrasta przestępczość, jest coraz więcej biedy, nasilają się konflikty społeczne

W 2024 r. ministerstwo ds. kobiet, rodzin, integracji i mediów przedstawiło raport, z którego wynika, iż migranci są wyedukowani na niewystarczającym poziomie, panuje wśród nich wysokie bezrobocie, a w mieście brakuje mieszkań socjalnych. Z raportu wynikało również, że w tymże roku władze miasta wydały ok. 1,15 mld euro na zasiłki. 44 proc. pobierających je to osoby wnioskujące o azyl lub posiadające tymczasowe prawo pobytu. Przypadek dziewięcioosobowej rodziny z Syrii otrzymującej 4,6 tys. euro miesięcznie obiegł media i oburzył Wiedeńczyków.

Mało tego, dzieci posiadają już głównie migranci. Według aktualnych danych Austriackiego Urzędu Statystycznego, w 2024 r. ok. 40,5 proc. niemowląt nie posiadało austriackiego paszportu. 20 lat temu odsetek ten wynosił zaledwie 20 proc. W niektórych szkołach udział dzieci migrantów wynosi ponad 40 proc. Tendencja ta jest szczególnie widoczna w dzielnicach Favoriten, Ottakring i Rudolfsheim-Fünfhaus – tam odsetek ten niekiedy przekracza 50 proc. Miasto musiało otworzyć 140 dodatkowych klas, by pomieścić te dzieci. Z powodu braku budynków uruchomiono 50 mobilnych klas w kontenerach. Trzech na czterech uczniów nie mówi po niemiecku w swoim otoczeniu. Te różnice językowe odzwierciedlają się w teście umiejętności czytania 14-latków: dane z Narodowego Raportu Edukacyjnego pokazują, że większość wiedeńskich uczniów (55 proc.) ze środowisk migracyjnych nie spełnia minimalnych wymogów. Według Rady ds. Szkół Miejskich w Wiedniu do szkół publicznych uczęszcza ok. 35 tys. muzułmanów. Na tym jednak nie koniec problemów.

W 2025 r. w Wiedniu doszło do oszałamiającej liczby 956 ataków za pomocą noża. To prawie trzy dziennie. Wśród nich było 177 przypadków rozboju z użyciem noża, 410 niebezpiecznych gróźb, 24 poważne napaści i osiem morderstw. Szczególnie uderzające: spośród 2471 podejrzanych 1386, czyli ok. 56 proc., nie było obywatelami Austrii. Według dziennika „Der Standard" większość to Syryjczycy, Turcy, Marokańczycy i Tunezyjczycy.

Jak bardzo Austria dryfuje w niebezpiecznym kierunku, niech pokażą dwa przykłady: pierwszy to decyzja sądu w Wiedniu, że prawo szariatu może być stosowane w przypadku sporów cywilnych, a drugi to wyrok – także sądu w Wiedniu – w sprawie serii gwałtów na 12-letniej dziewczynce. Wszyscy oskarżeni – a było ich 10, to imigranci w wieku od 16 do 21 lat – zostali uniewinnieni, bo „mogli się nie zorientować, ile ofiara miała lat".

eprasa.pl d6d2f28467

Jak rosyjskie wojska opuściły Polskę

Przez dekady obecność Armii Radzieckiej w Polsce stanowiła symbol zależności od Moskwy. Jej wycofanie po 1989 r. nie było jednak zwykłą formalnością, lecz wynikiem skomplikowanej gry politycznej, negocjacji i zmieniającej się sytuacji międzynarodowej. Jak zatem udało się doprowadzić do momentu, który ostatecznie zamknął epokę powojennej okupacji Polski?

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

35 lat temu wojska sowieckie oficjalnie rozpoczęły wycofywanie się z terytorium Polski. Z Bornego Sulinowa wyruszył eszelon 6. Witebsko-Nowogródzkiej Gwardyjskiej Dywizji Zmechanizowanej, przewożący dywizjon taktycznych zestawów rakietowych R-17 Scud-B. Następnego dnia do jeszcze przed chwilą tajnego miasta (oznaczanego na cywilnych mapach jako teren zielony) zaproszono polskich i zagranicznych dziennikarzy, którzy na własne oczy mogli się przekonać, że Rosjanie rzeczywiście się wycofują. Negocjacje dotyczące obecności okupacyjnych wojsk w Polsce zakończyły się dopiero w maju 1992 r., a sam proces wycofywania trwał ponad dwa lata. Dlaczego tak długo?

DZIEDZICTWO POWOJENNEJ DOMINACJI

Po zakończeniu II wojny światowej Polska znalazła się pod ścisłą kontrolą Związku Sowieckiego. Choć formalnie pozostawała państwem niepodległym, w praktyce była podporządkowana decyzjom podejmowanym w Moskwie. Najbardziej widocznym symbolem tej zależności była obecność na terytorium kraju wojsk sowieckich. Stanowiły one kluczowy instrument utrzymania politycznej kontroli. W razie prób uniezależnienia się Polski były gotowe do interwencji, pacyfikacji i przywrócenia posłuszeństwa wobec Kremla.

W maju 1945 r. stacjonujące w Polsce oddziały 2. Frontu Białoruskiego przekształcono w Północną Grupę Wojsk. Przez ponad dekadę ich obecność nie była w żaden sposób prawnie sankcjonowana. Dopiero 17 grudnia 1956 r. podpisano umowę między rządami PRL i ZSRS, która formalnie regulowała status pobytu „bratnich" wojsk. Zgodnie z jej zapisami w Polsce miało stacjonować 62–66 tys. żołnierzy, jednak rzeczywista liczebność sowieckich sił pozostawała nieznana. Polska nie miała żadnego wpływu ani na stacjonowanie tych jednostek, ani na zakres ich działalności.

Fot. Jerzy Undro/PAP

eprasa.pl d6d2f28467

Na przełomie lat 80. i 90. XX w. wojska sowieckie stacjonowały w 60 garnizonach rozmieszczonych na terenie 21 województw. Ich bazy tworzyły pas biegnący ze wschodu na zachód, który w rejonie granicy z NRD rozgałęział się na północ i południe. Armia Radziecka użytkowała ok. 70 tys. ha terenów, w tym 13 lotnisk, cztery poligony oraz tysiące mniejszych obiektów wojskowych. Dowództwo Północnej Grupy Wojsk mieściło się w Legnicy, która stała się nieformalną „małą Moskwą". Nawet jedna trzecia powierzchni miasta była zajęta przez znajdujące się w niej wojska.

Jeszcze bardziej skrajnym przypadkiem było Borne Sulinowo, największy garnizon sowiecki w Polsce, gdzie stacjonowało ok. 25 tys. żołnierzy. Miasto przez lata pozostawało całkowicie wyłączone z życia publicznego: formalnie nie istniało i nie było oznaczane na cywilnych mapach. Drugim co do wielkości ośrodkiem był Świętoszów, w którym przebywało ok. 12 tys. żołnierzy. Szacuje się, że zgromadzony w Polsce sprzęt wojskowy pozwalał na wyposażenie nawet 300 tys. żołnierzy. Według oficjalnych danych sowieckich w 1989 r. Północna Grupa Wojsk liczyła 53 tys. żołnierzy, 7 tys. pracowników cywilnych oraz ok. 40 tys. członków ich rodzin.

PRZEŁOM 1989 r. BEZ POWAŻNYCH KROKÓW

Pod koniec lat 80. XX w. postulat wycofania wojsk sowieckich z Polski podnosiły tylko najbardziej radykalne organizacje, takie jak Solidarność Walcząca, Konfederacja Polski Niepodległej i Federacja Młodzieży Walczącej. Sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z osłabieniem systemu komunistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej. Wydarzenia, takie jak obrady okrągłego stołu oraz częściowo wolne wybory w czerwcu 1989 r., zapoczątkowały proces transformacji ustrojowej w Polsce. Jednocześnie w samym Związku Sowieckim trwały zmiany zainicjowane przez Michaiła Gorbaczowa, które dawały nadzieję na poprawę sytuacji międzynarodowej w regionie.

W 1989 r. nie podjęto żadnych wiążących decyzji ani poważnych rozmów dotyczących obecności wojsk sowieckich w Polsce. Rząd Tadeusza Mazowieckiego funkcjonował w szczególnej sytuacji zarówno wewnętrznej, jak i międzynarodowej. Część ministerstw, w tym tzw. resorty siłowe, pozostawała w rękach komunistów, a prezydentem był wybrany przez Zgromadzenie Narodowe 19 lipca 1989 r. gen. Wojciech Jaruzelski. Jednocześnie jesienią 1989 r., mimo postępującego rozpadu bloku wschodniego, Polska wciąż była otoczona przez państwa komunistyczne, w których przemiany polityczne miały dopiero nadejść. Mazowiecki, zakładając, że Polska może przez pewien czas pozostać swoistą enklawą w obrębie bloku wschodniego, uznawał, iż nie należy domagać się wycofania wojsk sowieckich, by nie pogarszać położenia kraju. Opowiadał się również za utrzymaniem sojuszu z Moskwą.

> Na przełomie lat 80. i 90. XX w. wojska sowieckie stacjonowały w 60 garnizonach rozmieszczonych na terenie 21 województw Polski. Największy z nich – liczący ok. 25 tys. żołnierzy – znajdował się w Bornym Sulinowie. Z kolei radzieckie dowództwo wojsk mieściło się w Legnicy, która stała się nieformalną „małą Moskwą"

PROBLEM NIEMIECKI

Istotne znaczenie miała także kwestia zachodniej granicy Polski. Co prawda Niemiecka Republika Demokratyczna uznała ją już w 1950 r. w układzie zgorzeleckim, jednak państwo to było w pełni zależne od ZSRS. Z kolei Republika Federalna Niemiec uznała granicę na Odrze i Nysie dopiero w 1970 r. za sprawą kanclerza Willy'ego Brandta, co stanowiło przełom w normalizacji stosunków między państwami. Porozumienie to nie obejmowało jednak przyszłych zjednoczonych Niemiec. W związku z tym w gronie zwolenników rządu Mazowieckiego pojawiały się opinie, by wstrzymać się z żądaniem wycofania wojsk sowieckich. Argumentowano, że dopóki stacjonują one w Polsce, dopóty Niemcy nie będą kwestionować naszych zachodnich granic. Tę tezę sformułował w marcu 1990 r. późniejszy ambasador Polski w Berlinie Janusz Reiter w artykule opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej". Rząd Mazowieckiego zakładał ponadto, że w rozmowach z Michaiłem Gorbaczowem nie należy poruszać kwestii wycofania wojsk, aby nie pogorszyć relacji

eprasa.pl d6d2f28467

z Moskwą przed nadchodzącymi negocjacjami z Niemcami.

W listopadzie 1989 r. rozpoczęto demontaż muru berlińskiego. W tym samym miesiącu kanclerz RFN Helmut Kohl przedstawił 10-punktowy plan zjednoczenia Niemiec. W tym czasie strona polska zabiegała o to, by nowy układ graniczny wszedł w życie jeszcze przed połączeniem NRD i RFN, jednak bez powodzenia. Kwestię granicy polsko-niemieckiej rozstrzygano wiosną i latem 1990 r. w formule „2+4", obejmującej oba państwa niemieckie oraz cztery mocarstwa: USA, Wielką Brytanię, Francję i ZSRS. Choć Niemcy nie zamierzali prowadzić z Polską konfliktu zbrojnego o sporne terytoria, kanclerz Kohl prowadził negocjacje w sposób powściągliwy, unikając jednoznacznych deklaracji przed zjednoczeniem, które nastąpiło 3 października 1990 r. Dopiero po uzgodnieniu *status quo* na forum konferencji „2+4" w Paryżu strona niemiecka ustąpiła. Ostatecznie 17 listopada 1990 r. podpisano polsko-niemiecki traktat graniczny, ratyfikowany przez oba państwa w ostatnich miesiącach 1991 r.

TRUDNE NEGOCJACJE

Po rozstrzygnięciu sporu o uznanie granicy zachodniej w centrum uwagi znalazła się kwestia obecności wojsk sowieckich w Polsce. Już 7 września 1990 r. minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski skierował do Moskwy notę z wnioskiem o rozpoczęcie negocjacji w sprawie ich wycofania. Proces ten przeciągnął się jednak aż do 1993 r., a rozmowy z Rosjanami okazały się trudne i wielowątkowe. Dotyczyły m.in. harmonogramu wycofywania wojsk, przyszłości infrastruktury wojskowej, odszkodowań za szkody środowiskowe i gospodarcze oraz kwestii bezpieczeństwa strategicznego regionu. Strona polska domagała się szybkiego i jednoznacznego ustalenia terminu opuszczenia kraju przez Rosjan. Z kolei rosyjska dyplomacja dążyła do wydłużenia całego procesu i próbowała uzależnić go od dodatkowych warunków, takich jak przyszłe wykorzystanie opuszczanych baz czy zachowanie określonych wpływów gospodarczych. Rosja powoływała się zarówno na argumenty geopolityczne, jak i na trudności logistyczne oraz problemy gospodarcze po rozpadzie ZSRS. Obawiano się również szybkiego rozszerzenia wpływów Zachodu w regionie.

Bardzo ważną rolę w tych negocjacjach odegrał rząd Jana Olszewskiego, który przyjął stanowczą postawę wobec Moskwy. Jako pierwszy w swoim programie jasno sformułował postulat zacieśnienia współpracy z NATO oraz szybkiego wycofania Północnej Grupy Wojsk. Jednocześnie zablokował moskiewską koncepcję zakładającą utworzenie wspólnych polsko-rosyjskich spółek zarządzających infrastrukturą po byłych bazach wojskowych. Formalnie miały one posiadać rady nadzorcze z odpowiednią reprezentacją zarówno Rosjan, jak i Polaków, a głównym założeniem miało być wsparcie rozwoju współpracy gospodarczej. W praktyce jednak doprowadziłoby to do uwłaszczenia rosyjskich służb na terenie byłych sowieckich baz w Polsce i wyjęcie ich spod jakiejkolwiek państwowej kontroli. W dłuższej perspektywie stanowiłoby to poważne zagrożenie dla suwerenności państwa, zwłaszcza po dojściu do władzy w Moskwie Władimira Putina. Rosyjską propozycję ostatecznie wykreślono z projektu traktatu w wyniku stanowczego sprzeciwu premiera Jana Olszewskiego. Spotkało się to z wściekłością prezydenta Lecha Wałęsy, który sprzeciwiał się ingerencji rządu w prowadzone przez niego negocjacje.

OSTATECZNE WYCOFANIE

Przełom nastąpił w 1992 r. Dnia 22 maja w Moskwie podpisano kluczowe porozumienie między Polską a Rosją, określające szczegółowy harmonogram wycofania wojsk do końca 1993 r. Dokument sygnowali prezydenci obu państw: Lech Wałęsa i Borys Jelcyn. Był to jeden z najważniejszych aktów regulujących stosunki polsko-rosyjskie po zakończeniu zimnej wojny. Jeszcze przed formalnym zawarciem umowy Polskę zaczęli opuszczać rosyjscy żołnierze.

Za oficjalną datę początku wycofywania wojsk uznaje się 9 kwietnia 1991 r. Tego dnia z Bornego Sulinowa wyjechał pierwszy transport sprzętu wojskowego z 12 wyrzutniami Brygady Rakiet Operacyjno-Taktycznych. W pierwszej kolejności Polskę opuszczały jednostki bojowe, a cały proces odbywał się głównie drogą kolejową. Długie składy wagonów wypełnionych sprzętem wojskowym stały się jednym z charakterystycznych obrazów początku lat 90. XX w.

Proces wycofywania Rosjan trwał kilkanaście miesięcy i zakończył się 18 września 1993 r. Tego dnia ostatni żołnierze rosyjscy opuścili terytorium kraju, kończąc niemal półwieczną obecność obcych wojsk. Końcowa data nie była przypadkowa. Prezydentowi Wałęsie zależało na symbolicznym powiązaniu opuszczenia Polski przez Rosjan z rocznicą agresji ZSRS na Polskę w 1939 r.

Wycofanie wojsk nie obyło się jednak bez problemów. Na terenach opuszczonych przez armię rosyjską pozostały zniszczenia, skażenie środowiska oraz rozległa infrastruktura wymagająca zagospodarowania. Trudno jednoznacznie ocenić, na ile była to konsekwencja celowych działań, a na ile efekt wieloletnich zaniedbań i odmiennych standardów funkcjonowania Rosjan. W trakcie negocjacji strona polska zrzekła się roszczeń finansowych za zniszczenia infrastruktury oraz degradację środowiska naturalnego, mimo że straty szacowano na setki milionów dolarów. Priorytetem było wycofanie obcych wojsk. Oznaczało nie tylko koniec militarnej zależności od Moskwy, lecz także faktyczne odzyskanie pełnej kontroli nad własnym terytorium.

ZNACZENIE HISTORYCZNE

Wycofanie wojsk sowieckich było nie tylko sukcesem dyplomatycznym, lecz także symbolicznym zamknięciem epoki zależności od Moskwy. Proces ten pokazał, że transformacja ustrojowa nie ograniczała się jedynie do zmian politycznych, lecz obejmowała także redefinicję miejsca Polski w międzynarodowym systemie bezpieczeństwa. Dziś wydarzenia te coraz częściej interpretuje się nie tylko w kategoriach końca zależności od Moskwy, lecz także jako fragment szerszej gry mocarstw. Transformacja Europy Środkowo-Wschodniej była bowiem zarówno procesem politycznym, jak i przestrzenią intensywnej aktywności służb specjalnych oraz zakulisowych negocjacji. O rosnącym zainteresowaniu tym okresem świadczy m.in. pojawienie się w TVP serialu „Wojna zastępcza", który pokazuje przemiany lat 90. wieku z perspektywy rywalizacji wywiadów.

Wycofanie wojsk rosyjskich otworzyło drogę do integracji Polski z Zachodem, zakończonej wstąpieniem w 1999 r. do NATO, a następnie w 2004 r. do Unii Europejskiej. Dlatego wycofanie wojsk sowieckich pozostaje jednym z najważniejszych wydarzeń w historii Polski po 1989 r.

eprasa.pl d6d2f28467

„Lalka”. Pierwsza prezentacja

Marek Kondrat jako Rzecki, Marcin Dorociński – Wokulski, Kamila Urzędowska – Łęcka, a także Agata Kulesza, Maria Dębska i Mateusz Damięcki wraz z reżyserem Maciejem Kawalskim pojawili się ostatnio w Hotelu Europejskim

Fot. Materiały promocyjne Gigant Films

eprasa.pl d6d2f28467

JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

50 lokacji w całej Polsce, w tym niedostępne na co dzień dla filmowców Łazienki Królewskie, Krakowskie Przedmieście czy pałac w Nieborowie. Malarskie ujęcia i piękne kostiumy szyte oraz wypożyczane zarówno w Polsce, jak i w Berlinie, Mediolanie czy Rzymie. I oczywiście sklep Wokulskiego, budowany przez 40 dni. A także wyjątkowo długi czas zdjęciowy, trwający z przerwami od lipca do grudnia 2025 r. To wszystko pokazuje produkcyjną skalę najnowszej kinowej wersji „Lalki".

SPEŁNIANIE MARZEŃ

Nie bez powodu to w Hotelu Europejskim – gdzie pamiętne przyjęcie po otwarciu swojego sklepu urządził Stanisław Wokulski, próbując nie tylko świętować sukces handlowy, lecz także wkroczyć do świata arystokracji – odbyła się prezentacja najnowszej, pełnometrażowej adaptacji powieści Bolesława Prusa. Film trafi do kin 30 września (oficjalna premiera odbędzie się 28 września w Teatrze Wielkim), ale przedstawiciele ekipy spotkali się z mediami już teraz.

– Pamiętam pierwszy dzień zdjęciowy [22 lipca 2025 r. – przyp. red.] – wspomina reżyser Maciej Kawalski. – Weszliśmy z producentem Radkiem Drabikiem na Krakowskie Przedmieście i dosłownie zanurzyliśmy się w scenografię odtwarzającą świat „Lalki". Przypomniałem sobie wtedy naszą pierwszą rozmowę o wspólnym marzeniu (jako scenarzysta dołączyłem do projektu na samym początku). Nie mieliśmy wtedy nic, nawet jednej linijki tekstu, po czym minęło półtora roku i znaleźliśmy się przed sklepem Wokulskiego. To fantastyczne spełnienie marzeń – dodaje. A producent filmu jest przekonany, że było ono możliwe dzięki imponującej „drużynie marzeń".

KILKA WERSJI „LALKI"

W jej skład weszli m.in. autor zdjęć Piotr Sobociński jr, twórcy scenografii (Katarzyna Sobańska, Marcel Sławiński, Anna Mocny), kostiumów (Katarzyna Lewińska we współpracy z Tomaszem Ossolińskim), a także niezwykle rozbudowana obsada, w której znaleźli się m.in.: Maja Komorowska (prezesowa Zasławska), Andrzej Seweryn (ojciec Izabeli), Karolina Gruszka (kuzynka Łęckiej), Maria Dębska (Wąsowska), Mateusz Damięcki (Starski), Paweł Wilczak (Szlangbaum).

Jednocześnie twórcy przypominają, że równolegle powstają dwie filmowe adaptacje „Lalki" (tworzone są też „Lalki" sceniczne). W sześcioodcinkowym serialu w reżyserii Pawła Maślony, realizowanym przez Netflix, Łęcką gra Sandra Drzymalska, a Wokulskiego –Tomasz Schuchardt.

– Dobre rzeczy mogą się uzupełniać. Każde pokolenie zasługuje na swoją ekranizację „Lalki" – uważa Kawalski. – My idziemy za Prusem. Chcemy stworzyć dzieło, które wytrzyma następnych 40, 50 lat, do kolejnej ekranizacji – dodaje.

NIE MA ARGUMENTÓW PRZECIW

Za „swoją" uznaje już „Lalkę" Kawalskiego Marek Kondrat, który nie ukrywa, że bardzo długo nie widział się w tej produkcji. Czy raczej – w ogóle na planie.

– Nie wyobrażałem sobie powrotu do aktorstwa, do tego, co robiłem właściwie przez całe życie, bo rozpocząłem tę pracę, kiedy miałem lat 10 – komentuje Kondrat pierwsze reakcje na ofertę roli Rzeckiego. – Ale potem uświadomiłem sobie, co w tej propozycji tak naprawdę się kryje. A było to spotkanie z pewną przestrzenią. Począwszy od utworu, który jest dla mnie najwspanialszym w polskiej literaturze (tu nie jestem oryginalny). Mam z nim do czynienia, od kiedy zacząłem rozpoznawać ludzi dokoła siebie. Bo wszyscy – dosłownie wszyscy aktorzy ze wszystkich filmowych realizacji tej powieści – byli albo gośćmi mojego domu, albo gdzieś się z nimi się spotykałem, patrzyłem na nich. Na koniec zdałem sobie sprawę, że w pierwszej realizacji „Lalki", tej Wojciecha Hasa, mój ojciec zagrał Szlangbauma. Był wtedy młodszy ode mnie. Miał 60 lat... Kiedy to wszystko razem mi się skleiło, pomyślałem, że nie ma tu właściwie argumentów przeciw.

Aktor skomentował też kilka zaprezentowanych scen z filmu. – Jestem nimi poruszony. Dzisiaj mam tyle lat, że nie muszę się wstydzić tego, że sam się sobie podobałem.

POSTAĆ Z DWÓCH ŚWIATÓW

O swoim bohaterze Ignacym Rzeckim mówi, że jest postacią z dwóch światów: mijającego i obecnego. – To bliska mi perspektywa, która daje mi poczucie dotkliwej aktualności tej powieści – uzupełnia.

Jego zdaniem „Lalka" ma w sobie współczesny wymiar nie tylko poprzez wspaniały język, dziś tak kaleczony i zubożały, lecz także

Fot. Materiały promocyjne Gigant Films

eprasa.pl d6d2f28467

za sprawą bohaterów. To postaci autentyczne, prawdziwe, budzące namiętności także wśród dzisiejszych ludzi. – Mieszczę się jeszcze w tej współczesności – zapewnia, przypominając, co mówił mu Tadeusz Konwicki, gdy zdarzało mu się usiąść przy jego stoliku w Czytelniku: „Pan ma najgorzej, bo pan musi być między tymi światami. My już odchodzimy, a pan jeszcze należy do tego przyszłego".

– I tak się cały czas czuję – potwierdza aktor.

Powstająca „Lalka" jeszcze bardziej uzmysłowiła mu także, iż Warszawa jest dokumentem swojej przeszłości. I że film, w którym zagrał, będzie również ukłonem dla tego miasta. Wspomina, że kiedy ekipa na dwa tygodnie zajęła Krakowskie Przedmieście, serce stolicy, u części mieszkańców budziło to stres. Jednak druga część stała uparcie przy barierkach i patrzyła, jak wyglądała Warszawa tamtego czasu.

OGROMNE SERCE DO STASIA

Pytany o stosunek do Wokulskiego, stwierdza, że ma do niego ogromne serce. I prywatnie, i literacko. – To fantastyczna postać. Pełna namiętności, a z drugiej strony stąpająca twardo po ziemi. I to jest właśnie to, co w tej powieści jest może najbardziej uderzające. Ta zmiana sposobu myślenia, bardzo ważna w naszej historii. Kończy się romantyzm, zaczyna pozytywizm. Zaczyna się myślenie o człowieku jako indywiduum ludzkim, a nie jako o narodzie, że „my, Polacy", „dla nas, Polaków". Wokulski z jednej strony nosi w sobie duszę mijającej epoki, a z drugiej chce się z niej wyrwać. Marzy o zdobyciu przedmiotu swojej miłości, ale musi po drodze pokonać klasy społeczne, odległość, która wydaje się nie do pokonania. To wszystko budzi ogromne namiętności – podsumowuje Kondrat.

O Marcinie Dorocińskim wypowiada się w superlatywach: – Widzę i bardzo cenię drogę, którą przeszedł. Obaj wspominają, że po raz pierwszy spotkali się na planie filmu Marka Koterskiego „Wszyscy jesteśmy Chrystusami". – Choć trudno mówić o poznaniu. Miałem wtedy worek foliowy na głowie – uśmiecha się Dorociński.

JAK NIE TERAZ, TO KIEDY

Odtwórca głównej roli świeżo po obejrzeniu wstępnie zmontowanego filmu zapewnia, że poczuł ulgę. Bo kiedy padła propozycja zagrania Wokulskiego, przede wszystkim pojawiły się w nim lęk i niepewność. Pytanie, czy sprosta wyobrażeniom tych wszystkich, którzy czytali książkę, oglądali film Hasa i serial Bera. – Ale pomyślałem też wtedy, że jak nie teraz, to kiedy? – dodaje.

Jego zdaniem Tomasz Schuchardt będzie „wspaniałym Stasiem". Uważa też, że każdy ma prawo do własnej wizji „Lalki", równocześnie ma nadzieję, że ta z jego udziałem spełni oczekiwania widzów i da im wielkie emocje.

Mimo skończonych zdjęć mówi, że nadal nie może uwierzyć, iż „syn kowala z Kłudzienka zagrał Wokulskiego" i że mógł patrzeć w oczy „tych wszystkich wspaniałych artystów". – To spełnienie marzenia, o które nawet nie prosiłem – stwierdza. Dodaje też, że jego stosunku do każdej kolejnej roli nie zmienia rosnący zawodowy dorobek, także ten hollywoodzki. Równocześnie – o czym nie raz się już przekonał – kiedy zakłada kostium, aktorsko jest gotowy na znacznie więcej.

WYJĄTKOWA POZYCJA

Rolę kostiumów – w przypadku tej produkcji ich imponującą liczbę miała oczywiście Izabela Łęcka – docenia też Kamila Urzędowska. Wspomina zarówno podziw wobec jakości i precyzji wykonania strojów, jak i to, że bardzo pomagały jej budować postać (począwszy od banalnego z pozoru wymuszania prostej sylwetki).

Poza możliwością kreowania bohaterki – która, jak przyznają filmowy Wokulski i Starski, wizualnie jest najbliżej ich wyobrażeń o Izabeli Łęckiej – aktorkę bardzo cieszyła też możliwość pracy z ekranowymi legendami, m.in. Andrzejem Sewerynem i Krystyną Jandą (filmowymi ojcem i ciotką).

Wyjątkowość swojej roli, choć z zupełnie innego powodu, chwali również Agata Kulesza. Podkreśla, że warszawską swatkę wspomagającą Wokulskiego mało kto pamięta z książki. Tymczasem w scenariuszu zyskała ona wyjątkową pozycję, umożliwiając aktorce stworzenie „efektu Kuleszy". Tak nazwali pełne humoru i dynamiki sceny z panią Meliton reżyser, producent i montażysta (Przemysław Chruścielewski).

– Jestem tym filmem podekscytowana – deklaruje aktorka i zachęca: – Trzymajcie za niego kciuki i oglądajcie w kinach, bo w pełni zasługuje na wielki ekran.

eprasa.pl d6d2f28467

HITY i KITY ZAREMBY

O seryjnym zabójcy krewnych

„Przepis na morderstwo" Johna Pattona Forda to amerykańsko-brytyjski film przedstawiany jako thriller i czarna komedia. Dostajemy cyniczną, a może upozowaną na cyniczną opowieść o młodym człowieku, który zabija po kolei swoich krewnych, żeby zająć ich miejsce. To solidna produkcja ze zręcznym scenariuszem, pełnym pomysłowych zakrętów akcji. Jeśli mam wątpliwości, to wobec całego gatunku

Chwaląc efektowną fabułę, chwalę coś w rodzaju remake'u. W 1949 r. Brytyjczyk Robert Hamer nakręcił film „Kind Hearts and Coronets", który uchodzi za klasykę czarnej komedii, więc angielskiej specjalności. Polacy przetłumaczyli tytuł całkiem niedosłownie jako „Szlachectwo zobowiązuje".

Nie tylko sam pomysł – syn wydziedziczonej przed laty kobiety morduje rodzinę – został przeniesiony z brytyjskich lat 40. w amerykańską współczesność. Podobna jest konstrukcja intrygi, niemal wszystkie postaci z tamtego filmu mają tu swoje odpowiedniki. Korekty wynikają przede wszystkim z odmiennych realiów. Choć inne jest też zakończenie.

„Szlachectwo zobowiązuje" opowiada o kimś, kto marzy o tytule księcia. Mamy sporo drwiny z brytyjskiego snobizmu, który każe katu recytować własny wiersz na cześć skazańca (bo jest on księciem). Dostajemy też portrecik arystokracji, przeglądającej się w krzywym zwierciadle satyry. Becket Redfellow z „Przepisu na morderstwo" stawia sobie za cel zdobycie fortuny. Jego marzenie jest, można by rzec, typowo amerykańskie. Skądinąd o kapitalistach z Wall Street powiedziano w dziesiątkach dzieł i dziełek tyle złego, że nie satyra społeczna jest atutem „Przepisu na morderstwo". To po prostu efektowna układanka, tworzona z ironią także wobec wszelkich przesłań.

Wspólne dla obu filmów jest co innego. Biorąc pod uwagę punkt wyjścia – los chłopca tracącego matkę przy obojętności rodziny, więc szukającego zemsty – można by oczekiwać, że będziemy odruchowo kibicowali głównemu bohaterowi. Tymczasem tylko na początku ród D'Ascoyne'ów w wersji brytyjskiej, a Redfellowów w wydaniu amerykańskim jawi się jako bezduszna machina. Potem dostajemy zróżnicowane portrety krewnych. Wina większości z nich jawi się jako problematyczna. A jednak i Louis Mazzini-D'Ascoyne z dawnych czasów, i Becket z czasów obecnych, brną bezlitośnie w kolejne zabójstwa. Choć to jeden z krewnych pomaga obu bohaterom odbić się od dna. Choć obaj mają szansę na zasobne życie bez perfekcyjnych mordów.

W efekcie bezduszną machiną staje się „pokrzywdzony". W filmie „Szlachectwo zobowiązuje" podkreśla to beznamiętny, zimny komentarz Dennisa Price'a, grającego Louisa. Glen Powell jako Becket w „Przepisie na morderstwo", też będący narratorem, gra postać może bardziej emocjonalną, a jednak również jego trudno mi było polubić. Ale czy nie zachęca się nas do kibicowania mordercy? A może ów cynizm jest żartem z nas? A może testem, wyzwaniem?

Twórcy brytyjskiego pierwowzoru w pewnym stopniu wzięli kontekst ludzki w nawias. Wszystkich krewnych, łącznie z sufrażystką Lady Agathą, grał przecież jeden aktor, zwykle komediowy Alec Guiness. Ale nawet w tej wersji – jeśli potraktować fabułę bardziej serio – przynajmniej niektórych ofiar można żałować. W „Przepisie" bilans ludzki jest jeszcze bardziej niejednoznaczny. Powtórzę: jeśli potraktować serio...

To główny problem z takimi pastiszowymi układankami, gdzie zaczyna się „serio". Jako młody człowiek uwielbiałem formułę czarnej komedii. Dziś pytam sam siebie, czy zabawa zabijaniem kogokolwiek jest w porządku. Choć scena walki Becketa z własnym dziadkiem, naprawdę winnym jego dawnych nieszczęść, jest przednia. Zwłaszcza kiedy seniora rodu gra Ed Harris.

Piotr Zaremba

Fot. Kino Świat

Piłsudski inny niż zwykle

„Droga Olu", spektakl Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu, to inscenizacja jedyna i niepowtarzalna. Nawet jeśli niedoskonała, pozwala zobaczyć historyczne postaci z innej perspektywy

Listy Józefa Piłsudskiego do bojowniczki PPS, jego późniejszej żony Aleksandry Szczerbińskiej, z lat 1908–1931 były publikowane tylko we fragmentach. A jest ich 106 i niedługo mają być wydane w całości. Tomasz Cyz, adaptator i reżyser, stworzył z nich barwną mozaikę, próbującą oddać stan duszy rewolucjonisty i zakochanej w nim kobiety.

Rola Piłsudskiego przypadła Przemysławowi Stippie. Jest bardziej imitatorem romantycznej duszy narodowego bohatera niż jego kopią, choć w filmowych przebitkach bawi się udawaniem przyszłego marszałka Polski.

W roli Aleksandry występują dwie aktorki: Magdalena Czerwińska i Weronika Humaj. Mówią tekstami ze wspomnień Aleksandry, a po części wyimkami z listów. Nie jej listów, a jego, bo korespondencja w drugą stronę się nie zachowała. Są odwzorowaniem natury cierpliwie kochającej kobiety. A w tle tancerze poznańskiego teatru komentują ich relacje odpowiednią choreografią. Ona perfekcyjnie buduje nastrój.

Czy wszystko mnie przekonało? Nie zrozumiałem konceptu z podwójnością roli Aleksandry, choć obie aktorki są świetne. Czasem miałem wrażenie, że wyjątki z listów są odrobinę przypadkowe. Niemniej udało się zbudować niepowtarzalny klimat. Stippa świetnie wykorzystuje kilka momentów, aby pokazać fascynację „Ziuka" młodopolskimi egzaltacjami. To kontrastuje z brutalnym, wojskowym językiem, z jakim się nam kojarzy. Choć także – w scenie finałowej apoteozy – poznajemy rozmiary jego miłości własnej. Także w związku miłosnym mamy do czynienia z relacją wódz–wyznawczyni. Czy nie tak było w jego relacjach z Polakami?

Jedna kwestia trochę zakłócała mnie, historykowi, odbiór, już poza inscenizacją. Piłsudski korespondował z Olą, wciąż mając pierwszą żonę Marię. Los tej zmarłej w 1921 r. kobiety był nie do pozazdroszczenia.

Fot. Andrzej Grabowski/Polski Teatr Tańca w Poznaniu

PRAŁAT I DIABEŁ

„Prałat" Michała Kmiecika, produkt Teatru Telewizji, był wyjątkowo mocno reklamowany, przede wszystkim jako odważny. „Jeśli ten spektakl będzie jak komar, który bzyczy, nie pozwala zasnąć i kąsa, to znaczy, że dobrze wykonaliśmy swoją pracę" – napisał jego autor. Czy na pewno?

Spektakl dotykający pamięci ks. Henryka Jankowskiego reżyserował Marcin Liber, zwolennik wojujących lewicowych poglądów. Całkiem niedawno w innym przedstawieniu „Ale z naszymi umarłymi", przeniesionym z kieleckiego teatru, przedstawiał Polskę rządzoną przez prawicę jako przestrzeń opanowaną przez zombie. Akurat w przypadku „Prałata" miał ułatwione zadanie: ks. Jankowski, oskarżany po śmierci o pedofilię, rozmiłowany w bogactwie, podejrzewany także o współpracę z SB, to postać wyjątkowo łatwa do demaskacji.

Czy to jednak oznacza, że były ksiądz Stanisław Obirek zyskał niezbite dowody, iż „Kościół to hamulcowy postępu cywilizacyjnego"? A właśnie to oznajmił w postscriptum do przedstawienia. Dodajmy, że w telewizyjnym studiu debatowali wyłącznie zwolennicy takiego, mocno jednostronnego poglądu.

Sztuka zaczyna się obrazkiem chłopców w komeżkach, śpiewających o diable. Myślałem, że to o samym ks. Jankowskim. Ale głównym bohaterem jest Diabeł (grany jako postać z jasełek przez Juliusza Chrząstowskiego). To on namawia dyrektora Teatru Telewizji (Andrzej Kłak), aby nie wystawiał spektaklu o ks. Jankowskim. Sugeruje, że grzech niezwalczany będzie się bujniej plenił. Przy okazji dowiadujemy się, że Diabeł inspirował wydarzenia historyczne: od powstania warszawskiego po wybór Karola Wojtyły. Zwłaszcza to ostatnie jest świadectwem wizji świata i autora, i reżysera.

Potem pojawia się Jankowski (Rafał Dziwisz), ale jest tylko bezbarwną kukiełką w rękach Diabła, który m.in. nakłania go, aby na Grobie Pańskim krytykował aborcję. Nie wiemy, czy spektakl w spektaklu dojdzie do skutku. Dyrektor i reżyserka zostają zabrani do piekła, gdzie mogą porozmawiać z duchem ks. Jankowskiego. Ale przedstawienie się urywa. W kolejnych scenach występuje – nie wiadomo po co – Dawid Ogrodnik. Jak rozumiem, jest po słusznej stronie.

Sprowadzenie całej historii do groteskowego wymiaru niespecjalnie się udało. Złe postępki Jankowskiego pokazuje nam się w konwencji kabaretowego show. Uderzające są za to krążące wokół opinie. Obirek porównał Kościół katolicki do PZPR. Za to znany reżyser zauważył (opinia na Facebooku, więc nie wiem, na ile publiczna): „Za komuny o takich dziełach sztuki partyjni mówili: »dobre, bo słuszne«. Publicystyka nie zastąpi dramaturgii niezależnie od intencji".

Dramaturg Kmiecik mówił wzburzony o ofiarach pedofila, szanuję to. Dostałem jednak SMS od zaprzyjaźnionego aktora. „Rozumiem, że jeszcze przed wakacjami będzie spektakl o pedofilii wśród polityków, głównie z PO". To przyczynek do wątku odwagi.

Człowiek – to brzmi dumnie

Odejście Jacka Magiery to pożegnanie świetnego trenera z wielkimi sukcesami. Ale piłkarze, którzy spotkali go na swojej drodze, żegnają przede wszystkim mentora i przewodnika. Bo Magiera najpierw widział w swoich podopiecznych ludzi, a dopiero potem zawodników

MICHAŁ MUZYCZUK

Trener w piłkarskiej szatni widzi dwudziestu kilku piłkarzy, którzy mają jedno zadanie: wypełnić założenia taktyczne i wygrać mecz. Jacek Magiera wchodził do szatni i widział coś ważniejszego – ludzi z krwi i kości, z których każdy jest inny, ma swoje wady, walczy z samym sobą.

49-letni szkoleniowiec odszedł zdecydowanie za wcześnie. Nie palił, po alkohol sięgał okazjonalnie, za to codziennie ćwiczył i dbał o formę. 10 kwietnia podczas porannego joggingu we wrocławskim Parku Grabiszyńskim jego serce nagle stanęło. Mimo długiej reanimacji lekarzom nie udało się go uratować. Cała piłkarska Polska pogrążyła się w żałobie, a każdy, kto znał „Magica", dawał wyraz najwyższego szacunku do jego osoby i najgłębszego bólu po jego stracie. Bo Magiera żył tak, że nie można go wspominać inaczej niż jako wspaniałego człowieka. Każdemu życzył dobrze i poświęcał swój czas, żeby pomóc ludziom w spełnieniu ich potencjałów.

Był osobą, która nie miała wrogów, nie budziła kontrowersji, nie mówiła rzeczy nieprzemyślanych, nie brała udziału w środowiskowych konfliktach. Był postacią ze wszech miar pozytywną, wypełnioną szczerymi intencjami, znającą się na swoim fachu i mającą dla każdego czas. Nigdy nikogo nie ciągnął w dół i nie sprowadzał do poziomu murawy. Jego misją było pchanie ludzi do przodu, wskazywanie ich najmocniejszych stron i dbanie o to, żeby w parze z talentem szła uczciwa praca. W wywiadzie udzielonym do książki „Jestem trenerem (człowiekiem)" przekazywał swoją filozofię zawodu: „Najważniejszy jest rozwój zawodnika jako piłkarza i człowieka. Zawsze powtarzam chłopakom, że zawodnikami będą przez kilkanaście lat, a człowiekiem przez całe życie. Pracują na to, kim będą za kilkanaście lat. Jakimi będą mężami, ojcami, jakie będą wartości przekazywać".

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Jacek Magiera sam był w 100 proc. wierny zasadom, które wpajał swoim piłkarzom. Umiał do nich trafić, bo miał zacięcie psychologa i sam głęboko wierzył w sens swoich słów. Doskonale zdawał sobie sprawę z pułapek czyhających na młodych ludzi obracających się w świecie futbolu, w którym pieniądze i sława często przychodzą na długo, zanim chłopak zmieni się w mężczyznę. Przestrzegał przed pychą i arogancją, w które tak łatwo popaść, a które sprawiają, że prawdziwy cel znika z oczu. Dlatego dla Magiery równie ważne, co mądrość na boisku, była mądrość w codziennym życiu. Z dumą mówił we wspomnianej książce: „Rozwój zawodników jest dla mnie największym trenerskim sukcesem. To, co się dzieje dookoła – trofea, medale – jest tylko dodatkiem. Jasne, to bardzo cieszy, ale jeszcze bardziej satysfakcjonuje mnie fakt, że moi wychowankowie są w zdecydowanej większości porządnym ludźmi, którzy dają sobie radę w życiu i się realizują".

KSIĄŻKA DLA KAŻDEGO

Magiera uczył ludzi odróżniać szczęście, na które mogą zapracować i któremu powinni pomóc, od farta, na który nie ma się wpływu. W tym celu kupił cały nakład

Fot. Leszek Szymański/PAP/East News

eprasa.pl d6d2f28467

książki „Szczęście czy fart?” i wręczał ją każdemu, komu chciał pomóc – a nakład wynosił 700 sztuk... Był przekonany, że w życiu można korzystać z uśmiechu losu, który sprzyja lepszym, a lepszym można się przecież stawać codziennie poprzez swoją ciężką pracę. Sam był tego najlepszym przykładem. Nigdy nie był talentem czystej wody i o wszystko, co osiągnął jako sportowiec, musiał zawalczyć sam. Na początku lat 90. wychowanek Rakowa Częstochowa oblał testy do powstającej właśnie juniorskiej kadry Polski. To był jego moment formacyjny. Marek Magiera wspomina w rozmowie z portalem Idziemy.pl, że jego brat bardzo mocno przeżył to niepowodzenie i obiecał sobie, że będzie pracował tak ciężko, aby załapać się do kadry. Jak powiedział, tak zrobił i w 1993 r. cieszył się ze zdobycia Mistrzostwa Europy przez reprezentację U-16.

NA BOISKU I TRENERSKIEJ ŁAWCE

Od tej pory był już zawsze wierny dewizie mówiącej, że nie ma dróg na skróty. W wieku 18 lat zadebiutował w najwyższej klasie rozgrywkowej w barwach macierzystego Rakowa Częstochowa, skąd w sezonie 1996/1997 wyłowiła go Legia Warszawa, której barwy reprezentował aż do końca 2005 r. Jako defensywny pomocnik zajmował się przede wszystkim czarną robotą. Zwykle nie miał też pewnego miejsca w składzie Legii, a każdego z kolejnych szkoleniowców musiał przekonywać do swoich umiejętności. Fanem jego boiskowej przydatności okazał się Dragomir Okuka, pod rządami którego w sezonie 2001/2002 Magiera wrócił do składu i zdobył z Legią upragnione mistrzostwo.

Magiera zawiesił buty na kołku już w wieku 27 lat, nigdy nie debiutując w dorosłej kadrze, choć w młodzieżowych reprezentacjach rozegrał ponad pół setki meczów. Jeszcze jako czynnemu zawodnikowi udało mu się obronić tytuł magistra historii na częstochowskiej Akademii im. Jana Długosza. Wśród piłkarzy przełomu wieków był pod tym względem ewenementem, bo nauka była rzadką pasją wśród ludzi zawodowo grających w piłkę. Ale wyróżniał się nie tylko pod tym względem – nie imprezował, nie wydawał całego majątku na samochody i ubrania, nie topił go w kieliszku wódki, nie przegrywał w pokera. Był niespotykanie spokojnym człowiekiem, skupionym na konsekwentnej i uczciwej realizacji celów. Bez rozpraszania się i marnotrawienia energii na głupstwa z jednej strony oraz uświęcania środków i pozostawiania po sobie trupów z drugiej. Został trenerem, bo o życiu po piłce myślał od samego początku, nie pozostawiając niczego ślepemu trafowi.

Przez dekadę zdobywał szlify w sztabie szkoleniowym Legii. Prawdziwie samodzielną karierę trenerską rozpoczął w maju 2016 r. w Zagłębiu Sosnowiec, z którym nie przegrał dziewięciu meczów z rzędu. Po pół roku objął stery Legii, z którą na początku sezonu dobrze zaprezentował się w Lidze Mistrzów, a na końcu sięgnął po tytuł mistrza Polski. Przez kolejne lata był selekcjonerem reprezentacji U-20 i U-19. W marcu 2021 r. podpisał kontrakt ze Śląskiem Wrocław, a jego przygoda ze stolicą Dolnego Śląska była niczym przejażdżka na rollercoasterze. Natomiast zdobycie wicemistrzostwa Polski w sezonie 2023/2024 było ze wszech miar spektakularne. Wreszcie w lipcu 2025 r. Jan Urban zaprosił go do sztabu reprezentacji jako drugiego trenera. Magiera do końca życia był prawą ręką selekcjonera.

ZAWIERZYŁ BOGU

To on był duszą kadry, wlewając zapał i wiarę w serca reprezentantów. Urbana podziwiał jeszcze jako piłkarza i nie zgodziłby się na pełnienie funkcji asystenta u żadnego innego trenera. Ale miał też swoje plany, o których wspominał w wywiadzie udzielonym dwa tygodnie przed śmiercią portalowi sport.tvp.pl: „Praca z reprezentacją u boku Janka to zaszczyt i przywilej – wciąż jestem młodym szkoleniowcem. Dużo osiągnąłem, ale jeszcze wiele przede mną – kiedyś wrócę do pracy głównego trenera”. Według wielu był naturalnym kandydatem do roli selekcjonera reprezentacji w niedalekiej przyszłości.

Najpopularniejszy pseudonim Magiery to „Magic”, ale przez swoich podopiecznych był zwany również „Babcią”, bo całkowicie osiwiał jeszcze przed czterdziestką, a za młodu przylgnął do niego przydomek „Święty” ze względu na to, że był bardzo ułożony i religijny. Zawierzył Bogu przy podejmowaniu najważniejszych decyzji zawodowych, jak choćby w przypadku objęcia stanowiska w Śląsku Wrocław. Ufał też, że to właśnie siła z góry pozwoliła mu na spełnienie w życiu prywatnym i poznanie przyszłej ukochanej na stadionie Legii w 1998 r. Przez ponad 10 lat byli jedynie znajomymi, a kiedy wreszcie połączyła ich miłość, Magiera potrafił odnaleźć równowagę między pracą i domem. To właśnie żona i dwójka dzieci nauczyli go lepiej wykorzystywać czas, którym został obdarzony na ziemi, o czym wspominał w wypowiedzi dla portalu weszlo.pl: „Z czasem nabrałem dystansu, bycie mężem i ojcem w tym pomaga. Dziś po prostu lepiej mi się żyje, więcej się uśmiecham”.

Wśród setek pięknych słów na temat Magiery wystarczy przytoczyć te, którymi opisał go Aleksandar Vuković, kolega i z szatni, i z pokoju trenerskiego: „Najlepszy możliwy człowiek”. Na kilka minut przed wydaniem ostatniego tchnienia Jacek Magiera zanotował w swoim telefonie myśl, która mówi wszystko o jego filozofii życia i pracy: „To tu toczy się walka codzienna. Robić. Nie robić. Chcę. Nie chcę”. Jacek Magiera potrafił i chcieć, i robić. Niby niewiele, ale właśnie to pomagało szczęściu, które odnalazł w każdej dziedzinie życia. Wypada pożegnać Jacka Magierę słowami jego przyjaciela ks. Sylwestra Łaska: „Jacek nie odszedł. On tylko zmienił sektor na trybunach”.

Pogrzeb Jacka Magiery

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d6d2f28467

GILLIAN ANDERSON I JASON ISAACS W FILMIE „ŚCIEŻKI ŻYCIA"

Najważniejsza jest droga

Nie liczy się cel, ale droga – mówi przysłowie. W przypadku bohaterów poruszającego, inspirowanego prawdziwą historią filmu „Ścieżki życia" w reżyserii Marianne Elliott trafia ono w punkt.

Raynor i Moth (grani przez Gillian Anderson i Jasona Isaacsa) w momencie największego kryzysu decydują się wyruszyć w trasę. Bardzo konkretną, prowadzącą najdłuższym pieszym szlakiem Wielkiej Brytanii, biegnącym wzdłuż zachodniego wybrzeża kraju – South West Coast Path. To ponad tysiąc kilometrów, podczas przemierzania których zachwycić może dzika przyroda i widoki, a siłę charakteru i determinację sprawdzą wymagające warunki. Gdy bezpowrotnie tracą wszystko, co do tej pory wydawało się trwałe – dom, poczucie bezpieczeństwa, rytuały codziennego życia – dokonują z pozoru szaleńczego wyboru. Zamiast pogrążyć się w poczuciu krzywdy, wchodzą na zupełnie nowy – pod każdym względem – szlak. Przemierzany zarazem fizycznie, jak i psychicznie. Wymagający gotowości na wewnętrzne zmiany, a także zgody na to, co trudno zaakceptować, ale co pozwala ponowne odnaleźć siebie. Także nawzajem. I co pomaga w odzyskaniu spokoju oraz dostrzeżeniu nowych perspektyw.

Scenariusz do filmu został oparty na wspomnieniach Raynor Winn z 2018 r. Tuż przed eksmisją z rodzinnej farmy bohaterowie natknęli się na przewodnik autorstwa Paddy'ego Dillona – fotografa, pisarza i wędrowca. To za jego sprawą trafili do Minehead w hrabstwie Somerset.

Punkt rozpoczynający słynny szlak dzieli od finalnej miejscowości – Poole w hrabstwie Dorset – równo 1014 km. South West Coast Path przebiega przez obszary znajdujące się na liście światowego dziedzictwa UNESCO: Wybrzeże Jurajskie oraz Kornwalię. Pierwotnie większość trasy stanowiły ścieżki wytyczone przez straż nadbrzeżną, ułatwiające przemieszczanie się między latarniami morskimi podczas poszukiwań przemytników. Z tego powodu duża część drogi biegnie przez wysoko położone punkty, zapewniające doskonałą widoczność. Szlak wiedzie też przez wioski rybackie i malownicze wybrzeże. Obszar przybrzeżny zamieszkują dzikie zwierzęta – delfiny, foki, a nawet wieloryby. Całkowita zmiana poziomów na trasie wynosi 35 051 m, czyli czterokrotność wysokości Mount Everest. Jest to efekt licznych wzniesień i obniżeń terenu w rejonach ujść rzek.

Grający parę głównych bohaterów Gillian Anderson i Jason Isaacs weszli wraz z ekipą filmową na South West Coast Path, by jak najwierniej oddać doświadczenie wędrówki. Pokonywali te same odcinki co Raynor i Moth, a chociaż finalnie nie przebyli tyle kilometrów ile ich ekranowe postaci, to i tak osiągnęli imponujący wynik. Anderson dowcipnie opisywała w mediach społecznościowych kulisy przygotowań do wędrówki. Pokazywała skalę wysiłku, którego wymaga pokonanie tak długiej trasy. Przede wszystkim jednak podkreślała, że zarówno w przypadku tego projektu, jak i tej historii najważniejsza okazała się droga.

Film „Ścieżki życia" (który do polskich kin trafił na początku tego roku) jest już dostępny na platformach streamingowych.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Gutek Film

eprasa.pl d6d2f28467

SŁODKO-SŁONY

Parząca zołza

ANNA MONICKA

Jakiś czas temu moja koleżanka rozpuściła wici, że poszukuje świeżej, niepryskanej pokrzywy. Robi z niej soki, parzy wiosenne oczyszczające herbatki, dodaje do zupy, a także urządza chłostanie dłoni zmienionych reumatyzmem. Mogłam jej pomóc, bo mam w ogrodzie pokrzywowy zagajnik w cienistym i wilgotnym zakątku pod murem domu – trzymam te rośliny głównie z myślą o motylach, bo te najpiękniejsze, czyli rusałki, żyją dzięki nim. Gąsienice muszą wcinać pokrzywy, żeby zdrowo rosnąć i móc się przepoczwarzyć. Moja plantacja ma jednak skłonność do rozprzestrzeniania się po całym ogródku – w końcu to odporne chwasty – więc chętnie dzielę się nadwyżkami. Rabatki niczym nie pryskam, rosną więc „ekologicznie" i są bardzo dorodne. Mogę nawet powiedzieć, że na lichej ziemi radzą sobie najlepiej. Panowie z gminy, którzy czasem przychodzą kosić trawę przed naszymi domami, śmieją się z mojego ogródka, że wygląda jak przy jakiejś ruderze, ale ja się nie przejmuję. Zabraniam im też niszczyć inne zioła, które wymykają się z posesji.

„Kto by pomyślał, że ta parząca zołza jest taka smaczna" – pisze w swojej książce kucharskiej „Ulubione warzywa pana Wilkinsona" Matt Wilkinson, urodzony w Yorkshire, a mieszkający w Melbourne znany australijski szef kuchni i działacz organizacji Slow Food Matt Wilkinson.

On zbiera pokrzywy na czystych łąkach nad strumieniami, a także na pastwiskach (bardzo je lubią krowy i owce, podobno dają więcej mleka, gdy mogą je skubać). Robi to w grubych rękawicach, a jeśli się poparzy, pociera czerwone bąble listkami szczawiu. Potem warzywo (bo tak je traktuje) myje i blanszuje we wrzątku, a na koniec hartuje w wodzie z lodem. Takie nieparzące pokrzywy można jeść jak szpinak – mają mnóstwo chlorofilu, żelaza, magnezu, wapnia. Działają krwiotwórczo i oczyszczająco.

Gdy już masz pęczek, zrób zupę. Podsmaż na maśle cebulkę, czosnek, wsyp pokrojone marchewkę, pietruszkę, por i ziemniaki, a po kilku minutach, gdy zmiękną, zalej bulionem warzywnym, dodaj pokrojone pokrzywy i gotuj jeszcze kilka minut. Na koniec zmiksuj, dopraw solą, pieprzem i odrobiną soku z cytryny. Możesz zabielić śmietaną, jogurtem, serkiem mascarpone i podawać z grzankami czosnkowymi.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Perłowa jaszczurka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czasem zasięg gatunków roślin, grzybów lub zwierząt zaskakująco dokładnie pokrywa się z zasięgiem kultury danej społeczności ludzkiej. Niekiedy są to przypadki oczywiste, jak np. z reniferami i ludami Północy. W tym przypadku to ludzie dostosowali swój tryb życia i zwyczaje do gatunku będącego podstawą ich przeżycia.

Niekiedy jednak korelacja pomiędzy ludźmi a zwierzętami istnieje, lecz trudno powiedzieć, co ją wytworzyło. Tak jest w przypadku kultury iberyjskiej i gatunku jaszczurki nazywanej jaszczurką perłową (*Timon lepidus*). Czy warunki klimatyczne, krajobraz i historia mogły sprawić, że zasięg tańca flamenco, tapas i corridy jest taki sam jak zasięg występowania gada łuskonośnego?

Trudno by było wykazać, jaka jest przyczyna tej korelacji, jednak istnieje ona niewątpliwie.

Jaszczurka perłowa to gad – zwłaszcza jak na warunki europejskie – całkiem spory. Wraz z długim ogonem może dorastać przeszło 70 cm długości i 0,5 kg masy ciała. Jest ubarwiona jasnozielono, z jasnoniebieskimi plamami wzdłuż boków ciała. Można ją zaobserwować, jak poluje na owady lub zwyczajem gadów wygrzewa się na słońcu, np. na kamiennych murkach rozdzielających hiszpańskie winnice albo portugalskie plantacje kiwi.

Jej zasięg obejmuje również południe Francji, wąskim pasem przesmykując się z Półwyspu Iberyjskiego wschodnią krawędzią Pirenejów i ciągnąc się wzdłuż Lazurowego Wybrzeża kawałek dalej na wschód, po deltę Rodanu i bagna Camargue, po których hasają półdzikie konie i gdzie na słonawych rozlewiskach zakrzywionymi dziobami filtrują wodną zawiesinę flamingi.

Ten rejon południa Francji, którego stolicą mogłoby być miasteczko Arles – znane nie tylko z rzymskich zabytków i pięknej katedry, lecz także z tego, że to właśnie tam przez pewien czas w żółtym domku mieszkał van Gogh, przyciągnięty wizją „słońca południa" (tam powstała m.in. „Gwiaździsta noc") – jest bardziej hiszpański niż francuski. Tańczy się tam flamenco, jada paellę, w czasie sjesty wszystko jest zamknięte – zupełnie jak w Hiszpanii.

I co ciekawe, zasięg tych zwyczajów dokładnie pokrywa się z zasięgiem jaszczurki.

eprasa.pl d6d2f28467

3 MIŁOŚCI

Turtlegender

ROBERT TEKIELI

Nie ma czegoś takiego jak ideologia LGBT+, tylko są ludzie, którzy są gejami, lesbijkami i mają prawo do zwykłego, normalnego życia. Słyszeliśmy to tysiące razy. Dlaczego zasłonę dymną snują promotorzy inżynierii społecznej, która zdechrystianizowała Zachód, wydaje się oczywiste. Jednak czemu tak łatwo poddają się jej chrześcijanie, jest dla mnie tajemnicą.

Ideologia to zbiór wartości, przekonań, idei oraz poglądów opisujących i oceniających rzeczywistość. To wizja świata istniejącego i projekcje przyszłości. Ideologia to również zbiór zasad postępowania ruchów społecznych, partii politycznych, grup mniejszościowych, u podstaw którego tkwi świadome dążenie do realizacji określonego interesu klasowego, grupowego albo narodowego. I właśnie z tym mamy do czynienia.

Zobaczmy, jak kształtowała się ideologia LGBT+/gender, by przybrać dzisiejszą postać.

Jednym z pierwszych liderów ruchu na rzecz równouprawnienia homoseksualistów był Magnus Hirschfeld (1868–1935), niemiecki lekarz żydowskiego pochodzenia, prekursor seksuologii. W 1897 r. był współzałożycielem pierwszej niemieckiej organizacji Wissenschaftlich-humanitäres Komitee, zrzeszającej osoby homoseksualne. Głównym polem badań Hirschfelda był homoseksualizm. Stworzył on teorię metatropizmu, według której płeć jest czymś chwiejnym, ulegającym zmianie.

Wilhelm Reich (1897–1957), lekarz, był przekonany, że seksualność jest „ośrodkiem, wokół którego obraca się całe życie społeczne i wewnętrzne życie jednostki". Erotyzację kultury uważał za idealne narzędzie do zniszczenia relacji z Bogiem, Kościołem, tradycją, państwem, rodzicami, ojcem i nauczycielami, do zburzenia dotychczasowej struktury i ładu społecznego. Zaspokajaj swoje żądze seksualne, a stworzysz raj na ziemi – twierdził Reich.

Margaret Sanger (1879–1966) widziała w macierzyństwie „niewolnictwo reprodukcji", z którego pragnęła uwalniać kobiety, wzorując się na marksistowskiej koncepcji ucisku i wyzwolenia. Twierdziła, że kobieta jest właścicielką swojego ciała oraz swojej płciowości i może nimi zarządzać tak, jak jej się podoba. Zanegowała obiektywny porządek dotyczący prokreacji i macierzyństwa. Była promotorką antykoncepcji i kontroli urodzin. Opowiadała się za sterylizacją i przymusową aborcją ze względu na rasę, pochwalała tezy nazistowskiego programu eugenicznego. W 1942 r. założyła Amerykańską Ligę Kontroli Urodzeń (ABCL), która 20 lat później zmieniła nazwę na International Planned Parenthood Federation, czyli Międzynarodowa Federacja Planowanego Rodzicielstwa. Sanger zainicjowała I Światowy Kongres Kontroli Urodzeń w Genewie, rozpoczęła masowy ruch „wolnej miłości", finansowała badania prowadzące do stworzenia pigułki antykoncepcyjnej. Doprowadziła do uznania w 1965 r. przez Sąd Najwyższy USA zakazu używania środków zapobiegania ciąży za sprzeczny z konstytucją.

Upada właśnie paradygmat stanowiący od czterech stuleci o kształcie naszej cywilizacji. Liberalizm doprowadził swoje wolnościowe założenia do totalitarnych konsekwencji. Rewolucja konsumpcyjnego nihilizmu przyspiesza

Margaret Mead (1901–1978), aktywna biseksualistka, była autorką najpopularniejszej książki antropologicznej wszech czasów: „Dojrzewanie na Samoa" (1928). W toku swoich badań ustaliła, że wszystkie cechy osobowości, które uznajemy za męskie bądź kobiece, są luźno powiązane z płcią biologiczną i nie wynikają z natury ludzkiej, lecz kształtuje je kultura na drodze socjalizacji. Jej opisy „wolnej miłości" u ludów pierwotnych miały wpływ na rewolucję seksualną lat 60. XX w. Według niej trzymanie się światopoglądu chrześcijańskiego krępuje ekspresję seksualną i nie pozwala osiągnąć radości z życia.

Wizja wolnej miłości panującej wśród szlachetnych dzikusów na wyspach wiecznego szczęścia szybko podbiła umysły na Zachodzie. Margaret Mead wywołała prawdziwą rewolucję w światowej antropologii. Z przeprowadzonych badań wyprowadziła wiosek, że wiele zachowań, które uważa się za naturalne dla człowieka, to ograniczenia narzucone nam przez cywilizację.

Już pięć lat po jej śmierci „The New York Times" na pierwszej stronie ogłosił, że „Margaret Mead dopuściła się poważnych przekłamań co do życia i charakteru Samoańczyków". Jej „praca naukowa" bazowała na wywiadzie z dwoma kobietami, które wprowadziły ją w błąd. Mead nie znała języka samoańskiego i wyciągnęła na temat kultury samoańskiej fundamentalnie błędne i fałszywe wnioski. Okazało się, iż w rzeczywistości na Samoa „kult dziewictwa jest uprawiany prawdopodobnie w stopniu bardziej ekstremalnym niż w jakiejkolwiek kulturze znanej antropologii".

Finalnie ośmieszające pracę Margaret Maed były wywiady przeprowadzone w języku samoańskim z dawną informatorką Mead, wiekową już panią Fa'apua'a Fa'amū w 1987 r. Samoanka wyjaśniła, że gdy ona i jej przyjaciółka Fofoa – druga młoda informatorka badaczki

eprasa.pl d6d2f28467

– opowiadały Mead o rzekomo „rozwiązłym" życiu samoańskich nastolatków, ich celem nie było świadome wyprowadzenie jej w błąd. Podawały nieprawdziwe informacje, ponieważ zawstydzały je pytania badaczki dotyczące tego, co w kulturze Samoa stanowi temat tabu! Mimo całkowitej kompromitacji Maed jej prace dalej stanowią lektury obowiązkowe na uczelniach wyższych wielu krajów świata.

Kolejnym wpływowym oszustem był Alfred Kinsey (1894–1956), profesor entomologii i zoologii, autor nazwanego jego nazwiskiem raportu, dzieła przełomowego w historii seksuologii.

Na podstawie tego raportu powstały dwie jego najważniejsze publikacje, „Zachowanie seksualne mężczyzny" (1948) i „Zachowanie seksualne kobiety" (1953). Książki te wywołały skandal, a ich autora do dziś uważa się za ojca rewolucji seksualnej.

Z badań entomologa wynikało, że 86 proc. dorosłych ludzi żyje w sprzeczności z kodeksem obyczajowym. Kinsey dowodził, że 90 proc. mężczyzn i 30 proc kobiet popełnia zdradę małżeńską, kontakty homoseksualne miał zaś co trzeci mężczyzna. Z kolei dzieci miało cechować mocne zainteresowanie seksem, a dla większości z nich kontakt fizyczny miał nie być traumatycznym przeżyciem. Teza ta zaczęła być wykorzystywana przez pedofilów.

Twierdzenie o 95 proc. mężczyzn, którzy choć raz dopuścili się przestępstwa na tle seksualnym, Kinsey wysnuł na podstawie danych od więźniów, w większości skazanych za przestępstwa seksualne.

Badania Kisneya były przeprowadzane na całkowicie niereprezentatywnej grupie badawczej, która była rekrutowana z ochotników (300 osób), w tym w dużej części spośród więźniów osadzonych za gwałty (25 proc.) i męskich prostytutek (5 proc.). Wyniki w części dotyczącej seksualności dziecięcej pochodziły w całości z jednego źródła, którym był pamiętnik anonimowego pedofila prowadzącego go od 1917 r.

Kinsey przyłożył rękę do demontażu kultury zachodniej. Jego badania – bazujące na oszustwie – wpłynęły na postawy wobec seksualności człowieka, szczególnie zaś na ujmowanie homoseksualizmu. Kinsey zdobył sławę dzięki wsparciu finansowemu Rockefellerów. Mimo udowodnionych celowych fałszerstw również dziś, 60 lat po śmierci, uważany jest przez wielu akademików za autorytet.

Alison Jaggar (ur. 1942) w broszurze wykorzystywanej na kursach dla kobiet ukazuje, jaki powinien być pożądany rezultat rewolucji klas płciowych: „Zniesienie rodziny biologicznej wyeliminuje także potrzebę opresji seksualnej. Męski i żeński homoseksualizm oraz pozamałżeńskie stosunki płciowe nie będą już postrzegane w optyce liberalnej jako opcje alternatywne. Sama »instytucja« współżycia płciowego, gdzie kobieta i mężczyzna odgrywają określone role, zniknie". A ludzkość będzie mogła wreszcie powrócić do swej naturalnej, wielopostaciowej i perwersyjnej seksualności.

Dr John Money (1921–2006), psycholog i seksuolog amerykański związany z Uniwersytetem w Baltimore, twierdził, że dziecko nie rodzi się z płcią, która do pewnego momentu jest płynna, ale nabywa ją przez wychowanie i socjalizację, a co za tym idzie, może być ona zmieniana przez odpowiednią manipulację behawioralną.

Shulamith Firestone (1945–2012) w swej książce „The Dialectic of Sex", opublikowanej w 1970 r., modyfikując ideę walki klas, wzywa do „rewolucji klas płciowych" (sex-class revolution), „aby wyeliminować klasy płciowe, klasa podrzędna (kobiety) musi się zbuntować i przejąć kontrolę nad reprodukcją". To oznacza, że celem rewolucji jest wyeliminowanie różnicy między płciami. Według Firestone kobiety są zniewolone przez macierzyństwo i wychowywanie dzieci. A warunkami koniecznymi do wyzwolenia kobiet są: aborcja na żądanie, antykoncepcja, całkowita wolność seksualna, masowe zatrudnienie kobiet i utrzymywane przez państwo żłobki.

Judith Butler (ur. 1956), amerykańska profesor literaturoznawstwa i aktywna lesbijka, w swojej książce pt. „Gender Trouble: Feminism and The Subversion of Identity" (1990) ogłasza koncepcję performatywności płci oraz tworzy „queer theory". Butler uznaje samo istnienie płci biologicznej za dyskursywne i kulturowe. Mamy mieć do czynienia jedynie z iluzją jej naturalności, ograniczoności i pierwotności. Według Judith Butler zarówno płeć kulturowa, jak i sposób rozumienia płci biologicznej są konstruktami społecznymi.

W marcu 2025 r. JD Holt, (członek/członkini) rady doradczej ds. zdrowia psychicznego w Oregonie (Oregon Consumer Advisory Council, OCAC), publicznie oświadczył(a), że identyfikuje się jako żółw. JD Holt używa zaimków „they/them/turtle" (oni/im/żółw) i określa się jako osoba o tożsamości „turtlegender" (żółwia-płeć), co jest formą „xenogender" – tożsamości wykraczającej poza tradycyjne ludzkie rozumienie płci. Rewolucja seksualna zastukała w drzwi szpitali psychiatrycznych.

Upada właśnie paradygmat stanowiący od czterech stuleci o kształcie naszej cywilizacji. Liberalizm doprowadził swoje wolnościowe założenia do totalitarnych konsekwencji. Rewolucja konsumpcyjnego nihilizmu przyspiesza. Warunkiem jej zwycięstwa był niebywały dotąd w historii dobrobyt. Era pomyślności i dominacji Zachodu zdaje się kończyć. Co wyłania się zza zakrętu historii?

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d6d2f28467

OGNIEM NA WPROST

Jak łowca staje się zwierzyną

Andrzej Rafał Potocki

Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) pokazały nagranie z uderzenia rakiet w pobliżu okupowanego Doniecka. Celem były magazyny, w których Moskale przechowują drony i najwyraźniej były to tak cenne składy, że do ataku rzucono francuskie pociski manewrujące SCALP – aktualnie najlepszą tego typu broń w arsenale Kijowa. Ponieważ Donieck znajduje się kilkadziesiąt kilometrów od pierwszej linii frontu, do ataku użyto także bomb szybujących GBU-32, a nagranie z całej operacji pojawiło się w mediach społecznościowych. Pociski Storm Shadow/SCALP zbudowano w ramach współpracy brytyjsko-francuskiej, której efektem jest wystrzeliwany z powietrza pocisk manewrujący przeznaczony do atakowania wroga głęboko za linią frontu. Może operować w ekstremalnych warunkach pogodowych zarówno w dzień, jak i w nocy oraz pochwalić się bardzo wysoką celnością. Dzięki niskiej wykrywalności przez radary połączonej z możliwością lotu na bardzo niskiej, kilkudziesięciometrowej wysokości jest też trudny do przechwycenia. O skuteczność uderzenia we wroga dba z kolei potężna, 450-kilogramowa głowica bojowa, która może niszczyć cel w kilku różnych trybach działania (bezpośredniego uderzenia, wybuchu powietrznego lub penetracji). I tak Tryzuby zdejmują skalpy ruskim.

Pełny proces szkolenia snajpera w Wojsku Polskim trwa ok. 6 lat. W Ameryce Szkołę Snajperów Armii USA w Fort Benning w stanie Georgia kończy się po 7 tygodniach, ale pełne wyszkolenie strzelca może trwać jeszcze 4 lata. Koszt to setki tysięcy dolarów. Nic dziwnego, że tak wyszkolony żołnierz, który z dobrze dobranej kryjówki może zadać przeciwnikowi poważne szkody, staje się łakomym celem. Z tego powdu są oni bardzo wysoko na liście priorytetowych celów pilotów dronów. Szczególnie trudno jest się ukryć przed bezzałogowcami z termowizją, ponieważ jedynym sposobem pozostaje zamaskowanie stanowiska strzeleckiego za pomocą trudno dostępnych i bardzo drogich materiałów izolujących w postaci np. materiału Invisi-tec IR czy płachty od np. Relv Eclipse lub siatki maskującej Berberys Te. Ten na filmie zamieszczonym w mediach społecznościowych nie miał takiego wyposażenia. Ukraiński dron zaatakował strzelca rozlokowanego na wieży ciśnień, zrzucając na niego coś, co wygląda na pocisk moździerzowy 60 mm. Lokalizacja snajpera zapewniała bardzo dobry widok, ale w dobie wszechobecnych dronów taka miejscówka na odkrytym dachu nie należała do najmądrzejszych i kosztowała Moskala życie.

Bardzo skuteczny Korpus Azow, który wyewoluował z Brygady Azow (bohatersko broniącej zakładów w Mariupolu), pochwalił się wykorzystaniem dronów FPV wzbogaconych o moduły wykorzystujące sztuczną inteligencję. Na nagraniu w internecie widać, jak bezzałogowce FPV eliminują ruskie grupy szturmowców motocyklowych oraz inne pojazdy wojskowe. Mimo iż część interfejsu jest zamazana, widać, że zastosowane układy AI mają możliwość wykrywania, śledzenia i identyfikacji danych obiektów, o których losie decyzję podejmuje pilot. Po zaakceptowaniu nalotu drony autonomicznie atakują wybrany cel z precyzją wskazującą na doświadczonych pilotów bezzałogowców. Jest to duży postęp, ponieważ nawet mający małe doświadczenie operator drona będzie dzięki nim bardzo skuteczny. Wzbogacenie maszyn o moduły AI, np. typu Skynode-S od amerykańsko-szwajcarskiej firmy Auterion, umożliwia korzystanie z tzw. widzenia komputerowego, pozwalającego na śledzenie i atakowanie wybranych obiektów w pełni autonomicznie. Wystarczy, że pilot w oddaleniu od celu nawet o ok. kilometr wybierze komendę ataku, a następnie dron już samodzielnie wykonuje nalot. Broń iście rodem z filmu „Terminator".

Tego jeszcze nie grali. Ruska FSB przechwyciła jeden z ładunków, który dotarł z Polski przez Ukrainę lub Białoruś do Federacji Moskiewskiej. Przemytnik został zatrzymany przez służby. Pakunek z ok. 504 improwizowanymi ładunkami wybuchowymi umieszczonymi we wkładkach do butów miał trafić do kacapskich żołnierzy walczących na Ukrainie. Zdaniem służb przemytnik najpewniej otrzymał ładunek na Ukrainie, a następnie przetransportował go przez Białoruś. FSB wyjaśniła, że po podłączeniu do źródła zasilania wkładki do butów uległyby detonacji (każda zawierała ok. 1,5 g trotylu). Nie ma jak służba w piechocie Kremla. Aż strach buty zakładać.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d6d2f28467

Michał Korsun prezentuje:* *Kosiniak-Kamysz chce zniszczyć Fabrykę Broni „Łucznik" w Radomiu

Wycinki z przeszłości

Ogłoszenia matrymonialne potrafiły nieraz zaskakiwać szczerością. W 1926 r. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" zamieścił anons mężczyzny, który nie owijał w bawełnę: „Ożeniłbym się z panną, któraby mi natychmiast pożyczyła 5.000 złotych. Urzędnik państwowy VII rangi". 35-letni kawaler jasno stawiał warunki, łącząc uczucia z... finansami.

(sp)

20 gr. ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY
Kraków, niedziela 11 Kwietnia 1926. Nr. 99.
DYKTATOR HAROLD
HEMORIN
CZOPKI HEMOROIDALNE
Głód i gwałty.

Matrymonialne

OŻENIŁBYM się z panną, któraby mi natychmiast pożyczyła 5.000 złotych. Urzędnik państwowy VII rangi, 35 lat. Zgłoszenia pisemne do Administracji Kurjera pod „Trzydzieściopięć". — 7317

Z WOLEJA

Siatkarskie urodziny

Ryszard Czarnecki

W dniu, gdy ten numer „Sieci" dotrze do Państwa, swoje 79. urodziny będzie obchodzić FIVB, czyli Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej. Patronuje ona dyscyplinie, która jest sportem zespołowym numer 1 w Polsce. FIVB „urodziła się" w Paryżu tuż po II wojnie światowej, ale siedzibę ma w Szwajcarii (Lozanna). Skupia 218 federacji narodowych. Polska była jednym z jej 16 „ojców" z pięciu kontynentów.

Federacja jest znana z długowieczności swoich prezesów. Jej pierwszy szef, Francuz Paul Libaud, rządził 27 lat, a jego następca, Rubén Acosta z Meksyku – 24 lata. Potem stery na krótko przejął Chińczyk Wei Jizhong, następnie rozpoczęła się władza Brazylijczyków: najpierw przez 12 lat FIVB kierował Ary Graça, potem Fabio Azevedo. Największą federacją kontynentalną – ale nie najsilniejszą – jest AVC, skupiająca kraje Azji i Oceanii. Sportowo karty w męskiej siatkówce rozdaje Europa: od 2014 r. mistrzostwa świata wygrywają albo Polacy (2014, 2018), albo Włosi (2022, 2026), a turnieje na dwóch ostatnich igrzyskach olimpijskich wygrała Francja.

Polska jest na siatkarskich wyżynach w wymiarze sportowym: na ostatnich czterech męskich mundialach zawsze byliśmy w finale, a na podium najważniejszych imprez światowych (igrzyska, mistrzostwa globu, Liga Narodów, Puchar Świata) stajemy nieprzerwanie – z wyjątkiem igrzysk w Tokio – od 2018 r. Z kolei nasze siatkarki ostatnie dwie edycje Ligi Narodów też kończyły z medalem. To akurat przypomina czasy, gdy to nasze zawodniczki zdecydowanie górowały sukcesami nad facetami: lata 50. i 60. oraz początek XXI w. Organizacyjnie też jesteśmy potęgą, bo na ostatnie trzy mistrzostwa świata aż dwukrotnie organizował je nasz kraj. Tylko gdy chodzi o reprezentowanie nas w FIVB, jest słabo: pozycja Biało-Czerwonych jest tam kompletnie nieadekwatna do naszych wyników sportowych i sukcesów organizacyjnych.

Nasz polski siatkarski „power" jest fenomenem. Mamy jedną z dwóch najsilniejszych lig świata (obok włoskiej), ale nasza jest bardziej wyrównana. Gra w niej drużyna z Ukrainy, a chciał grać klub z Niemiec, lecz w Berlinie zdecydowano, że ze względów prestiżowych jest to niemożliwe. Wiadomo: Niemcom nie mieściło się w głowie, aby choćby w tej kwestii uznać wyższość Polaków. Mamy jeden z najlepszych na świecie systemów szkolenia, który owocuje medalami na mistrzostwach kontynentu i globu w różnych kategoriach wiekowych. Nasi kibice są tak rozbestwieni, że brak złotego medalu na MŚ oraz IO uważają za porażkę. Chyba słusznie. Przecież minimalizm w sporcie to grzech.

eprasa.pl d6d2f28467

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Czy nadal „co pozostaje, ustanawiają poeci”?

Słowa zawarte w cudzysłowie napisał jeden z wielkich: tak, to Friedrich Hölderlin. Znajdujemy je w wierszu „Wspomnienie” z ok. 1800 r. – w wierszu o tym, co pozostaje, gdy historia szaleje.

I nie popadajcie teraz w styl szkolny, który by rzecz sprowadził do romantycznej nostalgii za antykiem. Idzie o coś głębszego. Hölderlin tworzył w epoce napoleońskiej, która obfitowała w „zadymy” – w ruinę starych porządków, w chaos, w poczucie, że instytucje nie dają oparcia. Jego „dekret” o tym, co może zadekretować poezja, stał się hasłem wskazującym na siłę sztuki w obliczu rozpadu.

Poeta jako ten, który ustanawia – nie opisuje, nie dekoruje, lecz powołuje do istnienia sens, którego nie wytworzy żadna administracja.

KTO JEST „POETĄ” DZISIAJ?

Tak właśnie brzmi pytanie. Nie chcemy odpowiadać za szybko; zważmy, co Hölderlin właściwie twierdził. Nie mówił, że poeci po prostu *wyrażają* to, co ważne. Mówił, że to *ustanawiają* – rozumiemy przez to, że bez aktu poetyckiego pewne wymiary doświadczenia po prostu nie istnieją w kulturze. To teza radykalna i – może – prowokacyjna. A także zaskakująco aktualna.

Bo dziś żyjemy w epoce, w której o tym, „co pozostaje”, decydują w dużej mierze algorytmy (czyli takie ciche robociki AI). To one sortują, hierarchizują, filtrują i w praktyce rozstrzygają, co w kulturowym obiegu w ogóle jest zauważalne, a co jedynie przemyka, by zniknąć po 24 godzinach. A jak miałoby przetrwać coś ważnego, jeśli nie zostanie dostrzeżone?!

Można – ba, trzeba powiedzieć, że algorytm pełni dziś funkcję, którą Hölderlin przypisywał poecie – z jedną zasadniczą różnicą. Poeta ustanawiał przez nadawanie formy i sensu. Algorytm ustanawia przez optymalizację zaangażowania. Czyjego zaangażowania? Czy człowieka z jego duszą, czy tylko użytkownika jednej z wielu apek? To nie jest różnica stopnia – to różnica sposobu bytowania.

To algorytmy sortują, hierarchizują i w praktyce rozstrzygają, co w kulturowym obiegu w ogóle jest zauważalne, a co jedynie przemyka

I tu dochodzimy do pytania najtrudniejszego. Czy sztuczna inteligencja – gdyby doszła do etapu tzw. Ogólnej Sztucznej Inteligencji (AGI), czyli na poziom ludzki, a tym bardziej Superinteligencji (ASI) – mogłaby zaoferować nam coś, co brytyjski socjolog Anthony Giddens nazwał bezpieczeństwem ontologicznym? Czyli poczucie, że świat jest w jakimś i codziennym, i fundamentalnym sensie stabilny, przewidywalny, zrozumiały – że istnieje grunt pod nogami?

OPTYMISTYCZNIE

Hipoteza optymistyczna brzmiałaby tak: zaawansowana, mądrze skonstruowana i „wyregulowana” AI pewnie mogłaby odgrywać rolę instytucjonalnego filaru – pomagać w diagnozowaniu kryzysów, stabilizować przepływy informacji, wspierać rozsądną debatę publiczną. Mogłaby – paradoksalnie – chronić przestrzeń, w której ludzka twórczość zachowuje swoją autonomię. Byłaby wówczas nie poetą, lecz strażnikiem warunków, w których poetyckie ustanawianie sensu jest jeszcze możliwe.

CIEMNO, MROCZNIE

Ale jest także hipoteza ciemniejsza. AI optymalizująca docierające do nas bodźce pod zaangażowanie użytkowników-marionetek – a taki jest dziś dominujący model biznesowy – nie ustanawia sensu. Ona go symuluje. Produkuje treści, które wyglądają jak sens, nawet niekiedy działają niczym sens, wywołują emocjonalne reakcje właściwe sensowi – ale nie mają zakotwiczenia w ludzkim doświadczeniu cierpienia, zachwytu, skończoności. To sens bez podmiotu.

A bezpieczeństwo ontologiczne budowane na symulacji sensu jest kruche: pęka w momencie, gdy symulacja zostaje rozpoznana jako symulacja.

Hölderlin pisał w epoce, gdy bogowie – jak sam to ujął – odeszli. My żyjemy w epoce, gdy odchodzi coś innego: pewność, że to, co „pozostaje”, jest w ogóle wynikiem ludzkiego aktu. Że ktoś to swoim twórczym wysiłkiem, często w bólu, ustanowił, a nie wygenerował. Być może właśnie dlatego pytanie wielkiego niemieckiego poety jest dziś bardziej palące niż 200 lat temu. Nie dlatego, że brakuje nam poetów, lecz z tego powodu, że coraz trudniej odróżnić poetę od bota.

A rozróżnienie to nie jest kwestią estetyki. Jest kwestią ontologii, czyli źródeł istnienia.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama 01/0126/F/ZAL | Reklama 04/1125/F/ZAL

eprasa.pl d6d2f28467

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce

Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.

www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl d6d2f28467